KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 6/92 1955



• «La Culture» • Revue mensuelle •

F. G. BONDY:
BONN—STOLICA MIMO WOLI

H. RIPKA:
MY A KONFERENCJA CZTERECH

ROZMOWA Z POSŁAMI MANTEUFFEL-SZOEGE I KIESINGEREM

SPIS RZECZY

KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Czerwiec-Juin 1955

Numer poświęcony

Polskim Oddziałom

Wartowniczym

NSTYTUT  LITERACKI

DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

J. Hawran, Pescara (Włochy)	2.280 fr.
Marian i Józefa Turscy, Campbellton, N. B. (Kanada)	1.750 "
B. S. Szumera, Port Colborne, Ont. (Kanada)	1.750 "
J. Stalony-Dobrzański, Toronto, Ont. (Kanada)	1.000 "
Marian Stunke, Caracas (Venezuela)	3.500 "
Józef Dolina, New York (USA)	1.400 "
Walter Zawalnicki, Chicago, Ill. (USA)	5.250 "
Rozmaryna Łozińska, New Haven, Conn. (USA)	1.750 "
Wanda Hajduga, Edmonton, Alta (Kanada)	1.400 "
Mieczysława Anna Wesołowska, Pittsburgh, Pa. (USA)	3.500 "
J. Brzeziński, Kenya (E. Afr.)	1.000 "
V. Prawdzic-Szakowski, Tarragindi, Brisbane, Qld. (Austral.)	1.000 "
Antoni Repeczko, Forest Hills, N. Y. (USA)	1.400 "
A. Gębski, Toronto, Ont. (Kanada)	1.000 "
Jeremi Stempowski, Buenos Aires (Argentyna)	1.000 "
Stanisław Górkiewicz, Boston, Mass. (USA)	1.000 "
Ks. Józef Lach, North Tonawanda, N. Y. (USA)	1.750 "

Dalsze wpłaty kolonii polskiej w Brazylii przekazane na ręce naszej przedstawicielki w Rio de Janeiro : T. Bobak — 180 crs, Piotr Bergman — 500 crs, Cz. Fedorowicz — 1.000 crs, L. Haczyńska — 300 crs, H. Landsberg — 1.000 crs, A. Nagórska — 200 crs, Józef Ostrowski — 500 crs, Michał Świeca — 100 crs, J. Szturm — 200 crs, Jan Sławiński — 600 crs, Maria Tarnowska — 300 crs, Jan Wójcik — 100 crs.

Razem .... 5.180 crs

◆

OD REDAKCJI

W chwili gdy czerwcowa „Kultura" była już na maszynach dowiedzieliśmy się o hojnym darze Polskich Oddziałów Wartowniczych, którym poświęcamy ten zeszyt.

W następnym numerze omówimy szerzej działalność tej Instytucji, która właśnie obchodzi dziesięciolecie swego istnienia.

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, Paris (18e)

Polityka narodów zdeklasowanych

Najbardziej, najuparciej, chciałoby się powiedzieć — najgłupiej konserwatywnie myślą małe i średnie narody. W pewnej mierze można to wyjaśnić faktem, że oba ruchy scaleniowe sprzyjają dominacji wielkich narodów. „Idealny" obywatel radziecki jest narodowości rosyjskiej; „idealny" obywatel amerykański jest z pochodzenia Anglosasem.

Koniunktura historyczna małych i średnich narodów dobiegła kresu. Autentyczna suwerenność i niepodległość dostępne są w naszej epoce tylko dla wielkich, uprzemysłowionych narodów, które są w możności wyprodukować odpowiedni zapas bomb wodorowych, samolotów, pocisków kierowanych i utrzymać dziesiątki kosztownych laboratoriów i sztaby uczonych.

Polak, Czech czy Ukrainiec jest wychowany w wierze, że każdy naród ma nie tylko prawo do niepodległości ale, że również ma prawo walczyć o niepodległość. Przez słowo „walczyć" rozumiemy, że przy sprzyjających okolicznościach jest rzeczą możliwą wywalczyć niepodległy byt państwowy.

Najpotężniejszym źródłem nacjonalizmu małych narodów jest fakt, że trudniej jest być Polakiem niż Anglikiem; trudniej Czechem niż Amerykaninem. Trudniej w tym sensie, że cena niepodległości jest wyższa, niepomiernie wyższa.

Nasze dzieje wojenne, aż po tragedie warszawskiego powstania, są ilustracją dumnej gotowości do najwyższych ofiar i poświęceń podejmowanych w imię wywalczenia suwerenności - niepodległości - wolności. Owa tragiczna „trudność" bycia Polakiem żywiła polski nacjonalizm a przesublimowana, stanowiła ideowe jądro polskiej literatury od Mickiewicza do Żeromskiego.

U dna naszych romantycznych, niepodległościowych teorii kryło się praktyczne przekonanie, że choć płacić musimy w krwi wyższą cenę niż inne narody — nasz cel jest do osiągnięcia. Jest do osiągnięcia dla dzielnego i dumnego narodu, który tak wysoką cenę za wolność gotów jest zapłacić.

Do roku 1945 tego typu rozumowanie było w całości usprawiedliwione, słuszne i potwierdzone praktyką. Powstańcy szli z fuzjami przeciwko karabinom — w 20-tym roku, pod Warszawą, walczyliśmy karabinami przeciw karabinom, szablami przeciwko szablom. Mogliśmy ilości przeciwstawić jakość. Polak mógł bić się za dziesięciu i jeszcze ciągle... gdzie się serca paliły jedność była większa od dwóch.

Pojawienie się bomby wodorowej i pojęcia ,,wodorowej suwerenności'' zamykają okres wojen wyzwoleńczych, których ideologia i romantyka stanowiły niepisaną konstytucję małych narodów europejskich. Dziś mały, czy średni naród, nawet przy sprzyjających okolicznościach ma minimalne szanse wywalczenia niepodległości, choćby każdy jego żołnierz bił się nie za 10 ale za 100. Rewolucja przemysłowa — której polityczne konsekwencje objawiły się w pełni dopiero po roku 1945 — oraz postęp techniczny czynią potężnych jeszcze potężniejszymi a słabszych jeszcze słabszymi.

Ale nie tylko rozwój technicznej cywilizacji idzie po linii interesów silnych. Wydaje się, że nowa moralność jest również po stronie wodorowych suwerenów.

Dawniej ujarzmieni, przygotowujący zbrojne powstanie, mogli liczyć na sympatie a czasem nawet na pomoc z zewnątrz. Dziś, za najwyższy nakaz moralności uważa się zachowanie pokoju a za największą zbrodnię przeciwko ludzkości zagrożenie pokojowi — choćby ów pokój oparty był na fundamencie krzywdy, zaboru i przemocy.

Ponieważ każda wojna wyzwoleńcza może być wstępem do katastrofy wodorowej — lepsza (i bardziej moralna) jest niewola 100 milionów, powiadają pacyfiści, niż groza atomowa pożaru świata i zagłady ludzkości.

Choć nie wszyscy politycy i mężowie stanu Zachodu podzielają tego typu filozofię — niemniej, z praktycznego punktu widzenia, jest rzeczą widoczną, że bomba wodorowa ,,nie gra'' na korzyść ujarzmionych.

Wyobraźmy sobie dla przykładu, że w wschodnich Niemczech wybucha powstanie. Piętnaście lat temu, Amerykanie, decydując się na interwencję ryzykowaliby normalną ,,konwencjonalną'' wojnę światową. Podejmując dziś interwencję zbrojną na rzecz powstańców Amerykanie ryzykowaliby wojnę wodorową w skali światowej. Z jednej strony uciemiężeni nie mają dziś żadnych szans bez pomocy z zewnątrz wywalczyć dla swych krajów wolności — z drugiej zaś strony, decyzja interwencji z zewnątrz stała się trudniejsza do podjęcia. Pojawił się bowiem element nowej odpowiedzialności obejmującej ryzyko nieobliczalnego niebezpieczeństwa.

Pozycja małych i średnich narodów na skutek tych przemian uległa nie tylko pogorszeniu lecz fundamentalnej zmianie. I to zmianie nieodwracalnej.

Jest coś tragicznego w fakcie, że powstania i wojny wolnościowe, które mamy w krwi i w kościach, o ile w poprzedniej

epoce historycznej gwarantowały nam przetrwanie, o tyle dziś, te same tradycje uniemożliwiają nam wypracowanie nowej polityki, która stanowiłaby odpowiedź na radykalnie zmienioną sytuację.

Legenda wojny wyzwoleńczej, romantyka niepodległościowa — to są wszystko formacje nacjonalistyczne. Każdy nacjonalizm z ducha i z treści jest indywidualistyczny, egocentryczny a tym samym a-federacyjny.

Idea jagiellońska (którą w czasie ubiegłej wojny odgrzewaliśmy uparcie) jest klasycznym przykładem jak nacjonaliści, nawet owiani tzw. dobrymi chęciami, pojmują ideą federacyjną.

Dziś można przyjąć za pewnik, że każdy nacjonalizm jest imperialistyczny. Jest imperialistyczny nawet wówczas, gdy imperia buduje wyłącznie na papierze.

Polakom, podobnie jak Niemcom, ich nacjonalizm nie tylko utrudnia podjęcie projektów federacyjnych lecz wręcz uniemożliwia zrozumienie sensu nowoczesnego federacjonizmu. Studiując polskie i niemieckie pomysły i projekty musi się dojść do wniosku, że tak dla większości Polaków jak i dla większości Niemców federacjonizm jest tylko nową formą nacjonalistycznej polityki imperialistycznej. Program federacyjny, który nie zawierałby perspektyw dominacji — nie będzie atrakcyjny ani dla Polaków, ani dla Niemców.

Małe i średnie narody uporczywie odmawiają przyjęcia do wiadomości narodzin nowej epoki. Niestety możemy uznać za prawdopodobne, że wilsonowska ,,wiosna ludów'' z 1918 roku nie powtórzy się. Jeżeli zwycięży Rosja — w stosunku do Moskwy nikt nie będzie suwerenny. Jeżeli zwyciężą Anglosasi energia atomowa zostanie poddana międzynarodowej kontroli i o sprawach tego świata decydować będzie jakaś ulepszona O.Z.N.

Nawet jeżeli wyobrazimy sobie najbardziej idealne rozwiązanie to i ów ,,ideał'' nie przywróci nam suwerenności. Załóżmy, że komunizm sowiecki skapitulował, że nastąpiła szczęsna era opamiętania i rozsądku. Energię atomową umiędzynarodowiono, powołano do życia nową O.Z.N. w której zasiadają przedstawiciele uwolnionej Polski. Jednym słowem sytuacja wymodlona-wymarzona i oby nam było sądzone takiej chwili doczekać !

Spróbujmy ów idealny obraz rozpatrzyć z punktu widzenia realnej polskiej polityki.

Nawet gdyby ową przyszłą O.Z.N. zorganizowano na najdemokratyczniej pojętych zasadach — to nie ulega wątpliwości, że o wszystkim decydować będą Anglosasi jako ugrupowanie najliczniejsze i najpotężniejsze.

Nie należy mieć złudzeń. Małe narody — zarówno w takiej czy innej O.Z.N. jak i w takim czy innym ,,rządzie światowym'' — będą posiadać znikome wpływy i będą miały znikomo mało do powiedzenia.

W pewnym sensie Jałta nie była zamknięciem, lecz przeciwnie, otwarciem ery ! W epoce atomowej władza przesunęła się całkowicie w ręce suwerenów wodorowych. Jeżeli powstanie kie-

dyś międzynarodowa kontrola atomowa, będzie to w praktyce oznaczało, że suwereni wodorowi zdecydowali się stworzyć wspólny ,,bank'' atomowy. Nie ulega jednak wątpliwości, że władzę nad tym ,,bankiem'' zatrzymają w swoich rękach. Byłoby naiwnością przypuszczać, że stanie się inaczej.

Epoki wodorowej nie można odwołać. Bombę wodorową można poddać takiej czy innej kontroli — nie można jej jednak anulować. I z tym faktem małe narody muszą się pogodzić.

Jeżeli na Kremlu pojawiłby się kiedyś rząd, który Anglosasi uznaliby za dostatecznie demokratyczny, a w dyspozycji tegoż rządu znajdowałby się nietknięty rosyjski przemysł atomowy — byłoby naiwnością myśleć o suwerennej niepodległości nad Wisłą. Różnica potencjałów siły byłaby tak przytłaczająca, że jest oczywiste, iż w Warszawie mógłby istnieć tylko rząd całkowicie pro-rosyjski.

Na tym przykładzie lepiej niż na jakimkolwiek innym można studiować zasadniczą zmianę pozycji małych narodów w epoce atomowej. Jeżeli przyjmiemy, że stosunek potencjałów siły Polska : Sowiety w roku 1939 wynosił np. 1 : 10 — to stosunek Rosji mocarstwa wodorowego (bez względu na jej ustrój) do Polski wyrażałby się proporcją jak 1 : N. Pod symbol N można wstawić dowolnie zarówno cyfrę tysiąc jak milion. Albowiem państwo konwencjonalnie uzbrojone w stosunku do ,,wodorowego'' sąsiada jest de facto zupełnie bezbronne.



Nie jest moim celem w niniejszym artykule rozważanie przyszłości Rosji i komunizmu. Uwagi na ten temat służyć mają jedynie za ilustrację tezy, że w epoce atomowej statut małych i średnich narodów uległ radykalnej zmianie. Polacy w Kraju są tego niepomiernie bardziej świadomi niż my. Ich ,,generalna linia'' postępowania, która stanowi całkowite ,,novum'' w naszych dziejach jest dowodem re-orientacji polskiej metody.

Na emigracji nie przyjęto do wiadomości narodzin nowej epoki. Dramatyczne debaty w brytyjskiej Izbie Gmin na temat bomby wodorowej, dyskusje, polemiki, protesty na łamach prasy anglosaskiej po obu stronach Atlantyku — w świecie emigracyjnym nie odbiły się najmniejszym echem. To nas nie dotyczy. Polska Stronnictwa Narodowego i Ligi Niepodległości — Polska NiD'u i Rady Trzech — leży poza wiekiem atomowym daleko za rogatkami realnego świata.

W emigracyjnej ,,krainie czarów'' obowiązuje w pełni wiek XIX-ty. Łobodowski pisał niedawno :

> ,,W Londynie odbywa się wieczór Lwowa. Ktoś wygłasza przemówienie, ktoś inny snuje czułe wspomnienia, Włada Majewska śpiewa piosenki lwowskie. W prasie ukraińskiej ukazują się namiętne notatki po raz setny oskarżające Polaków o imperializm''.

Jest coś patetycznego w tych bojach cieni o cienie miast. Polacy i Ukraińcy wyobrażają sobie naiwnie, że jeszcze kiedyś leżeć będzie w ich mocy stwarzać terytorialne fakty dokonane, prywatnymi wojnami przesuwać granice i zajmować miasta. Polakom się wydaje, że jeszcze kiedyś istnieć będzie w pełni suwerenna armia polska.

Ostatnim wodzem suwerennej armii polskiej był marszałek Rydz Śmigły— ostatnim i historycznym. Rokossowski podlega rozkazom Moskwy. Jeżeli powstanie kiedyś polska armia na Zachodzie podlegać będzie rozkazom głównej kwatery sojuszniczej. Jeżeli odzyskamy wolność i Rosja wycofa się z Polski nasza armia wejdzie w skład armii europejskiej i podlegać będzie takiemu czy innemu ,,atlantyckiemu'' czy ,,europejskiemu'' dowództwu. W epoce atomowej naród 20 czy 30-milionowy może liczyć jedynie na ,,konwencjonalną'' suwerenność i w rezultacie jego armia zawsze komuś podlega.

To samo dotyczy granic. Jeżeli kiedyś problem Lwowa ożyje jego los zadecyduje się w Waszyngtonie, w Londynie czy w Moskwie — w jednej z atomowych stolic świata. Kijowska wyprawa Piłsudskiego jest dziś równie odległa i w tym samym stopniu historyczna co szczerbiec Chrobrego.

Przed małymi narodami istnieją tylko dwa typy polityk. Albo będą klientami wielkich potęg, albo połączą się, tworząc zespoły wielko-obszarowe.

Klient jest satelitą. Każdy system satelicki jest determinowany warunkami geopolitycznymi a nie sympatiami czy pokrewieństwami kulturalnymi.

Gdyby Metternich wstał dziś z grobu, z całą pewnością doszedłby do wniosku, że nigdy w dziejach nie było tak idealnych warunków do ugruntowania rządów ,,świętego przymierza''. Jeżeli do tej pory nie powstało tego typu ,,święte przymierze'' (ku zmartwieniu pewnych zachodnich polityków) — to składają się na to dwie przyczyny : idealizm amerykański i rewolucjonizm sowiecki. Rosjanie nie wyrzekli się planu skomunizowania świata — Amerykanie nie wezmą nigdy udziału w światowym pogrzebie idei wolności.

Jedyną nadzieję małych narodów stanowi fakt, że osiągnięcie stabilizacji nie jest możliwe. Zmartwychwstały Metternich w stolicach Europy znalazłby zwolenników, ale nie zdołałby się porozumieć się z Waszyngtonem, ani z Moskwą.

Dopóki system wodorowy nie jest ustabilizowany istnieje dla małych narodów możliwość wypracowania nowych form politycznych. Zdrowy rozsądek wskazywałby, że dla małego narodu jest rzeczą korzystniejszą sfederalizować się z dwoma czy trzema innymi małymi narodami niż być klientem-satelitą wodorowego suwerena.

Wybór polityki federacyjnej narzuca się z taką bezsporną oczywistością, iż jest rzeczą zdumiewającą, że do tej pory w tym kierunku nic nie zrobiono. Nic nie zrobiono, bo przywódcy polityczni małych narodów nie chcą ani federacji ani satelictwa —

tylko, dawną pieśnią wykołysanej, pełnej suwerennej niepodległości.

W naszych sztabach politycznych do tej pory nikt nie zauważył, że doktryna i ideologia wojny niepodległościowej tak jak ją ukształtował i rozumiał Piłsudski — jest całkowitym anachronizmem. Nie mniejszym anachronizmem jest ideologia i polityczna filozofia Dmowskiego. Ani Piłsudskiego ani Dmowskiego *nie można przykroić* do epoki atomowej. Jest rzeczą krzywdzącą dla pamięci tych dwóch wybitnych Polaków — aktualizowanie ich teorii, doktryn i wskazań ,które powstały w zupełnie odmiennych warunkach i w innym, definitywnie zamkniętym, okresie historycznym.

Nie ma bardziej niebezpiecznego ,,chwytu'' w polityce jak demagogiczne powoływanie się na ,,wiecznie żywe nakazy''. W ten sposób wielkim postaciom z przeszłości każe się żyrować współczesne nonsensy.

Jest rzeczą dziwną, że w tej epoce — nie małe narody, najdotkliwiej zdeklasowane, lecz przeciwnie wielkie narody wykazują maksimum elastyczności i żywotności w dostosowaniu swych polityk do zmienionych warunków. Powinno być odwrotnie. Największą żywotność i energię winni wykazać ci, którym zagraża największe niebezpieczeństwo. Lecz cóż... 80-letni Churchill jest radykałem, rewolucjonistą i ,,wywrotowcem'' w porównaniu z konserwatystą i widzialną głową T.R.J.N. — Dr Bieleckim.

Jak powiedziano powyżej przed małymi narodami są tylko dwie drogi : klienta-satelity wielkich — lub w federacyjnych zespołach regionalnych. Nie waham się twierdzić, że ci, którzy głoszą nacjonalistyczną, tradycyjną politykę — uniemożliwiają federacyjne porozumienie *dziś* a tym samym przygotowują statut klienta-satelity dla swych narodów *na jutro*.

Zbilansujmy nasze dotychczasowe rozważania :

1. — Rozwój technicznej cywilizacji w ogólności, a bronie atomowe w szczególności, zmieniły zasadniczo i *trwale* pozycję małych narodów.

2. — Polityki niepodległościowe małych narodów oparte są dziś na fałszywych założeniach. Ich cel : suwerenna niepodległość i droga do tego celu wiodąca : wojna wyzwoleńcza — nie są w obecnej epoce programem realnym.

3. — Kontynuowanie polityki nacjonalistyczno-niepodległościowej dawnego stylu prowadzi nieuchronnie do sparaliżowania wszelkich planów federacyjnych co na dalszą metę leży jedynie *w interesie Rosji*. Z punktu widzenia polityki rosyjskiej (każdej polityki rosyjskiej) — najbardziej pożądana będzie zawsze Europa środkowo-wschodnia złożona z ,,suwerennych'' i ,,niepodległych'' państewek zgłaszających do siebie nawzajem dziesiątki terytorialnych pretensji.

4. — Kierownictwa polityczne oddają złą przysługę sprawie polskiej starając się podmurować sw politykę ,,nacjonalistyczno-mocarstwową'' wątpliwą teorią, że w wyniku następnej wojny światowej Rosja przestanie być mocarstwem. Ani polityka so-

wiecka, ani polityka amerykańska nie dają żadnych podstaw do wysuwania tego rodzaju koncepcji. Choć nie wiemy co przyszłość przyniesie, z punktu widzenia polityki polskiej jest rozsądniej i bardziej realistycznie przyjąć, że Rosja być może pozostanie wielkim mocarstwem nawet wówczas gdy zrezygnuje z rewolucji światowej.

5. — Federacji nie można projektować na papierze. Układ tego typu jest determinowany racjami geopolitycznymi i gospodarczymi a nie sympatiami i propagandą. Bez względu na reakcje uczuciowe winniśmy przyjąć za pewnik, że fundamentem każdego planu federacyjnego w środkowo-wschodniej Europie musi być *pełne* porozumienie polsko-niemieckie. To jest ,,A'' od którego wszystko należy zacząć. Tylko poeci i literaci z emigracyjnych klubów federacyjnych mogą sobie wyobrażać, że Polska może podjąć jakąś inicjatywę federacyjną w Europie wschodniej będąc w permanentnej ,,wojnie'' z Rosją i w sporze z Niemcami. Spór polsko-niemiecki ciąży jak głaz nad całością federacyjnego problemu i tej sprawy nie da się ani ominąć ani wymazać. Musi się ją rozwiązać.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Bonn — stolica mimo woli

,,Oto Godesburg dokąd lubił przyjeżdżać ten smutny dureń, Hitler'' — powiedział szofer taksówki, którą udało mi się sprowadzić na skrawek pustej łąki gdzie lądował helikopter Sabeny; tę hałaśliwą frygę można znieść tylko z watą w uszach. Było jeszcze wcześnie. Szofer widząc, że nie znam zupełnie stolicy, jechał w stronę Godesburga służąc mi jednocześnie za guide'a. Minąwszy chaos zatłoczonego miasteczka, widocznie przeciążonego nową godnością i, niestety, zeszpeconego, jechaliśmy wzdłuż ministerstw i ambasad. Oficjalna dzielnica wyrosła bez żadnego planu, bez śladu urbanizacji : tu i ówdzie brzydki sześcian i puste tereny pomiędzy białymi wysepkami. Instalowano się tu w nieładzie prowizorium, a w czasie jego trwania rozmnażały się budynki. Przejeżdżamy obok nowego ,,Domu Prasy'' : budowla monumentalna, ale jeszcze niewykończona. Później wytłumaczą mi, że imponujące rozmiary tego sześcianu narzucone zostały rozbudową nasłuchu i biura tłumaczeń cudzoziemskich audycji, jak również liczbą oficjalnych publikacji (ostatnią z nich jest biuletyn w języku arabskim), etc. A oto Parlament, miejsce pielgrzymek turystów, podobnie jak waszyngtoński Kapitol. Jest to dawne gimnazjum, pośpiesznie rozszerzone, któremu brak majestatu, ale nie komfortu. A oto ministerstwo Poczt i Telegrafu z cienkimi kolumnami, przypominającymi wystygły makaron. Naprzeciw Union Jack'a ambasady brytyjskiej powiewa czerwony sztandar siedziby socjalistów, jest to skromny pawilon o przyjemnym wyglądzie. Rezydencja prezydenta i pałac Schauernburg, siedziba kanclerza i jego najbliższych współpracowników, są wytchnieniem dla oczu zmęczonych nadmiarem ciężkiego i konwencjonalnego modernizmu.

Bonn, według terminologii europeizmu i Zgromadzenia Strassburskiego mogłoby być nazwane stolicą ,,ad hoc''. Potrzeba tworzyła organy wykonawcze; ale jeżeli potrzeby miały pozostać prowizoryczne, urzędy nabrały charakteru ostatecznego. Gwałtowna wola zjednoczenia narodu za wszelką cenę powinna

była uzewnętrznić się w improwizacji baraków, w których rząd, zamiast osiadać, koczuje — czekając na powrót do prawdziwej stolicy, Berlina. Ale nic podobnego. Przykład dali Amerykanie budując koło Godesburga monumentalne budynki dla swoich okupacyjnych administracji, których zadanie dobiega przecież końca. Wysoki Komisariat Amerykański składa się z nielicznych biur i obejmuje także restauracje i kawiarnie, w których urzędnicy po ,,Hamburger'ze'' grają w ,,pinochle'' i kanastę. Pomiędzy tym budynkiem-olbrzymem i małym kościółkiem z czerwonej cegły, jakby żywcem przeniesionym z Massachussets, biegnie ulica, która nazywa się Europastrasse. Cóż pozostaje z tej okupacji poza roześmianą twarzyczką malca-mulata, mówiącego narzeczem renańskim?

Tutaj, na tym skrawku Ameryki, wydawało się, że stworzono coś ostatecznego, tymczasem przedzierzgnęło się to natychmiast w prowizorium. Przeciwnie Bonn — tymczasowa stolica, powstała na skutek przypadkowego głosowania, rozwija się. To zło konieczne, to Vichy wolnej strefy, stało się centrum politycznym państwa o 50 milionach ludności. W małym miasteczku uniwersyteckim, opuszczonym od dawna przez wielkie fortuny i wielką kulturę zapuściło korzenie miasto urzędników-imigrantów, którzy nudzą się i na week-end uciekają z tego ciężkiego klimatu. Urzędy, w oczekiwaniu na wybudowanie solidnych pomieszczeń, umieściły się w budynkach raczej nieprzyjemnych. Urzędy prasowe oraz Ministerstwo Obrony (które zresztą rozszerza się na baraki), podzieliły się starym Instytutem Zoologicznym. Wszedłszy, widzi się na lewo, ponad drzwiami, łaciński napis sławiący Jehowę (datuje się on chyba z okresu przedhitlerowskiego), a na prawo inny, głoszący, że natura jest mistrzynią sztuk. Następnie aż do mansard wszędzie urzędnicy i oficerowie, każdy w swojej celce, noszącej na drzwiach nazwisko lokatora. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych — inny okaz kubizmu — winda, zwana ,,paternoster'', przesuwa dyplomatów w ruchomych klatkach, jak gdyby byli produkowani seryjnie i następnie kierowani w stronę swoich przeznaczeń.

Jestem w pałacu Schauernburg. Przy wejściu pokój, w nim stół, łóżko polowe i młody wartownik. Tu, tam samo jak gdzie indziej, czekają na przybysza surowe formalności, pozbawione jednak sztywności. Po chwili staję przed obliczem Sekretarza Stanu, p. Globke; zza okularów w rogowej oprawie, za ogromnym biurkiem, zarzuconym aktami, wygląda on niezmiernie imponująco. Dystans jaki narzuca nam przeciążony sprzęt świadczący o pracowitości tego wielkiego mistrza personalii, podkreśla jeszcze jego zamknięta twarz oraz mowa powolna i opanowana. — ,,Dlaczego rządowa dzielnica jest tak brzydka?'' — pytam Sekretarza Stanu. — ,,Być może — odpowiedział — że nasz Parlament wziął zbyt dosłownie określenie 'prowizorium'. Mamy opracowany plan ośrodka administracyjnego, bardziej oddalonego od miasta, ale leży w szufladach i nic się o nim nie chce wiedzieć''.

To Państwo, powstałe z rozbioru, chciało koczować w swoim ,,miasteczku związkowym'', ale sześć lat prowizorium sprawiło, że wszystko zastygło i okrzepło: zarówno obywatele tej kwitnącej Republiki jak i ich stolica przybrały na wadze. A przecież Bonn nie stworzyło atmosfery stolicy. Ani jedna wychodząca tu gazeta nie usiłowała stać się organem ogólno-narodowym na wzór dzienników Frankfurtu, Hamburga czy Monachium. W Bonn nie ma pierwszorzędnego teatru — jak na przykład w dziesięciu innych miastach niemieckich krajów. Tuż obok jest Kolonia, jest Düsseldorf — tam tętni dynamiczne życie Republiki. W Bonn staroświecki tramwaj paraliżuje rytm drgających Mercedesów. Intelektualizm niemiecki, gospodarka niemiecka, wszystko to przesiąka tu przedestylowane i stonowane.

Na klimat w Bonn narzekają wszyscy przybysze, z wyjątkiem Kanclerza, który urzęduje na wzniesieniu, oraz mieszkańców Venusberg'u (wśród nich znajdują się przywódcy socjalistów Ollenhauer i Wehner). ,,Kanclerz konserwuje się doskonale w czystym powietrzu zalesionego wzgórza, podczas gdy my, w tym bagnisku, męczymy się i starzejemy przedwcześnie'' — jęczał komicznie urzędnik — ,,w ten sposób zamierza on nas tu wszystkich pochować''. Spotkałem tylko jednego człowieka, który nie uskarżał się na Bonn, ani na jego klimat: był nim radca Hilger, jeden z najwybitniejszych znawców Rosji, w której przeżył 47 lat. ,,Po Waszyngtonie — powiedział nie ma złego klimatu, a poza tym ja tak krótko mieszkałem w Niemczech, że jestem szczęśliwy, że mogę tu przeżyć moje ostatnie lata. Bonn jest przecież w Niemczech, nieprawdaż?''



Po p. Globke udało mi się zobaczyć dawnego sekretarza stanu, p. Lenza; musiał on zrezygnować z utworzenia Ministerstwa Informacji, które chciał mu powierzyć kanclerz, gdyż przeważająca część prasy niemieckiej zarzuca mu gwałtownie, że chce stać się nowym Goebbelsem. Odnalazłem go w klinice Johanniter — wypadek na nartach zmusił go do kilkutygodniowego odpoczynku — skąd bierze udział w życiu politycznym, wygłaszając doniosłe przemówienia radiowe, szeroko komentowane przez prasę. P. Lenz, o ruchliwej, przebiegłej twarzy i żywym temperamencie, wydał mi się o wiele mniej uroczysty niż p. Globke i bardziej skłonny do podzielenia się swymi myślami i namiętnościami z rozmówcą.

,,Cóż właściwie z tym Ministerstwem Propagandy, które tak wyrzucali Panu moi niemieccy koledzy?'' Jak prawie wszyscy politycy, których widzę w Bonn, Lenz nie zastawia się komunałami ale dotyka sedna sprawy. ,,Propaganda? Ależ naturalnie, że jest nam potrzebna. Posiadamy Konstytucję, której nikt nie zna, ustawy demokratyczne, o których naród nie wie i prawa, którymi obywatele nie umieją się posługiwać. Ileż niebezpieczeństw w perspektywie dla państwa demokratycznego,

zbudowanego ponad narodem, który nie zna wcale demokracji. Pod tym względem ankiety urzędów badania opinii publicznej, którymi się wiele zajmowałem, są niezbite : większość naszego narodu nie wie nic o swoim państwie. W tej demokracji jest próżnia, którą może katastrofalnie wypełnić jakiś nowy prąd skrajnie prawicowy lub skrajnie lewicowy, jeżeli w dalszym ciągu będziemy uważali za demokracją intelektualny absenteizm. Należy zmniejszyć ogromną przepaść pomiędzy Państwem a narodem. Uniwersytety ? Większość profesorów lęka się zająć jakieś stanowisko. Znam najwyżej pięciu czy sześciu, którzy by zaryzykowali. Szkoły? W tym ,,Landzie'' renańsko-westfalskim brak jest jakiegokolwiek kształcenia obywatelskiego. Nauczycielstwo pamięta nazizm i denazyfikację. Boi się wszystkiego co mogłoby wyglądać na ,,politykierstwo''. Prasa ? Podaje wiadomości, ale nie uczy poznawania ustaw i mechanizmu wielkich problemów''.

Musiałem przyznać że p. Lenz miał rację stawiając to zagadnienie. Zapytałem go jednak czy nie sądzi, że duża część opinii obawia się pomieszania propagandy za demokracją z propagandą za obecnym rządem i partiami rządowymi ? Stawiając to pytanie przypomniałem sobie, że to właśnie geniuszowi propagandowemu p. Lenza należy w dużej mierze przypisać zwycięstwo Adenauera w ostatnich wyborach. Odpowiedział mi, że nadzór nad funkcjonowaniem ministerstwa informacji miałby zarówno parlament jak i opinia publiczna, która na pewno nie omieszkałaby krytykować w razie potrzeby. Ale czy nie lepiej zachęcać inicjatywy prywatne i nie nazbyt etatyzować naukę o państwie ? Zacytowałem p. Lenzowi przykład Ludwiga, dynamicznego księgarza z dworca kolejowego w Kolonii, który co środę, w wielkiej sali poczekalni trzeciej klasy, przewodzi gwałtownym debatom, mającym często oddźwięk ogólno-narodowy. P. Lenz nie wyglądał na zachwyconego. ,,Dyskusje te często dotyczą władz i mają charakter burzliwy, rezultaty zaś są niekiedy nieoczekiwane''. Odniosłem wrażenie, że p. Lenz życzyłby sobie bardziej solidnie zorganizowanej kultury politycznej i że ma więcej zaufania do tego co państwo samo może zdziałać i powiedzieć niż do prasy i dyskusji. Na wzajemne zbliżenie władz i społeczeństwa patrzy przede wszystkim ze stanowiska władz. I jeżeli prasa niemiecka była prawdopodobnie niesprawiedliwa w stosunku do tego męża zaufania rządu (który zresztą był w ruchu oporu i jest ponad wszelkimi podejrzeniami) i jeżeli w polemikach usiłowała zignorować zagadnienia rzeczowe i poważne jakie stawiał, to, po naszym spotkaniu, mogę zrozumieć że miała pewne powody do rozdrażnienia i niepokoju. Ale prasa zrobiła źle, nie walcząc o wychowanie obywatelskie w szkołach, którego brak jest sprawą bardzo poważną dla ustroju bez tradycji.

Jeśli idzie o problem rozróżnienia ustroju od rządzącej koalicji to zetknąłem się z tym później w różnych dziedzinach polityki wewnętrznej i zagranicznej.

Czy Republika w Bonn jest rewolucją czy restauracją? Można by na ten temat dyskutować w nieskończoność. W Niemczech mówi się często o atmosferze konserwatyzmu i ,,restauracji'', która ciąży nad Republiką. Zarówno w stylu życia jak i w sposobie rządzenia i zgody na rządzenie sobą, a zwłaszcza w autorytecie starego kanclerza i w braku, u większości, kultury politycznej — naród ten, tak nowoczesny w gospodarce wydaje się czepiać przeszłości. I to nie okresu weimarskiego a raczej federalizmu i prowincjalizmu, epoki kiedy rzeczywistością były raczej poszczególne kraje a nie Rzesza. Oddalenie od dawnej stolicy, skupienie życia narodowego w centrum jednej z prowincji, składają się na ten nawrót, ale przede wszystkim potrzeba bezpieczeństwa, solidności i zapomnienia burzliwych przejść, wydają się głównym motywem.

Linia podziału pomiędzy konserwatyzmem a rewolucją nie przebiega poprzez klasy społeczne i partie. Można znaleźć wiele konserwatyzmu w partii Socjaldemokratycznej i w Syndykatach, a wiele odwagi a nawet utopii społecznej wśród twórców nowej armii. Wrócimy jeszcze do tej sprawy. Najważniejszą potrzebą jest czas, konieczny aby to ,,prowizorium'' mogło okrzepnąć. Dla tego Państwa, o nieokreślonych granicach, o rodzącej się suwerenności i dyskutowanych przymierzach — wszystko jest płynne. To może być zachętą dziś dla bierności a jutro dla awantury. Kanclerz Adenauer chcąc w tej atmosferze niepewności stworzyć poczucie solidności, bezpieczeństwa i trwałości, postanowił sztywnie, twardo i z tym co intelektualistom niemieckim wydaje się opłakanym brakiem wyobraźni i giętkości — wcielić w życie politykę wyprutą z dwuznaczności, o liniach wyraźnych, zawierającą zasady, od których nie odstępuje ani na krok. Kanclerz nie jest w istocie człowiekiem wielu idej, ani głębokiej znajomości jakiegoś obcego kraju. Ale bezkompromisowość i prostota jego niezmiennej ,,zachodniości'' wydają się odpowiadać (potwierdziło mi to wielu rozmówców) niemieckiej zmorze aby już nigdy samotnie nie wyzywać świata i losu, i chęci pozostania dożywotnim członkiem jakiegoś ,,szanownego klubu''. Dookoła tej nieprzejednaności, która wydaje się tak ubogą intelektualistom, a tak sporną przeciwnikom, kanclerz chciałby stworzyć klimat zaufania i uczucie praworządności. Ta wola stabilizacji i bezpieczeństwa może wydawać się egoizmem dostatniej ludności, która jednocześnie nie dba o los swoich bardziej upośledzonych braci, żyjących w reżymie sowieckim. To nie jest jeszcze wszystko. Jest w tym żądaniu nauka, wyciągnięta z ostatniego doświadczenia i wymogi pierwotne samego życia. Tak w każdym razie, niezależnie od osądów, wygląda rzeczywistość. ,,Gdybyśmy się poczuli odosobnieni mimo naszego przymierza, i w łonie samego przymierza, ta atmosfera mogłaby ulec zmianie — powiedział mi urzędnik Aussenamtu — i wtedy mogłoby to nastąpić szybko.

Tymczasem większość wyborców wydaje się odrzucać hasło socjalistów — Zjednoczenia Niemiec niemal za każdą cenę. Dla

milionów uciekinierów ważniejsze jest bezpieczeństwo osobiste, którego nie znali pod reżymem komunistycznym i bezpieczeństwo zbiorowe, którego wyrazem jest sojusz zachodni. Wybory w Dolnej Saksonii z końca kwietnia , były zresztą zjawiskiem ciekawym : okręgi wyborcze, położone najbliżej strefy komunistycznej nie poszły — z jednym tylko wyjątkiem — za hasłem socjalistycznym. Ci, dla których podział Niemiec jest często rozdarciem rodziny czy pola — nie chcą myśleć o zjednoczeniu, ale o bezpieczeństwie. w obawie, że reżym Ulbrichta mógłby się w jakiejkolwiek formie i na nich rozciągnąć.

Jeszcze dzisiaj słyszy się o szoku jaki w momencie euforii i stabilizacji wywołała wojna w Korei. Wszyscy uświadomili sobie nagle, że w wypadku jakiejś agresji pod płaszczykiem wojny domowej, na wzór koreański, Niemcy Wschodnie, z silną, zmilitaryzowaną policją — byłyby górą. Od tego czasu minęło pięć lat. Strach został usunięty, ale nie zapomniany. Być może że na Zachodzie nikt nie zdaje sobie dostatecznie sprawy z tego, że Niemcy komunistyczne, obejmujące jedynie jedną trzecią ludności niemieckiej są wojskowo o wiele silniejsze niż Republika Federalna, strzeżona przez małą ,,Grenzschutz'', złożoną z kilku tysięcy ludzi. Nie istnieje nawet policja na szczeblu federalnym; jest jedynie policja poszczególnych prowincji, którą Republika może, pod pewnymi warunkami, dysponować. Z punktu widzenia bezpieczeństwa wewnętrznego wola Aliantów dopomogła do stworzenia państwa słabego. Obecnie, ci sami Alianci domagają się od Republiki Federalnej rewizji Konstytucji w sensie zwiększenia centralnych pełnomocnictw i poza tym zastrzegając dla siebie prawo utrzymania swoich wojsk w Niemczech. Alianci jednak — mimo zrozumienia konieczności jaką jest dla państwa demokratycznego możność obrony przed skrajnymi partiami, które mogłyby zawładnąć jednym z ,,Länder'', nie chcą jeszcze przyznać, że tak samo jest koniecznością dla tej Republiki możność obrony przed zmilitaryzowanymi Niemcami Wschodnimi. Skonfiskowano lornetki polowe wszystkim żandarmom w zachodnim Berlinie, zabroniono uzbrajania i obrony statków na Sprewie, z których kilka zostało ostatnio przychwyconych przez policję komunistyczną i (na skutek nacisku angielskiego i francuskiego) odebrano rewolwery, rozdane uprzednio policji w zachodnim Berlinie. Jeżeli się pomyśli, że uprowadzania a nawet zabójstwa zachodnich policjantów zdarzyły się już wiele razy w zachodnim Berlinie, trzeba sobie powiedzieć, że to stanowisko alianckie nie dodaje demokracji niemieckiej poczucia bezpieczeństwa i zaufania; stan przejściowy pomiędzy klęską, okupacją i sojuszem przedłuża się wywołując niebezpieczne efekty psychologiczne.

Jedną z zasadniczych różnic pomiędzy sytuacją niemiecką a austriacką jest ta, że Niemcy są podzielone na dwa państwa, z których jedno — komunistyczne — uzbroiło się pierwsze i zachowa przewagę co najmniej jeszcze przez dwa lata. W tych warunkach dla większości Niemców bezpieczeństwo, które mo-

gliby zapewnić dalecy ,,gwaranci'' nie jest warte tego, które dają alianci znajdujący się na miejscu. O tym podstawowym względzie zapomina się często zarówno w Niemczech, jak i zagranicą, gdy dyskutuje się o neutralizacji czy o ,,rozwiązaniu austriackim'', ale w Republice Federalnej jest on bardzo istotny dla szarego człowieka.

POWSTAJĄCA ARMIA

Czy ta prowizoryczna, powoli umacniająca się demokracja jest zagrożona jedynie z zewnątrz lub przez skrajne prądy, które mogłyby wyjść z dołów? Pytanie, które stawia się zarówno w Niemczech jak i poza Niemcami brzmi: czy nie będzie ona przede wszystkim zagrożona przez instrument, który ma służyć do jej obrony, to jest przez armię. Czy ten nowy, masywny filar, którym podpiera się budowlę niemiecką, wzmocni ją czy też spowoduje rozpadnięcie się całego domu pod ciężarem którego nie wytrzymają fundamenty? Niemcy pamiętają Reichswehrę, która na skutek klęski stała się samodzielnym czynnikiem politycznym. Cywile nigdy naprawdę nie ośmielili się jej dotknąć, a przez swój jawny czy ukryty udział w życiu politycznym przyczyniła się ona do zguby Republiki Weimarskiej.

Rozmawiałem na temat powstającej armii z ludźmi takimi jak Franz-Josef Strauss — czterdziestoletni, najmłodszy minister Republiki, który jako polityk, historyk i eks-żołnierz z pierwszej linii pasjonuje się stale tym zagadnieniem; oraz z twórcami tej armii: generałem Heusingerem, hrabią Baudissinem i innymi oficerami osławionego ,,Amt Blank''. Daję poniżej treść tych rozmów i refleksje jakie się na ich podstawie zrodziły nie cytując dosłownie żadnego z moich rozmówców; nie należy więc ich czynić odpowiedzialnymi za poniższe twierdzenia ani za akcenty śmiało położone przeze mnie na tych stronach zagadnienia, które mogą być nieznane czytelnikowi ,,Kultury''.

1) Armia, jakaby nie była jej struktura i jej duch, zmieni równowagę wewnętrznych sił Republiki. To jest oczywiste. Obecnie największą siłę w Państwie reprezentują syndykaty robotnicze. Nic nie byłoby w mocy pokrzyżować decyzji strajku generalnego czy strajku środków transportowych. Możliwość rekwizycji wojska i ciężarówek dla zapewnienia niezbędnej komunikacji wystarczy aby tę ewentualność znacznie zmniejszyć. Nie idzie tu o wystąpienie wojska przeciwko strajkującym — takie przypuszczenie zarówno Ministerstwo Obrony jak i sami wojskowi odrzucają a priori, z największą energią. Ale istnieje możliwość zastąpienia funkcji. Syndykaty zdają sobie z tego sprawę i jakkolwiek ich własna polityka jest najczęściej umiarkowana i bardzo daleka od rewolucyjnego syndykalizmu czy gry za pomocą strajku generalnego, to jednak są bardzo czułe na zmianę układu sił, jaką wprowadza powstanie tej nowej instytucji. Można

przypuszczać, że ich opozycja przeciwko uzbrojeniu nie jest be- związku z rozważaniem tej siły.

2) W okresie weimarskim armia była starsza niż Repu- blika. To armia pozwoliła umacniać się demokracji mimo pogró- żek komunistów, secesjonistów a nawet, przy okazji, wbrew skrajnej prawicy. Armia reprezentowała tradycję, wcielała tęskno- ty, legendę i wkrótce nadzieję. Klęska — to byli politycy; po- dźwignięcie się — to była armia. Silna tą tradycją i tym przeko- naniem stała się Państwem w Państwie.

Nic podobnego dzisiaj. Demokracja jest umocniona. Klęska obarcza nie ją ale militaryzm, który ją poprzedzał. Tradycja jest złamana. Opinia publiczna jest silnie anty-wojskowa i armia narodzi się w ogniu krytycznych spojrzeń, śledzona przez prasę nie mającą dla niej szacunku i gotową ujawnić wszystkie nadu- życia i wszystkie intrygi. Parlament już dziś zastrzega sobie wy- datną kontrolę. Socjaliści, mimo opozycji z zasady, będą intere- sowali się zarówno strukturą tej armii jak i jej stosunkiem do władz cywilnych, które winny zostać nadrzędne. Ich opozycja, z tego punktu widzenia, będzie konstruktywna a nie jedynie nega- tywna.

Niemcy dysponują wielką liczbą pułkowników i generałów, ale brak im młodych podoficerów. Kadra mająca bezpośredni kontakt z żołnierzami musi powstać od nowa rozporządzając po- koleniem trudnym, bez sławnych wspomnień, sceptycznym jeśli idzie o tradycję życia koszarowego. Armia rodzi się w warun- kach całkowicie odmiennych niż w przeszłości i przykład Wei- maru służy raczej za ostrzeżenie a nie za wzór.

3) Oficerowie sztabowi, którzy obecnie w ,,Amt Blank'' przygotowują nową armię są lądźmi, którzy po roku 1945 przy- stosowali się do życia cywilnego. Nauczyli się zawodów, zara- biali na życie i często doszli do doskonałych wyników. Ich hory- zonty są szersze niż zawodowych oficerów, znających wyłącznie życie wojskowe. Ich stanowisko wobec cywilów jest gruntownie zmienione, pozbawione pychy i dawnego kompleksu wyższo- ści. Weźmy przykład p. M., o nazwisku francuskiego Huge- nota, jednego z współpracowników hrabiego Baudissina. W chwi- li klęski był on prawdopodobnie najmłodszym oficerem sztabo- wym armii. Powróciwszy z Anglii, z niewoli, uczył się księgar- stwa, był następnie urzędnikiem wielkiej księgarni w Hano- werze studiując jednocześnie muzykę. Kiedy ,,Amt Blank'' przy- słał po niego, nie był człowiekiem, który żyjąc na poddaszu z pół pensji oczekuje chwili gdy ojczyzna wezwie go pod broń i da mu utrzymanie.

Hrabia Wolf Baudissin, najbardziej radykalny z reformato- rów, można by powiedzieć, ,,progresista'' nowej armii, poka- zał mi wazon, stojący na jego biurku. ,,Oto ceramika, którą wy- rabiam wraz z żoną rzeźbiarką i uczenicą Despiau. Zajmuję się

poza tym kształceniem młodych robotników w przemyśle węglowym''.

Zainteresowania pedagogiczne, artystyczne i prawdziwie intelektualne wydają się wspólną cechą tych ludzi, którzy w półtora wieku po Scharnhorstach, Gneisenauach i von Steinach podejmują na nowo ich dzieło. Sam Baudissin mnoży odczyty i memoriały w obronie swoich koncepcji, które wydają się rewolucyjne nie tylko w porównaniu z dawną armią niemiecką, ale nawet w porównaniu z większością armii współczesnych : każdy żołnierz będzie wyborcą i może być wybrany; noszenie munduru poza służbą jest nieobowiązkowe; obowiązek salutowania jedynie w stosunku do bezpośrednich przełożonych. Akcent będzie położony na godności człowieka, zaś karność zastąpi świadoma współpraca ,,team'u'' wszędzie, gdzie w ramach dyscypliny będzie to możliwe i gdzie różnorodność i specjalizacja będą tego wymagały. W służbie będzie się popierało wszystko co może dać zawód, użyteczny następnie w życiu cywilnym. W ten sposób osiemnaście miesięcy służby zamiast być stratą czasu będzie zużyte na kształcenie w zawodzie. Poza względami pedagogicznymi, które świadczą o znajomości zagadnień i obaw młodzieży zawiedzionej, sceptycznej a nieraz cynicznej, hrabia Baudissin proponuje (cytuję tutaj jedno z jego publicznych przemówień): ,,Siły zbrojne nie powinny być autonomiczne, chyba w wypadku gdy zadanie wojskowe wymaga tego nieodparcie. Państwo demokratyczne nie może rezygnować ze zdobywania zwolenników dla swego ustroju wśród sił zbrojnych. Przeciwnie, powinno baczyć, by żołnierz w czasie swojej służby nie był pozbawiony wolności i godności ludzkiej, a więc praw, których winien bronić. Państwo nie powinno rezygnować z uświadamiania żołnierzy o swoich walorach''.

Można by powiedzieć, że troska o stworzenie najbardziej demokratycznej armii świata (cytowano mi często przykład szwedzki) jest utopią, złudzeniem które nie utrzyma się w zetknięciu z rzeczywistością i tradycjami i które świadczy o skłonności niemieckiej do przechodzenia zbyt łatwo z jednej ostateczności w drugą. W każdym razie jednak zasadę tę stosuje się przy wyborze przyszłych generałów. Należy znaleźć około 60-ciu generałów spomiędzy 1.300 będących w dyspozycji Republiki Federalnej nie licząc awansów. Powołuje się chętniej tych, którzy umieli przystosować się do życia cywilnego. Stosując tę zasadę do wszystkich wyższych oficerów należy się przygotować na płacenie atrakcyjnych poborów. ,,Dobra armia musi być armią drogą'' powiedziano mi. Zresztą twórcy nowej armii są zdecydowani nie spieszyć się.

4) Ten punkt zasługuje na specjalne rozwinięcie. Oto zbiorowa opinia ,,Amt Blank'' : podczas czterech lat polityka opóźniała dzieło obrony niemieckiej; Ministerstwo Obrony nie mogło nic przygotować, gdyż nigdy nie miało kredytów, zaś stopniowe powiększanie ,,Grenzschutz'u'', które było i możliwe i rozsądne,

nie zostało przeprowadzone. Wojskowi nie chcą aby dzisiaj popychali ich politycy niemieccy czy alianccy. Jeżeli ,,Amt Blank'' obracał się przez lata w próżni to nie jest jeszcze powodem aby mógł nagle stworzyć korpus wojskowy. Zacznie się od starannego tworzenia niższych kadr na zasadzie ścisłej i trudnej selekcji, w której liczyć się będą przede wszystkim zalety charakteru, zdolność do kierowania ludźmi i przekonania demokratyczne. Ankieta jednego z instytutów Badania Opinii Publicznej ujawniła że 30 procent emerytowanych oficerów jeszcze dzisiaj uważa, że Hitler był największym mężem stanu w historii Niemiec. Tych 30 procent ,,Amt Blank'' nie chce za żadną cenę.

Pośpiech w tworzeniu wojska jest niebezpieczny nie tylko z politycznego punktu widzenia, ale również może się niekorzystnie odbić na jego jakości. ,,Amt Blank'' zamierza więc powołać pierwsze roczniki nie wcześniej jak w roku 1957.

Sztab generalny który do tego stopnia troszczy się o prawa obywatelskie i założenia demokratyczne jest paradoksem i to nie tylko w Niemczech. Drugim paradoksem jest to, że sztab generalny chce tworzyć armię wolno, podczas gdy władze cywilne pchają do uformowania jej szybciej. To są zresztą paradoksy wynikające raczej z dotychczasowych przesądów i tradycji niż z okoliczności, które tłumaczą to stanowisko.

5) Nie należy mieszać najbardziej demokratycznej struktury wewnętrznej armii z zasadniczym zagadnieniem, którym jest absolutne posłuszeństwo sił zbrojnych wobec woli rządu, a więc władz cywilnych. W Wielkiej Brytanii wewnętrzny ustrój armii jest dyktowany dyscypliną rygorystyczną, nieraz nawet średniowieczną, co jednak nie przeszkadza podporządkowaniu jej władzy cywilnej. Armia której struktura jest bardziej demokratyczna, może doskonale jednocześnie odgrywać rolę politycznie reakcyjną i podkopywać demokrację. Wypadek pułkownika von Bonina zdarzył się w samą porę aby wykazać że Blank nie zamierza tolerować żadnej intrygi politycznej. Jeszcze kilka takich wypadków a tradycja przewagi cywilnej, której brakło Weimarowi, zostanie gruntownie ustalona. Minister Strauss oświadczył mi, że największe wrażenie zrobiło na nim w Waszyngtonie wezwanie pewnego generała do biura jednego z urzędników, który wypytując go o różne sprawy natury technicznej, szereg razy mu przerywał, prosząc o bardziej dokładne szczegóły, a następnie pożegnał się z nim bez żadnych ceregieli. Czy w Niemczech pierwszy lepszy cywil potrafi rozmawiać w ten sposób z generałem, wezwać go i pożegnać bez stawania w duszy na baczność? Oto jest pytanie. Jest jeszcze za wcześnie aby dać na nie ostateczną odpowiedź.

Ale zarysowuje się inne niebezpieczeństwo całkowicie odmienne od osławionego, dawnego militaryzmu. Nazwałbym je odrodzeniem militaryzmu poprzez ,,odchylenie lewicowe''. Wśród najlepszych umysłów nowej armii spotyka się dzisiaj więcej śmiałej myśli, więcej pociągu do nowatorstwa i — ośmieliłbym się

powiedzieć — więcej namiętności demokratycznej i prawdziwego internacjonalizmu niż wśród przeciętnych polityków i urzędników cywilnych. W społeczeństwie ślubującym ,,restaurację'' nowa armia daleka od wzmacniania otaczającego ją konserwatyzmu mogłaby zastrzyknąć Republice elementy prawie rewolucyjne. Ale w miarę jak armia zaczynałaby okazywać się lepszą od otaczającego ją społeczeństwa mogłaby w niej zrodzić się pokusa zajęcia miejsca tegoż społeczeństwa. Zarówno w dziedzinie wychowania jak i w potrzebie ideału istnieje dzisiaj w Niemczech wielka próżnia, której nie zapełni odrzucenie wszelkiej polityki, nieufność, sceptycyzm i zdecydowany anty-militaryzm. Już dzisiaj teologowie zwracają się do armii i mówią: jakie to szczęście, te 18 miesięcy, pozwolą one wpłynąć na ukształtowanie młodzieży. To samo mówią pedagodzy. Zapytują się czy dla wychowania obywatelskiego (którego brak w szkołach tak opłakuje p. Lenz) służba wojskowa nie będzie najlepszym okresem i oczekiwaną szansą. ,,Amt Blank'' nie chce się jednak — używając słowa typowo niemieckiego — poddać od zaraz ,,überfordern'', to jest zbytnim wymaganiom. Ta instytucja obrony nie chce być armią zbawienia i musi znaleźć kompromis pomiędzy utopią a tradycją.

6) Czy armia niemiecka mogłaby nagle wcielić wielkoniemiecki patriotyzm, mistykę zjednoczenia, braterstwo broni z żołnierzami Niemiec wschodnich ponad różnicami ustroju i zerwaniem sojuszów? Zagadnienie wydaje się odległe. Tym niemniej nie jest absurdalne. Należy zanotować po prostu, że technicy wojskowego wysiłku niemieckiego uważają że nie może zaistnieć. Wcielenie armii niemieckiej do OTAN'u będzie tak całkowite, że armia ta nigdy nie będzie posiadała technicznych warunków na podobną, samodzielną decyzję. Armia ta będzie cementem nie suwerenności niemieckiej, a ,,atlantyckości'', gdyż będzie posiadała — w większym stopniu niż partie polityczne — doświadczenie solidarności i więzów organizacyjnych z sojusznikami. Nie jest przypadkiem że w Bonn wojskowi, bardziej niż cywile, żałują armii europejskiej, prawdziwie ponadnarodowej. Idea europejska jest przeciwwagą sceptycyzmu, czego nie można powiedzieć o nacjonalizmie. Praktycznie biorąc różnica pomiędzy armią europejską a obecną organizacją nie wydaje się zbyt wielka, psychologicznie jednak jest niezaprzeczalna.

*

Zostawmy jednak baraki ,,Amt Blank'a'' gdzie wypracowuje się dziwna armia, wyprzedzająca demokrację, i przyjrzyjmy się jeszcze raz tej prowizorycznej stolicy rozdartej pomiędzy jednością europejską, której nie ma, a jednością narodową, która też nie jest bliska. Bonn, którego obecna pozycja nie sięga skali ogólnonarodowej, miało nadzieję stać się szczeblem w kierunku ponadnarodowym, a zaczyna spadać do roli bardziej miernej. Europa ponadnarodowa mogłaby mieć stolicę, nazywaną Bonn, tak jak stworzyła sobie inne stolice ,,ad hoc'' : Strassburg czy

Luxemburg. Mnogość tych „małych stolic” była — tak jak w epoce Odrodzenia — dowodem żywotności europejskiej. Ale dla Niemiec, które są „pół-narodem” Bonn jest symbolem rozdziału i już teraz Berlin odzyskuje znaczenie. Przejawiło się to po raz pierwszy w czasie wyborów w Berlinie prezydenta Republiki Heussa i od tego czasu stale się powiększa. W rzeczywistości Berlin jest niemniej „europejski” od Bonn i nie jest przypadkiem że berlińscy socjaliści nie są tak wąskimi nacjonalistami jak ich zachodni koledzy. Ale gdy idea zjednoczenia narodowego zwycięży, może zacząć się okres awantur, zerwań i wielkich niespodzianek.

W każdym razie podział Niemiec pomiędzy sytą i obojętną Republikę Federalną a zadowoloną czy zrezygnowaną zonę komunistyczną będzie nie do pomyślenia. Względna łatwość podróży pomiędzy obydwiema częściami Niemiec, ciągle wzrastająca liczba paczek wysyłanych na Wschód, nowe szykany sowieckie na drogach prowadzących do Berlina — tysiące styczności, tysiące punktów tarcia — wszystko to stale przypomina o sąsiedztwie, pokrewieństwie i ciągłości problemu. Myśli się o tym coraz więcej i kiedy kanclerz austriacki Raab ogłosił triumfalnie przez radio że „całość terytorium austriackiego została uwolniona” — w Bonn ścisnęły się serca.

Klimat polityczny jest zmienny. To co dawniej było ideałem — wspólnota europejska i solidarność Zachodu — stało się co najwyżej koniecznością. Ale ideał pociąga a konieczność może rewoltować. Jeżeli prawdopodobnie nie ma rzeczywistej możliwości sojuszu zachodniego to w każdym razie jest dążność wykorzystania wszystkich możliwości poprzez nowe idee i próbne balony. W jaki sposób „kupić” od Rosjan wolność tej strefy, jak zapewnić jej mieszkańcom mniej uciążliwy ustrój? Zjednoczona Europa nie spowodowałaby zniknięcia tego zagadnienia, tak samo zresztą jak żadnego innego, ale byłaby go „zeuropeizowała”. Obecnie jest to problem par excellence narodowy gdyż Niemcy są przekonani, że nikt poza nimi o to się nie troszczy ani na Wschodzie, ani na Zachodzie. Jeżeli nie ma wyjścia, nieprzerwane i wyłączne rozpamiętywanie nierozwiązalnego zagadnienia staje się obsesją dla jednych a dla drugich frazesem. Ale demokracja, której zasadniczy cel jest zarazem uprzykrzony i retoryczny, naraża się na demoralizację i utratę wiary w siebie. Niebezpieczeństwo wzrastającego zamętu psychicznego może wyjść na korzyść skrajnym ruchom, które jutro mogą wybuchnąć. Czego brak, to pewnej porcji nadziei, pewnego poszerzenia horyzontów; w pewnym dobrobycie odczuwa się niedożywienie ducha. To tutaj — a nie w odbudowie armii — należy widzieć niebezpieczeństwo dla tego młodego ustroju, który odwrócił się od okresu szaleństwa, ale któremu okoliczności i wypadki, na które nie ma wpływu, utrudniają drogę do rozsądku.

François-Gil BONDY

(Przełożyła Zofia HERTZ)

Z notatek modelarza

18.7.54. Odlatuję w środę 21-go. Jednak udało się. Mam teraz ,,Reisefieber''. Wszystko załatwiło się w ostatniej chwili. 2-go lipca Castillo Armas wjechał do Guatamali wśród takiego entuzjazmu ludności, witany przez takie tłumy, że jego najgorętsi zwolennicy przecierali oczy z niedowierzaniem. Przejście od jednej administracji do drugiej odbyło się gładko, bez zgrzytów. Zagadką jest jeszcze ciągle wojsko.

Oddziały wyzwoleńcze pułkownika nie zostały zdemobilizowane i trzyma je nadal skoncentrowane w okręgu, który zajął w ciągu swoich działań. Równocześnie armia nie zgodziła się na wmaszerowanie tych oddziałów do miasta i pułkownik wjechał sam, pod ochroną ludności. Ta ludność, to nie sami bogaci...

Pierwsze przemówienie było rozsądne i mocne. Ale czy poradzi sobie z wszystkimi problemami, a przede wszystkim z gospodarką? Komuniści ogołocili skarb, rozkradli wszystko; Arbenz jeszcze w ostatniej chwili wyciągnął z banków państwowych około miliona dolarów. Dług wewnętrzny państwa przekracza trzydzieści milionów. Rabunek i złodziejstwa jakie rozwinęły się tu w ciągu lat ,,demokracji'' przeszły wszystko, co dotąd zdarzało się w tej dziedzinie. Była to ,,conquista'' wewnętrzna w najlepszym hiszpańskim stylu, w czasie której ,,los camaradas'' podorabiali się fortun. To jedno było naprawdę demokratyczne: kradli wszyscy, na wszystkich szczeblach, partyjni i bezpartyjni.

W sumie było to ciekawe. Teraz, kiedy ciśnienie ustało, gdy można spokojniej przesunąć okiem po tych latach, budzą się pewne podejrzenia. Jesteśmy skłonni traktować komunizm jako jedną całość, ,,en bloc'', z punktu widzenia przede wszystkim białego, człowieka cywilizacji białej. Wydaje nam się, że działanie komunizmu na inną rasę i rozbudowa komunizmu wśród innych ras, musi przebiegać podobnie jak wśród nas. Tymczasem teraz widzę do jakiego stopnia komunizm jest wytworem białego, pokurczem naszej własnej cywilizacji.

Tak, jak tutejsi proboszczowie w indyjskich parafiach tole rujący nie tylko nieraz otwarcie pogańskie obrzędy Indian po dachem kościoła, ale dosłownie poddani całkowicie wytworzo nym przez Indian pewnym formom „liturgii", („Dzwonią kied im się podoba", powiedział mi raz jeden pokonany ksiądz hisz pański, doktór dwóch fakultetów, któremu spośród wszystkich atrybutów tego najbardziej fanatycznego kleru pozostał tylko pa łący wzrok) — tak i komuniści są tu narażeni na ciągłą walk z zupełnie innym gatunkiem człowieka. My do wielu wymagań komunizmu jesteśmy zaprawieni od wieków dzięki chrześcijań stwu, człowiek kolorowy tego treningu nie posiada. Zmysł soli darności, dyscypliny, ultrapurytańskiej moralności w pewnych dziedzinach jest im obcy. Są miękcy, poddają się ale nieraz z wcią gającą właściwością ruchomego piasku. Wśród kolorowych ko munizm narażony jest ciągle na zupełnie nieoczekiwane „dzwo nienie kiedy im się podoba".

Bardzo być może, że pod wpływem ostatnich wydarzeń tuta — jest to bądź co bądź pierwszy wypadek samorzutnego uwolnie nia się kraju spod pazurów partii — patrzę na to zbyt optymis tycznie. Ale wydaje mi się, że coś w tym jednak jest. Pewn szczegóły, które teraz wychodzą na jaw pozwalają mi zrozumieć do jakiego stopnia oszacowywałem pewne zjawiska pod wpły wem metody wypracowanej w środowisku białych i słusznej w od niesieniu do białych, a najczęściej mylnej w stosunku do koloro wych lub kolorowo-białych. Ilość niewiadomych, najbardziej nie oczekiwanych wygięć mentalności bez kręgosłupa, jest olbrzy mia, znacznie większa, niż wśród białych.

Jeżeli Castillo Armas przykróci teraz kradzieże i zredukuj choć częściowo potworną biurokrację, która rozrosła się w ciąg tych lat do rozmiarów zupełnie nieproporcjonalnych, może dojś do kryzysu, do nagłego obniżenia się poziomu siły nabywcze dużego odłamu ludności.

22.7.54. Podróżowanie samolotem może być przyjemne, al na pewno nie jest podróżą. Jest skakaniem. Człowie staje się w tym istotą najbardziej podobną do pchły, jak to gdzie zauważył Keyserling; żadna pchła nie skakałaby beztrosko i be pomyłki co do punktu, w którym ma wylądować, gdyby skaczą musiała się jeszcze poświęcać kulturze swego życia wewnętrzne go. Po wylądowaniu na lotnisku w Newark czułem się jak pchła

Wyleciałem wczoraj o 3-ej po południu z Guatemali. Pogod cudowna. Na lotnisku mnóstwo znajomych, żegnających mnie Julia i Fernanda, dwóch braci lecących pod moją opieką na za wody. Nastrój familijny, wszystkich się zna. W samolocie zna jomy od lat „steward" amerykański, Carey, też z zakonu mo delarzy. Nasze pudła z modelami osobiście upakował w brzuch „Constellation" jakby to były bańki szklane. Potem jeszcze cz kaliśmy chwilę, bo markiz B. spóźniał się jak zwykle, ale właśn telefonowali, że już wyjechał z domu. Jest on w Guatemali tym czym był w Krakowie prof. dr. red. prezes Józef Flach. Je

instytucją i „bierze udział" we wszystkim. Wszedł z godnością do samolotu, z monoklem na czarnej tasiemce i szarmancko przeprosił wszystkich pasażerów za spóźnienie. „Constellation" czekający na markiza przypomniał mi Bełżec z dawnych, dawnych lat kiedy to cały pociąg czekał nieraz na Ligowskiego lub starego Kiwerskiego.

Samolot toczył się na start. Nerwowy tik modelarza: przyzwyczajony do małych motorków, pracujących na 12-tu do 18-tu tysięcy obrotów na minutę, wydawało mi się przy starcie, że prawdziwe motory pracują bardzo wolno i nie uniesiemy się. Carey przyznał mi się, że też ma zawsze to samo uczucie. Lecimy w kierunku Meridy na Yukatanie. W dole zbita dżungla, monotonna. Staram się czytać. Zabrałem na drogę „The old man and the sea" Hemingway'a z nadzieją, że raz uda mi się przeczytać coś jego w całości. Ale po dojechaniu do połowy skończyło się na tym, na czym kończy się u mnie zawsze kiedy zabieram się do Tołstoja, Dostojewskiego, Żeromskiego i innych monumentów: nie jestem w stanie skończyć. Z zupełnie różnych powodów, ale nie mogę. Z Hemingway'em robiłem już niezliczoną ilość prób i zawsze to samo. Tym razem miałem dość znęcania się nad biedną rybą i znużyło mnie to. Bardzo piękne, na pewno świetnie napisane, ale nie mogę. Walki byków i walki kogutów nigdy nie zdołały mnie rozpasjonować. Miałem zawsze pretensję do byka, że nie zakłuł toreadora i nawet „el divino" Dominguin nie był w stanie mnie poruszyć. Czego nie mogę znieść u Hemingway'a? Nie wiem. Może po prostu „braku łaciny", jak to określał mój ojciec, który zachwycał się Tołstojem, a naprawdę nie mógł go znieść. I wiem, że najodważniejszy mężczyzna w całym swoim życiu więcej się boi niż nie boi właśnie dlatego, że jest odważny.

Lądujemy w Meridzie, w Meksyku. Upał. Klimat paleniska lokomotywy gdy przyszła do warsztatów, wyrzucono z niej ogień i wodę i niedługo potem trzeba włazić i zmieniać rurę płomienną. Przypomniały mi się dawne lata. Po kwadransie odlatujemy dalej i po chwili jesteśmy nad Zatoką Meksykańską. Lecimy wysoko, słońce chyli się ku zachodowi. Carey objaśnia i demonstruje jak należy posługiwać się kamizelką ratunkową. O rekinach ani słowa. Potem roznosi wczesną kolację. W samolocie pustawo, można zmieniać miejsca i patrzeć przez różne okienka. Zachód słońca jest nieziemski. Tu, wysoko, jest jeszcze jasno, w dole widać jak noc szybko nadchodzi na wodę, gęstnieje i rośnie. Na okrętach błyskają światełka i od razu nikną. Potem zaczynają błyskać światła wybrzeża U.S.A. Przelatujemy nad okolicą, w której pali się dużo szybów gazu ziemnego. Wygląda to jak ogniska obozowe. Po prawej stronie rozsypują się na moment światła Nowego Orleanu; olbrzymia przestrzeń lśniąca jak łuska, przecięta ciemniejszym pasem Missisipi. Już słychać buczenie wysuwających się klap, trzęsie, lądujemy o 8-ej.

Wychodzę z samolotu oszołomiony. W Nowym Orleanie upał jeszcze gorszy niż w Meridzie. Ciężki, lepki i zapocony. Przy-

mykam oczy, bo razi mnie nadmiar światła. Odzwyczaiłem się od tego w ciągu tych lat. A za plecami, na pogrążonych w ciemności bieżniach, bezustanny warkot. Startują, lądują, tuż obok podtacza się olbrzymi ,,Super Constellation'' i zajeżdża pod wyznaczoną bramkę na peronie, z drugiej strony rusza mniejszy ,,Convair'', w końcu wydaje mi się, że to nie lotnisko lecz dworzec autobusowy w dzień odpustu na Bielanach. To jedno wystarczyło mi, aby od razu poczuć, że znalazłem się w innym świecie. Wśród gorącej nocy, w sinawym świetle neonów, poruszało się coś na wysokich obrotach jak silniki wyjące bez przerwy w ciemnościach. Ale nie nerwowo. Używając terminów z elektryczności, czułem nie napięcie, lecz spokojne natężenie, miarowe, obliczone i jednostajne. Zacząłem rozmyślać, jak oni sobie radzą z tym niesamowitym ruchem w ciągu całej doby. Carey wychodzi razem z nami i mówię mu o tym. Opowiada mi, że tłok w powietrzu, a szczególniej nad lotniskami, jest już problemem w U.S.A. Po dziesięciu minutach czułem się jak po wypiciu trzech ,,double''.

Kontrola paszportów i odprawa celna. Nie zdążyłem już szczepić się przed wyjazdem i szczepią mnie od razu na dworcu. ,,Szczepiacz'' (bo chyba nie lekarz) wypytuje mnie o Guatemalę, jak to było i czy rzeczywiście wpływy komunistyczne były tak silne. Na tym naszym ciemnym zachodzie wystarczy, żeby byle drapichróst obwołał się demokratą i wszedł w konszachty z komunistami po czym może robić, co mu się żywnie podoba.

Mamy prawie dwie godziny do następnego samolotu. Najpierw idę na whisky, a potem na kolację. W restauracji jest chłodzone powietrze i z początku jest mi zimno. Ale to wspaniały wynalazek, szczególniej w restauracji. O ileż bardziej smakuje jedzenie. Kupuję kilka pism, piszę kartki, łażę po dworcu. Cudowne uczucie ,,czegoś innego'', a tu zupełnie czegoś innego. Głośnik ciągle zapowiada odlot lub przylot jakiegoś samolotu, przez otwarte okna wpada do wnętrza przytłumiony łoskot motorów, ludzie wchodzą i wychodzą bezustannie. Nie ma nocy. Odsunęli ją w głąb na bieżnie, gdzie niewidoczne maszyny można rozpoznać po sinawych płomieniach buchających z rur wydechowych.

Koło 10-ej ,,Eastern Airlines'' zapowiada odlot naszego ,,Air coach'' do Nowego Jorku. ,,Air coach'' to coś w rodzaju pociągu osobowego. Więcej pasażerów, taniej, lot trwa całą noc z częstymi lądowaniami w drodze. Wchodzimy. Pełno i półmrok. Siadam i mimowoli mówię coś do Julia szeptem. Ma to swój nastrój, trochę ,,straszno''. Ale pewnie tylko ja to odczuwam. Amerykanie zachowują się jakby to był zwykły tramwaj. Jakiś chłopczyk wynajduje sobie najdogodniejszą pozycję do spania, manipuluje z wprawą fotelem regulując odchylenie oparcia, układa się i od razu zasypia. Inni regulują swoje światło i zabierają się do czytania albo gaszą je i zasypiają. Ja nie mogę. Już zaskoczyły motory i powoli ruszamy, zanurzamy się w ciemnościach. Czarno wokoło i tylko sine strugi płomieni przy motorach.

Daleko łuna od świateł na dworcu i łuna od świateł nad miastem. Zawracamy, stajemy, ruszamy i po chwili już czuję gładź powietrza. Zawadzamy o Nowy Orlean, patrzę na Missisipi, szeroką i połyskującą. Potem już zupełna ciemność, czerń, miarowy warkot. Staram się usnąć. W samolocie też ciemno — gdzieniegdzie żarzy się papieros. Drzemię, ale zaczyna trząść. Już lądujemy. Znowu oślepiające światła dworca w Mabile. Dworzec mały, zaciszny. Wychodzę rozprostować nogi. Upalna noc lipcowa. Nieopisane uczucie rozkoszy, rozpuszczania się we wszystkim wokoło. Zapadły się gdzieś te lata wysiłków i jest tylko teraz. Tylko poczucie ,,teraz'' daje mi prawdziwy odpoczynek. Bawię się automatem wyrzucającym butelkę ,,Coca Cola'', potem innym gdzie podstawia się papierowy kubeczek i nalewa się sodowaty sok pomarańczowy. Gwiazdy wbite głęboko w ciemne niebo, tu światło, reflektory i w ich poświacie smukła, przepiękna maszyna. To też są dzieła sztuki, harmonijne i wspaniałe.

Niemal wybucham śmiechem sam do siebie myśląc o tych biednych ludziach zadręczających się obawami przed ,,utechniczenieniem'' kultury, zanikiem poezji. Jest, pełno jej gdy chce się ją dostrzec. Wydaje im się, że ,,fobie'', że tworzenie problemów ze wszystkiego i na każdym kroku, to dowód głębi, akcentu położonego na duchu. Nie — nie zdają sobie sprawy, że to właśnie oni padają ofiarą ,,utechnicznienia'', to oni zabrnęli w techniczny intelekt bez serca. Ich ,,fobie'' to chęć zatrzymania się na miejscu, chęć przedłużenia ekskluzywnego ,,cercle'u'' przy świetle świec i przytłumionym nokturnie. Kochają to, co było; nie potrafią pokochać niczego, co jest. I dlatego wszystko wydaje im się suche i sypkie i rzucają się w jeszcze większą suszę i miałkość. Nie chcą zrozumieć, nie chcą kochać.

I już znowu ciemność rozświetlana sinymi płomykami. W samolocie jest gorąco, chcę usnąć, ale nie mogę. Zresztą po jakimś czasie znowu lądujemy. Birmingham. Ludzie wychodzą i wchodzą. Potem Atlanta. Nogi mi zdrętwiały, jestem zaspany, a nie mogę naprawdę usnąć. Wychodzę. Upał, noc nie ma końca. Po wystartowaniu z Atlanty nareszcie usnąłem. Zbudziłem się o świcie. Okienka pojaśniały, wyszło słońce. Przelatujemy nad Waszyngtonem. Przez moment widzę Biały Dom i miasto. Lądujemy. Lotnisko położone jest nad brzegami Potomac'u i od rzeki ciągnie otrzeźwiający chłód. Boli mnie głowa od gorąca i nocnych papierosów i myślę z tęsknotą o łóżku w Nowym Yorku. Po starcie dają kawę, po godzinie lądujemy w Newark. Już, skończyło się, w jedno popołudnie i noc kilka tysięcy kilometrów. Wysiadam otępiały. Dzień słoneczny, jeszcze błąkają się po lotnisku resztki porannego chłodu, ale czuć nadchodzący upał.

Bierzemy taksówkę i oczywiście szofer ma polskie nazwisko i mówi po polsku całkiem dobrze. W Polsce nigdy nie był, już się tu urodził, żonaty z Polką. I on od razu mnie pyta, czy to prawda z komunistami w Guatemali. Z tego, co mówi widać, że całkiem uważnie czytał gazety, które pouczyły go, że w gruncie rzeczy wcale tak źle nie było i że to raczej ciemna historia

United Fruit. Klnę na głos — więc nawet i tutaj. Pędzimy ja kimś wspaniałym, nowym ,,highway'em'', wpadamy do długieg tunelu i nagle przy wyjeździe wyrasta Nowy Jork jak łańcuc górski. Widok jest — trudno i darmo — piękny. Niebotyki w po rannej, słonecznej mgiełce są cudowne. To ma styl, swój i jedy ny. Wpadamy w ulicę. Tu upał promieniuje z wszystkich murów wielkie miasto w lecie z charakterystycznym zapachem spalin fermentujących odpadków, wyziewów z podwórek. Otoczenie od którego odzwyczaiłem się i o którym zapomniałem w moje ,,dżungli''.

Mamy zamówiony pokój w ,,Claridge'', w centrum Broad way'u, tuż przy Times Square. Hotel jest stary, ale porządn i nie drogi. Słońce już praży i w pokoju duszno. Sto razy wol mój tropik od tego klimatu morskiego. Kąpiemy się i wycho dzimy coś zjeść. Nie wiem jakim cudem, ale nagle nie czuję si zmęczony. Rozsadza mnie jak bohaterów wodewilów Labiche'a ,,New-York ventre à terre''. Ledwo zdążyłem objeść się, już wy chodzę, już zatrzymuję taksówkę i już jestem w drodze do jedne firmy, z którą handluję od lat i której od lat nie mogę nauczy na odległość wystawiania faktur zgodnie z wymaganiami cła gua temalskiego. Spieszę się, bo tu należy się spieszyć. Załatwiam spotykam się z moimi chłopcami i razem jedziemy do ,,Jasco'' drugiej firmy, ale całkiem specjalnej. Frank Zaic, z pochodzeni Jugosłowianin, do dziś dnia jest papieżem modelarstwa, znany na całym świecie. Założył przed laty jedną z pierwszych firn produkujących materiały modelarskie, a przede wszystkim świet nie cięte drzewo i doskonałe rysunki. Napisał szereg książek fa chowych. Firmę przejęli potem jego siostra i dwaj bracia. D dziś dnia utrzymali wysoki poziom, choć konkurencja wielkic fabryk i modeli z plastyku grozi im poważnymi trudnościami. Jes to rodzinne przedsiębiorstwo, małe, ale znane wszystkim praw dziwym modelarzom na świecie. Używam wyłącznie ich drzewa Pięć lat temu, na niewidzianego, dali mi wyłączną reprezentac na Guatemalę. W ciągu tych lat nawiązała się listowna przyjaźń

Gdy wchodzimy na górę, wszyscy są w warsztacie. Przy muje nas siostra i od razu ściskamy się, jak starzy znajom ,,Andy'' - ,,Christina''. Ruch, zamieszanie. Krystyna woła brac ,,Guatemala przyjechała''. Krystyna jest w komitecie organiza cyjnym zawodów i myśleli, że wskutek rewolucji nie uda na się przyjechać. Od razu telefonuje do prezesa A.M.A. (Academ of Model Aeronautics). Tymczasem rozmawiam z Frank'iem. Ab zrozumieć, czym są takie rozmowy, trzeba samemu należeć d modelarskiej masonerii. Frank wypytuje mnie, co robię z gum w tropiku, jakiego smaru używam. Ha — lata doświadczeń, a powiem w tajemnicy : używam płynu hamulcowego do samoch dów. ,,Pirelli'' z tym płynem najlepiej wytrzymuje niszczący k mat. Frank śmieje się. Tymczasem Krystyna rozstawia j ,,lunch'' na stołach, między drzewem, piłami, maszynami, oczywiście musimy zjeść z nimi. Ujmująca jest ta ich bezpośre niość. Też jedna z cech, której wielu nie może im przebaczy

Załatwiam interesy z Krystyną, zostawiam zamówienie i umawiamy się na 5-tą w jakimś hotelu gdzie dziś jest ,,drink'' dla wszystkich zawodników. Wypytuję o Argentyńczyków. Nie marzę nawet o zwycięstwie, ale chcę małą Guatemalę postawić na dobrym miejscu w stosunku do potężnego krewnego. Rząd opłacił podróż całego, 9-osobowego zespołu argentyńskiego, modelarstwo jest tam popierane jak chyba nigdzie indziej.

Następnie ,,ventre â terre'' na ,,Empire State Building''. Idziemy tam na piechotę i po drodze kupuję funt czereśni. Wydają mi się najlepszym owocem na świecie. Tropikalne owoce to jedna wielka bujda. Ananas jest jadalny, ale używam go tylko z puszki. Anony, mango, papaye — zawracanie głowy na mdło. Myślałem, że padnę trupem i nie wstanę. W windzie mnie zamroczyło. Ale na górze oprzytomniałem. Widok jest imponujący. Nowy Jork ze szczytu tego najwyższego drapacza chmur jest czymś trudnym do opisania. To jest bezsprzecznie wielkie i piękne. I tu jest teraz stolica świata. Wyczuwa się to na każdym kroku. I jeszcze jedno : jest to chyba jedyne miejsce i miasto, w którym bezstylowe, galaretowate międzywojnie wytworzyło zdecydowany styl.

Po tej spinaczce jadę do hotelu wykąpać się i na chwilę położyć. Oczywiście nie mogłem usnąć. Potem przebieram się i jedziemy na ,,drink''. W hotelu cudowny chłód i jesteśmy powitani owacyjnie i z hałasem. Dają mi z miejsca szklanicę whisky. Przedstawiają mnie gen. Doolittle. Jest to na pewno jedna z najwspanialszych postaci lotnictwa amerykańskiego, która już za życia stała się niemal legendą. W historii lotnictwa nazwisko to raz po raz powraca i narzuca się na każdym kroku razem z ostatnim wyczynem : pierwszym nalotem na Tokio. Rozmawiam z nim dość długo, bo wypytuje mnie o Guatemalę.

Potem poznaję Argentyńczyków, Szwedów, Kanadyjczyków, samotnego Japończyka, Szwajcara. Przemiły nastrój sportowego wieczoru. Rozmawiam z amerykańskimi ,,proxies'', mającymi latać modele dwóch Guatemalczyków, którzy nie mogli przyjechać. Narada wojenna i ogarnia mnie już podniecenie przed zawodami. Trąbię whisky i potężnie się zalewam. A tam już M. czeka na mnie z kolacją. Wobec tego pędzę do niej ,,ventre à terre''. M. jest nadzwyczajna i choć jej nie znałem przedtem, po pięciu minutach wydaje mi się, że przyjaźniliśmy się od lat. U Polek to raczej rzadka zaleta. Cały czas tylko uważam aby nie poznała, że jestem mocno podpity. Przygotowała mi olbrzymi befsztyk z sałatą i orzeźwia czymś gorzkim. Przegadaliśmy do późna i umawiam się na wizytę po powrocie z Chicago.

Wracam do hotelu taksówką tak zmęczony, że mam zamiar rzucić się na łóżko w ubraniu. Właśnie ! Ledwo wszedłem do pokoju, ledwo spojrzałem przez okno na morze świateł na Broadway'u, od razu zjechałem windą na dół. Włóczyłem się po ulicach do 2-ej w nocy.

23.7.54. Przedpołudniem przyjęcie w City Hall, fotografie przemówienia, burmistrz, strata czasu. Popołudni jedziemy na lotnisko ,,La Guardia''. Upał. Cały czas coś jem Od lat nie miałem takiego apetytu. Pod wieczór wylatujem dwoma ,,Douglas'ami'' wojskowymi do Suffolk County Ai Force Base na Long Island. Lądujemy o szarej godzinie, po za chodzie słońca. Prosto z samolotu idziemy na prostą, żołnierską kolację na lotnisku. A więc jakaś zupa, smażone kurczęta, sa łatki takie i owakie, surowe selery, kruche i chrupiące, mar chewka ze śmietaną, ciastko, lody, kawa. Jak w ,,Tour d'Ar gent''. Nigdzie nie czuje się tu wojska i koszar. ,,Une armée sans tenue et sans tenues'' jak ich określa Malraux. Na ścia nach korytarzy sporo propagandy religijnej. ,,Pamiętaj o Bogu — nie jesteś sam'' i w tym rodzaju. Jakoś mnie to nie gorszy. Lepsze to od propagandy politycznej. Po kolacji odwożą nas do hotelu w Riverhead. Mam ładny pokój z chłodzonym powie trzem. Nareszcie usypiam spokojnie i wcześniej.

24.7.54. Rano jedziemy na lotnisko. Ach — te śniadania! Oprócz jajek i szynki były nawet fileciki ze śledzia. Oczywiście poza wszystkim innym. Obżeram się. Mamy cały hangar do dys pozycji. Przedpołudnie schodzi na ważeniu i mierzeniu model przez komisję sędziowską. Od rana zlatują się na jutrzejszy po kaz (też dla nas) wszelkie możliwe okazy samolotów. Ląduje międzykontynentalny bombowiec B-36, już przestarzały olbrzym machina nie z tego świata. Smukłe odrzutowce. Widzę je pierw szy raz z bliska i w locie. I mimowoli zaczynam wspominać, mi mowoli zaczynają się przesuwać obrazy zapomniane, zakurzone Lotnisko w Lidzie z rysującymi się na tle nieba resztkami han garu dla ,,Zeppelin'ów'', kilka hangarów, a w nich niemieckie ,,Albatrosy'' już z polskimi znakami. Zapach benzyny i rycyny politurowane śmigła, kapitan Menczak nie mający w swym ciele ani jednej całej kości, sztywny od gorsetu i ze złotym podnie bieniem, sierżant Choiński, obiecujący mi ciągle mały samolocik z małym motorkiem. Jak ja na niego czekałem... Letnie poranki piaszczyste trakty, brzozowe zagajniki pod Lidą. Przyjeżdżałem z ojcem konno i zostawałem na lotnisku aż do obiadu. Siedzia łem cichutko w jakimś kącie i patrzyłem jak mechanicy repero wali skrzydła, jak je ,,szpanowali''. W czasie mszy polowych przylatywali i latali tak nisko, że ksiądz Antosz robił przysiady przy ołtarzu ze strachu. Ojciec mrugał do mnie i śmialiśmy się

Ląduje potwornych rozmiarów transportowiec ,,Globe Mas ter'', a ja siedzę przed hangarem i wspominam. Po Lidzie był Wilno. Tu na odmianę spędzałem czas w ,,Reducie'' na Pohu lance. Wieczorami wychodziłem tylnym przejściem w Pałac Rennenkampfa na górę, do Śmigłych. Kampania Napoleona koncentracja artylerii w bitwie pod Wagram, śmierć Lannes'a Jak on opowiadał... Szkicował mi plany bitew, malował żołnie rzy. Z wyciem i rykiem taksuje ,,Starfire''. Toruń. I znow lotnisko. Przyszły wtedy ,,Morane'y'' i zakochałem się w aktor

ce Małanowicz. Codziennie na poligonie z ojcem, kompletne przysposobienie wojskowe. Strzelałem z wszystkiego, z czego można było wystrzelić i najbardziej lubiłem garłacze WB. nie kopały. Młodzi oficerowie mówili z przymilnym uśmiechem: ,,Syn pana pułkownika na pewno będzie wspaniałym żołnierzem''. Ojciec spoglądał ponuro i burczał spod wąsów: ,,Dosyć jednego matoła w rodzinie''. Trzy ,,Sabre'' mignęły i znikły. Na widok tych maszyn czuję się nagle stary, czuję kawał życia, który minął tak jak przelot tych ,,Sabre''. Nie umiałem nigdy wspominać, a tu, nagle, w hangarze, wśród wycia turbin, zaczynam sobie przypominać wszystko ze szczegółami, słyszę głos osób, widzę twarze, ulice, domy, mieszkania; sypie mi się przed oczy całe życie, cała Polska przemieszkana i przejeżdżona wzdłuż i wszerz. I w końcu miałbym ochotę upić się pod wspomnienia, pod noce w lasach lidzkich, noce spędzane w zapadłych plebaniach, pod Wielkanoc w Wilnie i kaczanie jajek, pod tę sławną w dziejach kontrę, którą dałem gen. Skierskiemu. Przerażone oczy ojca i kopniak pod stołem. Zjadliwy uśmiech kapitana Keysera, mojego partnera. Po wyjściu generała obietnica nowego łuku od Błocha w nagrodę. ,,No to dlaczego mnie kopnąłeś?'' — ,,Bałem się, że jej nie zrobisz i ten piernik mógłby myśleć, że nie umiesz grać''. Cały 63-ci pułk piechoty, 15 pac i Inspektorat mówiły potem o tej kontrze.

Wczesna kolacja i wracamy do Riverhead. Prędko zaszywam się w jakimś barze, prawie ciemnym i chłodnym. Piję i wspominam. Napisałem w głowie gruby tom wspomnień. W pokoju Julio spogląda na mnie podejrzliwie: ,,Julio! Czy wiesz, czy ty wiesz, jak wyglądał 80-konny silnik rotacyjny Gnome et Rhone?''...

25.7.54. Julio w złej formie; rozchorował się na żołądek z tych prostych, żołnierskich ,,pommes frites'', szynki, kurcząt, indyków, sosów majonezowych, lodów i ciastek. Mówi mi że jest ,,fluid drive''. Ale w czasie zawodów trzyma się i walczy do ostatka. Mój rysunek dobry, nawet bardzo dobry. Warto ciągnąć go dalej. W południe jest przerwa, mnóstwo publiczności, telewizja nadaje pokazy modeli z próbami pobicia sowieckich rekordów. Sowiety mają w modelarstwie 90% rekordów światowych. Pomimo zaprosin, nikt stamtąd nie przyjechał. Popołudniu siedzę w hangarze i przygotowuję gumę na jutro. Ktoś zagaduje do mnie po polsku. Przeczytali nazwisko na modelu. Koniecznie zapraszają. Swojsko tutaj. Jutro moja kolej i jestem stremowany. Pierwszy raz od wielu, wielu lat staję znowu do jakichś zawodów.

26.7.54. Dwie rundy przed południem z potwornym pechem. W pierwszym locie miałem maksimum w kieszeni. Model wyszedł świetnie, doskonała wysokość, ale przy przejściu w ślizg wlazł w za ciasną spiralę. Zdenerwowany, łatam model rezerwowy. Jeszcze gorzej. W czasie obiadu jestem bez apetytu,

przygnębiony. Wszyscy Argentyńczycy przede mną. Po obiedzie poprawiam się. Dwa ostatnie loty maksimum i w wyniku końcowym mam trzech Argentyńczyków poza sobą. O to chodziło, choć mogło być lepiej. Nerwy cholera. W czasie nakręcania gumy w trzeciej rundzie słyszę jakiś podejrzany dźwięk — ,,klik'' — zatrzymuję się, badam gumę czy któreś pasmo nie pękło, kręcę, i znowu to samo. Nie dokręciłem i startuję na czubkach nerwów. Potem wracam i co się okazuje? W przyczepce samochodu, tuż obok, siedział schowany mały chłopczyk i bawił się pistolecikiem, psztykał sobie z nudów. Miałem ochotę... lepiej nie mówić. Ubóstwiam dzieci !...

Cały dzień na słońcu na ,,runway'u''. Wygoniłem się za całe sześć lat. Wieczorem uroczysty bankiet w hotelu. Kolacja po koszarowym ,,chow'', skandaliczna. Po kolacji rozłożyliśmy się w salonie na podłodze i do późna w noc toczyła się dyskusja, szkicowanie, projekty na przyszły rok. Odmłodniałem.

27.7.54. O 5-ej rano wyjeżdżamy autobusem do jakiejś bazy marynarki pod Nowym Jorkiem. Drzemię. Budzę się znowu na lotnisku. Urocza ,,girl'' w mundurze prowadzi nas do kantyny na śniadanie. Teraz jesteśmy gośćmi ,,Navy'', która stąd przewozi nas do Chicago na ,,Nationals''. Już czeka DC-4. Od trzech dni wydałem tylko na ,,odrobinę'' whisky i papierosy. Poza tym ani grosza. Pakujemy się do samolotu. Usłałem sobie ze spadochronów wygodne łoże i zaraz po starcie usypiam. Obudzili mnie przed lądowaniem. Jesteśmy na odmianę w bazie lotnictwa morskiego w Glenview pod Chicago. Począwszy od jutra zaczynają się tu ogólnokrajowe zawody modelarskie, trwające do 1 sierpnia. Zjazd jest olbrzymi, ponad 1.500 zawodników. Organizacja świetna. Amerykanie muszą płacić dolara dziennie, wpisowe itd. My nic — goście. Fasuję moją pościel, ręczniki, poduszkę i mydło, przydzielają mi łóżko w olbrzymiej hali gimnastycznej. Miasto łóżek. Obok kryty basen kąpielowy, natryski. Czterech marynarzy na służbie krąży bez przerwy między łóżkami, utrzymując porządek, objaśniając i pomagając.

Argentyńczykom zachciało się telefonować z automatu do Buenos Aires. Oczywiście przyszli do mnie. Myślałem, że oszaleję. Telefonistka dostała ataku śmiechu, ja też, zbieramy nikle w całej bazie, transportujemy do kabiny i wrzucamy chyba przez pół godziny. Telefonistka, jakaś wesoła dziewczyna, mówiąca trochę po hiszpańsku, dosłownie wyje z uciechy licząc i dogadując, ile jeszcze zostało. Ale w końcu dostaliśmy Buenos Aires bez zbyt długiego czekania. Kolacja marna, kucharz pod psem w tej ,,Navy''.

Po kolacji idę do hangaru-warsztatu. Jasno jak w dzień w olbrzymim hangarze rzędy stołów. Każdy może wybrać tu sobie swój stół i pracować. Na środku wielki sklep z wszystkim czego dusza zapragnie. Widok niesamowity. Setki ludzi, od małych chłopców do dziadków, pochylone nad stołami, pracujące w gorączce, z pośpiechem. Mamy i siostry pomagają. Warko

notorków i stosy modeli. Każdy z nich stara się stawać do zawodów w jak największej ilości kategorii i wielu dopiero tu zabiera się do budowy modelu. Nie kładą się spać. Szukam nowości, yle czego nie oglądam. Jest to imponujące. W U.S.A. samo nodelarstwo jest potężnym przemysłem, a obroty wszystkich fabryk motorków, pudełek z materiałami do konstrukcji (Kits), kcesoriów itd. przekraczają sto milionów dolarów rocznie. Z ych chłopców wychodzą potem inżynierowie i mechanicy, konstruktorzy lotnictwa, piloci. Szczególniej dopływ świeżych kadr nżynierów lotnictwa jest ,,bólem głowy'' Stanów Zjednoczoych. Od roku 1950 liczba dyplomowanych (engineering graluates) inżynierów ciągle się zmniejsza i spadła z 50.000 do 9.000 rocznie. A jak we wszystkim, tak i w tym jest wyścig Sowietami. Toteż nic dziwnego, że tu cała baza wielkiego lotictwa jest przez tydzień na usługach ludzi pochłoniętych całkoicie małym lotnictwem. Cztery helikoptery przez cały dzień goią za modelami unoszonymi nieraz daleko i wracają obwieszone imi jak kolorowymi kwiatami. Zatrzymuje się przy jakimś osobiku w szortach polerującym prześliczny model. Zagaduję. Learz-chirurg z zawodu. ,,To wspaniale odpręża, a równocześnie alce utrzymują się w formie'' — powiada. W Guatemali też mam ednego chirurga, a ministrem oświaty został obecnie adwokat naszej mafii. Mam nieraz dyskretne wizyty ,,senoras'', które ni dziękują, bo marnotrawny mąż ,,od czasu zaprzyjaźnienia się panem przestał wychodzić wieczorami''. Są takie, które mnie ienawidzą : ,,Teraz siedzi do 1-ej albo 2-ej nad ranem, nigdy ie chce iść do kina i w ogóle nic...'' Ha !

O 9-ej idę do kina. Mały film Disney'a o Franklinie. Arcyzieło, okaz najprawdziwszej sztuki. Ale to nie jest kultura. Nie. V takim razie co?

8.7.54. Wyspałem się. Przed śniadaniem dwie długości basenu crawlem, cztery klasycznym. Śniadanie podłe. Poinni wdrożyć śledztwo, bo na pewno ,,Navy'' nie jest zaopaywana gorzej niż ,,Air Force''. Jajecznica z jajek w proszku!!! Bezczelność. W Suffolk były świeże, sadzone jajeczka, każde sobno. Wyrzucam tę jajecznicę ostentacyjnie do śmieci. Maryarz przy kuble uśmiecha się : ,,Don't like it?'' — ,,I'm not a 'W''. — Ryknął i od razu powtarza innym. Muszą i oni mieć osyć tego kucharza. I do tego złota myśl nad kuchnią : ,,Naieraj ile chcesz, ale chciej ile możesz zjeść''. Pokazuję mu na en napis i mówię, że z takim ,,chow'' nie można nic chcieć. mieje się jeszcze głośniej. Po śniadaniu idę na lotnisko i konentruję się w ciągu całego przedpołudnia na obserwowaniu zaodów modeli kierowanych radiem. Niechże ich diabli ! De Bolt ręci swoim modelem pełną akrobację, wszystkie figury z wyjątiem korkociągu. Jakiś czarodziej ma nawet hamulce w kołach ierowane radiem. Ląduje model i przyhamowuje, odpuszcza, aksuje. Niebo pełne modeli, dom wariatów.

Idę na obiad w pierwszej kolejce, ale wychodzę. Baranina!

Postanawiam zjeść coś w Chicago i od razu wsiadam do auto-busu. Po trzech kwadransach wjeżdżam do miasta. Cała częś nad jeziorem jest imponująca. Wysiadam na „Loop". Upa W gazecie czytam, że na najbliższe trzy dni przewidują falę upa łów i że jutro będzie jeszcze goręcej. Potworne. Może to zrozu mieć tylko ktoś, kto sam przeżył falę upałów w Chicago. Na gorszy tropik nie dorósł do tego. Chowam się szybko w jakiej chłodzonej kafeterii coś tam jem, ale nie wiele. Mam na sobi drelichowe spadnie i nylonową, siatkową koszulkę i jestem mo krzuteńki. Biorę taksówkę i jadę do jednej firmy, z którą nie dawno wszedłem w kontakt, przesyłając pierwsze, większe za mówienie. Przyjmuje mnie „manager" i od razu per „Andrew". To ja jemu per „Al". Jak to upraszcza wszystko. Z kieszonko wego baru wyciąga whisky. Mówi mi, że zamówienie już wysłał tłumaczę mu, jak mi mają robić faktury. Woła sekretark i dwóch pracowników z magazynu. Przedstawia nas. „Oni pra cują dla Guatemali — powiada — „i będą w przyszłości zała wiać wszystko dla pana. Proszę tłumaczyć im". Każe wszystkim przynieść kawy. To lubię. Długa konferencja. Czasem trudn im zrozumieć. Mają antytalent do eksportu, wprost odrazę d wszystkich wymogów, związanych z wywozem. Są to handlow cy rynku wewnętrznego. Całe Stany Zjednoczone eksportują nie całe 10% swojej ogólnej produkcji i w sumie wywóz mało ic obchodzi. Ciągle słyszę wykrzykniki: „What a paper work i „It's a red tape". Na szczęście wywąchałem w Nowym Jork firmę, która robi formularze faktur specjalnie dla eksportu d Guatemali i mam wzór. Twarze rozjaśniają się. Do tego sprowa dzam tylko drogą lotniczą, bo wypada taniej, niż morzem. Opa kowanie może być standardowe, w tekturowych pudłach i od padają skrzynie. Za jedną skrzynię drewnianą, konieczną prz transporcie morskim, trzeba by dodatkowo płacić tutaj do 10-ci dolarów. Z Los Angeles jeszcze drożej. Zapłaciłem raz za dwi normalne skrzynki 34 dolary. Bo to z drzewa i dużo ręcznej ro boty. Potem idę do magazynu i robię nowe zamówienie. Co in nego katalogi, a co innego móc oglądnąć, spróbować, zobaczy gotowe „display models". Pasjonuje mnie to zajęcie. Zupełni rozumiem, że Rimbaud mógł także zainteresować się handlem perkalikami. Dlaczego nie? Samo obijanie się o twarde kant życia może też dostarczyć ogromnej satysfakcji twórczej. W ka dym razie bardziej to cenię niż płaczliwe, obłudne listy Baude laire'a do matki, od której przez całe życie wyłudzał pieniądz

Pod wieczór Al zaprasza mnie do siebie do domu, bo ch przedstawić mnie swojej żonie. Jadąc widzę, że w Chicag jest jednak trochę drzew. Po drodze odwozimy jednego z pra cowników trochę za miasto do jego domku. Miasta amerykań skie rozbudowują się teraz wszerz, skończyła się epoka bloków ohydnych termitier. A jeżeli nie skończyła się zupełnie, to w ka dym razie przestała być ideałem. Centrum miasta wyludnia si ruch ludności jest odśrodkowy, ku przedmieściom z jednorodzin nymi domkami.

Po krótkiej wizycie w domu, Al zaprasza mnie na kolację do jakiejś bardzo eleganckiej restauracji za miastem. Publiczność jak z filmu. Rozmawiamy nie tylko o interesach. Opowiadam mu o sobie i jest mi przyjemnie, bo widzę, że mnie rozumie i ocenia moje wysiłki. Mówię mu o możliwości konkurencji. „Niech się pan nie przejmuje, oni tylko zwiększą ilość pańskich klientów. Grunt to dać „service". To jest wyrażenie i pojęcie, które uderza w Stanach Zjednoczonych na każdym kroku. Tu każda czynność jest usługą, i to usługą podbarwioną społecznie, a produkcja towarów oznacza przede wszystkim „social service". Każdy nowy wynalazek jest dobrodziejstwem społecznym. Albo to jest obłudne, albo Amerykanie są od urodzenia jednym z najbardziej uspołecznionych narodów i jedynymi prawdziwymi socjalistami prywatnej inicjatywy. Postanowiłem sobie nie wydawać sądów o Ameryce i Amerykanach, bo w ciągu krótkiej podróży nie można niczego poznać. Można tylko odnieść bardzo ogólne wrażenie. Jednym z nich jest we mnie przeświadczenie, iż w tym wieku „emancypacji mas" naród typu amerykańskiego ma najwięcej szans na najmniej bolesne rozwiązanie szeregu związanych z tym problemów.

Nasze całe uprzedzenie do Amerykanów, do wytwarzanego przez nich stylu cywilizacyjnego i kultury, nie jest w istocie niczym innym jak tylko arystokratycznym wstrętem, elitarną pogardą „seigneur'ów" z 18-go wieku wobec rodzącej się na oczach kultury masowej. Drugie wrażenie to że ta kultura może być zupełnie czymś innym od naszych przepowiedni i krakań, bo Amerykanin nie ma w sobie nic plebejskiego. Nie wiedziałem, co to jest, że przebywając od tylu dni w tłumie, śpiąc w sali o tysiącu prycz, nie czułem się źle; że potrącany tu i popchnięty tam w ogonku do kuchni, nie czułem się „obrażony" wewnętrznie, zniecierpliwiony. I w końcu doszedłem do wniosku, że to dzięki zupełnemu brakowi plebejskości, tego co u nas nazywa się potocznie ze szlachecka „chamstwem". Amerykanie nie są żadną „fine fleur", ale zatracili niemal zupełnie plebejskość, to coś, co tak trudno znieść w Europie w pełnej trzeciej klasie lub w ciągu „heure d'affluence" w paryskim „métro". Amerykanin nie śmierdzi hołotą, zatracił prawie zupełnie „arme Leute Geruch". Tego odoru zmieszanego z gryzącą wonią zawiści klasowej nie wyczuwa się tutaj prawie nigdzie. To nie jest Figaro — zbuntowany cham, którym w Europie zapchane są ulice, tramwaje i pociągi.

Flaubert napisał w jednym z listów: „Toteż to tak bardzo modne wyrażenie „problem społeczny" buntuje mnie do głębi. Dzień, w którym zostanie on rozwiązany, będzie ostatnim dniem istnienia planety. Życie jest wiecznym problemem, i historia także, i wszystko. Ciągle doskakują nowe liczby do dodawania. Jak policzyć szprychy koła, które się obraca? Dziewiętnasty wiek w swej dumie wyzwoleńca wyobraża sobie, że odkrył słońce". Wydaje mi się, że jeżeli chodzi o „problem społeczny", to Amerykanie są podobnego zdania i pewnie dlatego rozwiązali już

w tej dziedzinie więcej, niż ci, którzy ciągle o nim mówią. I nie wydaje mi się, aby mieli ochotę na liczenie szprych przez zatrzymanie koła lub wyobrażali sobie, że odkryli słońce. Liczą szprychy w ruchu i dlatego nie zawsze dobrze. Komunizm przy wszystkich pozorach i teoriach dynamizmu marzy o zatrzymaniu rozwoju, o petryfikacji; śni o liczeniu szprych na zatrzymanym kole. I to jest to coś, co odpycha, co tylu już od niego odrzuciło. Nie mówiąc o pretensjonalnym chamstwie, brzydocie i plebejskości, które przebijają z wszystkich poczynań kulturalnych komunizmu. Przypominają mi one zawsze żonę jednego polskiego robotnika, która dorobiwszy się na czarnym handlu, chodziła w popielicach i kazała sobie nałożyć złotą koronę na zdrowy, przedni ząb. W Europie wszystko, co nie jest naprawdę elitarne, jest stokroć bardziej chamskie, wulgarne i plebejskie, niż w Ameryce.

W w ogóle cały ten konflikt kulturalny europejsko-amerykański pachnie zawracaniem głowy. Malraux zapytany, czy istnieje jakiś nowy kierunek kultury europejskiej, odpowiedział wręcz genialnie, że Europy nie ma i nigdy jej nie było. Było natomiast chrześcijaństwo. Poza tym istniała dosyć mglista kultura europejska w 17-ym i 18-ym wieku na przemian francusko-angielska i angielsko-francuska, a to, co rozumie się dziś pod pojęciem Europy może być określone wyłącznie negatywnie: „Europa jest tym, czym nie jest Azja, bo jeśli chce się powiedzieć, że jest tym, czym nie jest Ameryka, zagadnienie komplikuje się bardzo". Otóż to — komplikuje się.

Co to jest kultura? Frobenius twierdzi, że „Lebensgefühl" — uczucie życia; Malraux, że „un accord des sensibilités", a mnie wydaje się, że zrównoważone posługiwanie się produktami cywilizacji. Zgodnie z moją definicją odniosłem wrażenie, że Amerykanie są ludźmi, którzy w dzisiejszej epoce posługują się produktami cywilizacji w sposób bardziej zrównoważony, niż ktokolwiek na tym globie. A jeżeli jeszcze nie, to na pewno są do tego najlepiej przygotowani. I gdy tu będzie się wsiadać do samolotu atomowego, jak do tramwaju, gdzie indziej jeszcze ciągle będą się zachłystywać na widok traktora i gruszki Bessemera. Na tym będzie polegać różnica.

29.7.54. Bojkotuję marynarskie jedzenie. Rano pojechałem do miasta załatwiać interesy. Nie wiem czy upał jest większy; tak czy owak brak powietrza. Biorę taksówkę i jadę do fabryki modeli „Monogram". Zależy mi na otrzymaniu wyłącznej reprezentacji i dostawy wprost z fabryki, bo dają większe dyskonto od cen katalogowych. Zajeżdżam i wchodzę. Harem pięknych stenotypistek. Są czyste, wykąpane, eleganckie, wypolerowane; wszystkie są niemal aż „za". Jestem w trochę brudnych spodniach i niezbyt czystej koszulce i czuję się w tym otoczeniu dosyć niewyraźnie. Proszę o rozmowę z prezesem wytwórni. Spojrzenia. Podaję nazwisko i dodaję „z Guatemali". Aż podskoczyły. To już co innego, egzotyka podziałała. Czekam i po

chwili wołają mnie. Chłodzony pokój, za biurkiem prezes. Zimny wzrok, stalowa uprzejmość. Zaczynam nieśmiało od początku. Jak osiadłem w Guatemali, jak zacząłem od zera, pokazuje fotografie, opowiadam ze szczegółami, z cyframi. Teraz otwieram większy interes, przewiduję tyle i tyle, znam się na tym. Już w czasie mojego opowiadania widzę, jak go ,,bierze''. Zupełnie innym tonem rzuca : ,,Wobec tego czego pan chce?'' Wyjaśniam. Wstaje, daje mi katalogi, zaczyna mi mówić per ,,Andrew'', ja jemu per ,,Jack'', pokazuje próbki, woła sekretarkę, sam notuje, ruch. Przechodzimy do omawiania szczegółów, formalności, opakowania. Potem znowu sami. Nagle mówi : ,,Andrew — przyszło mi na myśl, że przed Bożem Narodzeniem może pan potrzebować kredytu. Jestem gotów panu pomóc. Tysiąc, dwa. Tylko gdyby pan nie mógł zapłacić w terminie, niech pan zawsze napisze, szczerze i otwarcie. Nie znoszę zawracania głowy''. Zapewniam go, że jestem ,,a straight guy'' i że ja też tego nie lubię; kredytu też nie lubię, ale rzeczywiście może zajść potrzeba. Mówię mu, że od niego jadę do innej firmy — ,,Top Flite'' — w tej samej sprawie. Bierze słuchawkę i telefonuje tam. Zna ich. Rozmawia z właścicielem i zacząwszy od : ,,Jest tu u mnie w tej chwili Mr.''... i opowiada tamtemu z nieudanym zachwytem cały mój życiorys. ,,Proszę mu pomóc — on wyjaśni szczegóły''. Żegnamy się serdecznie i umawiamy się w Glenview na rozdaniu nagród. W ,,Tom Flite'' trafiam już na gotowy grunt. Załatwiam wszystko pierwszorzędnie.

Jestem naprawdę oczarowany sposobem podejścia, prostotą, ,,wychodzeniem naprzeciw'' tych ludzi. Jeżeli był w tym interes, to z drugiej strony czułem naprawdę szczere i pełne podziwu uznanie dla mnie. Poza interesem oni CHCIELI mi pomóc. To jest też w ich interesie — na pewno — ale poza tym było coś więcej. Jakby zsolidaryzowanie się z moimi wysiłkami. Nie litość, nie gest możnego wobec ubogiego i nie pomoc w naszym sensie, lecz raczej podciąganie mnie podobne do podciągania słabszego biegacza przez silniejszego w długodystansowym biegu, pełne sportowego koleżeństwa. Mimowoli myślałem o tym, że już zapłaciłem i od sześciu miesięcy czekam na towar z Anglii i nie mogę się doczekać.

Po obiedzie wracam do Glenview położyć się na chwilę i odpocząć. Pod wieczór jadę znowu do miasta i idę obejrzeć ,,Cineramę''. Bardzo mi się podoba. Wrażenie trójwymiaru jest niemal idealne. Siedzę w fotelu, a gdy pokazana jest Wenecja z płynącej gondoli, wydaje mi się, że siedzę w gondoli i mam ochotę pochylać głowę przy przejeździe pod mostami. Wyjście z kina na ulicę jest zanurzeniem się w piecu.

30.7.54. Przed południem latam. Raczej dla sportu niż z chęci wyników. Jest to wielka masówka doskonale zorganizowana. Poznaję Donalda, młodego Amerykanina, studenta dentystyki i Jima, operatora kinowego z jakiegoś małego miasteczka. Nawzajem sobie pomagamy. Bawimy się świetnie i w po-

łudnie, po wylataniu pięciu przepisowych rund, jedziemy samochodem Donalda na obiad do restauracji. Cały dzień mija na bałaganieniu się po polu i przyglądaniu się zawodom.

1.8.54. Donald stał się moim cieniem. Dziś uroczyste zakończenie zawodów. Na lotnisko zwaliło się chyba ćwierć Chicago. „Navy" demonstruje swoje samoloty. „Cutlass" przebija granicę dźwięku. Główny punkt programu, to pokaz zespołowej akrobacji sławnej na całe U.S.A. ekipy „Blue Angels". Jakby byli związani niewidzialną linką; trzy stopy odległości pomiędzy skrzydłami. Pięć niebieskich odrzutowców „Panther" tańczy najnowocześniejszy balet na niebie. Zimno mi się robi gdy w czasie „looping'u" zmieniają szyk. Mienią się w oczach, wydaje się, że muszą się zderzyć. Warto było tu przyjechać. Prawie tydzień obozowania w Glenview był dla mnie lepszym odpoczynkiem, niż miesiąc wakacji. Ciekawość rozpierająca od rana do wieczora. Chodziłem przez cały czas jak nakręcony budzik i ciągle coś we mnie dzwoniło i budziło.

2.8.54. Rano, tym razem wygodnym DC-4 z fotelami (dla „brass"u) odwieźli nas do Nowego Jorku. Żal mi, że już się skończyło. W południe zajeżdżam z powrotem do „Claridge". Wieczorem kolacja z M. i wielkie kino. Przy wejściu kupuję gazetę i dostaję w łeb. Wielkimi literami na 1-ej stronie: „Rewolucja w Guatemali". Kochany kraj. Nie można wyjechać na dwa tygodnie. Politechnika wojskowa zbuntowała się i zaatakowała znienacka oddziały wyzwoleńcze, zajmujące wielki i jeszcze nieskończony szpital na jednym z przedmieść. Armia nie wytrzymała. Zaraz po powrocie do hotelu telefonuję do „Pan American". Loty do Guatemali tymczasem zawieszone.

5.8.54. Sytuacja w Guatemali szybko wyjaśniła się i udało im się uspokoić tę czkawkę. Ale bałem się. Ambasady pełne „de los cameradas" i uwolnieni, mogli w przypływie rozpaczy zdobyć się na to, co nie udało im się zrobić przedtem.

Te dni po Chicago są tak urocze, że zatraciłem poczucie czasu i teraz już nawet nie pamiętam, czy to było wczoraj, czy kiedyś tam. Spotkania i rozmowy z ludźmi. Po latach samotności muszę panować nad sobą, żeby nie rzucać się wszystkim na szyję.

Jakieś przedpołudnie w księgarni polskiej. Kupiłem kilka książek. Wittlina, Lechonia, dwa ostatnie tomy wierszy Wierzyńskiego. I po powrocie do hotelu, w samym środku Nowego Jorku, przeleżałem całe popołudnie zatopiony w poezji. Nie miałem ochoty nigdzie iść, zapomniałem o świecie. Gombrowicz przejechał się raz z rozmachem po mowie wiązanej i podskakiwałem z uciechy. Miał wiele racji.

Poezja jest na pewno jedną z najtrudniejszych sztuk, nie znosi bujdy, mydlenia. Najmniejsza kropla grafomanii rozlewa się w wierszu, jak kleks na serwecie. W prozie znacznie łatwiej

przemycić taniość, tendetę. Pełno jest utworów prozą, co do których trudno zdecydować się, czy jest to „Hintertreppenliteratur", czy coś więcej. Wiersz jest zdecydowanie albo dziełem prawdziwego poety, albo mniej lub więcej zręczną grafomanią. I dziwna rzecz jak bardzo ten rodzaj sztuki pociąga właśnie grafomanów. Grafomania niemal z reguły wyładowuje się najpierw w wierszu. Najgorsze jest jednak to, że u wielu przedłuża się ten sposób wyładowania na całe życie. Wśród Polaków jest to choroba narodowa. Ileż tego pląta się po czasopismach. I zwykle oni krzyczą najgłośniej, oni są prawdziwymi poetami. Agresywność tej poetyckiej smarkaterii jest rozbrajająca. Wydaje się takiemu, że jak złoży do kupy trochę słów, których sam diabeł nie jest w stanie zrozumieć, to jest wielki, bo niezrozumiany. Tryka wszechświat głową. Nie wytrzymuję tej wielkości i z reguły nie znoszę wierszy. A tu utonąłem. Bo „Wyszły sarny i zapatrzyły się...", bo „Na Lexington Avenue...". Takie niby nic. Proste? Za proste. Rymuje? Tak — jeszcze jak. W takim razie skandal. Do antykwiariatu w sam raz. Zrozumiałe? Jeszcze gorzej. Można mówić o tzw. nowoczesnej sztuce (czy to istnieje?) co się chce, ale wiem jedno: bije z niej przede wszystkim nuda, bezgraniczna nuda. Gdy słucham, czytam lub oglądam te dzieła, przypomina mi się zawsze fragment listu Houston'a St. Chamberlain'a do Dujardin'a: „Ostatnio posłałem moją służącą na „Tannhaüsera". Wróciła olśniona: „Ach, jakie to piękne — powiedziała — ale o ileż byłoby to piękniejsze gdyby całkiem nie było muzyki". Wielkich poetów, a szczególniej liryków, można dziś policzyć na całym świecie na palcach. Wierzyński jest na pewno jednym z nich. Nie — nie kwitną mu już fiołki i trudno, aby mu kwitły. O to chodzi. Nie stanął i poszedł w głąb, bez pretensji, bez pseudo-filozofii.

8.8.54. Przespałem autobus na lotnisko. Pędziłem taksówką, wydałem resztę pieniędzy. Na lotnisku wymieniłem kilka znaczków pocztowych, żeby mieć choć na wodę sodową. Całonocny lot, w Nowym Orleanie z samolotu do samolotu i dalej. Na obiedzie w domu. Popołudniu znowu stary znajomy, punktualny deszcz. Pachną eukaliptusy, rozwijają się zwoje liści bananowych, cisza. Kocięta podrosły w tym czasie, królik znowu wybrał wolność i uciekł w bambusy. Czeka mnie tyle pracy, że wolę o tym nie myśleć. Ale grunt, że znowu w mojej budzie.

Andrzej BOBKOWSKI

Dolina Issy (5)

LV

Za tydzień miało się odbyć polowanie na cietrzewie i przygoda ciotki Heleny wpędziła Tomasza w rozterkę. Jakkolwiek chował wiele do niej niechęci, to jednak obowiązywała rodzinna solidarność. Co się zdarzyło? Jechała do Borkun, a on nie przepuścił okazji. Trzymał lejce i bicz, siedzieli obok siebie i już byli w lasku, koń wspiął się pod górkę, kiedy... Nie można orzec czy najpierw zobaczył czy usłyszał. Zza jodełki błysk bieli i już krzyk, a ten wydobywał się z ust Barbarki, której nigdy takie nie widział, zamarł w osłupieniu. Czerwona, ze ściągniętym brwiami, podnosiła leszczynową witkę, grożąc i wrzeszczała:

— Suka! Ja tobia dam! Ja tobia pokaża romansy!

I różne przekleństwa w dwóch językach.

— Niech ja ciebia jeszcze raz zobacza w Borkunach! Niech ja ciebia...

Tutaj witka świsnęła i Helena schwyciła się rękami za policzek i witka świsnęła i Helena zastawiała się ramieniem, a ja zachować się w takim wypadku przekraczało wszelką wiedz Tomasza, tyle że walnął konia, zaturkotały koła.

— Zawracaj! Zawracaj! O Boże, a za co, a za co? skarżył się Helena. Zawracaj, moja noga tam więcej nie postanie!

Tak, łatwo powiedzieć, ale droga była wąska, gniótł młod drzewka i koło zgrzytało o bok bryczki, ledwo się nie przewrócil Wielkie łzy leciały po twarzy ciotki, teraz ona była czerwon i przede wszystkim wyrażała cichym głosem zdumienie. Składał dłonie modlitewnie, a niebieskość jej oczu zostawiała niebiosom pomstę za niewinnie doznaną krzywdę.

— Cóś okropnego. Ja nic nie rozumiem co to znaczy ! Dla czego? Jak ona śmiała? Ona chyba pomieszana.

Tomaszowi było przykro i starał się nie odwracać głowy, udając że jest zajęty powożeniem. Zresztą miał dość do rozmyślań. Romanse — to jednak prawda. Te wszystkie jej słodkie miny do Romualda, oczy jej robiły się przy nim jak mokre śliwki. Ale skąd tutaj Barbarka? Tego w żaden sposób nie mógł pojąć. Czy on miał dość tej głupoty Heleny i kazał Barbarce, żeby na nią czekała w lasku? Czemu sprzymierzał się przeciwko ciotce ze swoją służącą? Co Barbarce do jego spraw?

Tomasz umówił się na polowanie. Ich męskiej przyjaźni nie mogły zakłócić żadne takie drobiazgi, niepoważne kłótnie dorosłych. Tylko że tak: ona nie będzie już jeździć do Borkun i powie, że nikt tam nie ma prawa bywać, a jeżeli on tam pójdzie, to wyjdzie jakoś nieładnie. Ona powie? Choć może nie powie. W tym tkwiło coś wstydliwego i zatrzymując się na granicy rzeczy niejasnych, odgadywał że ona nie ma czym się chwalić. I chociaż nie napomknęła ani słówkiem, z jej milczenia wynikał jakiś między nimi układ. Twarz jej sponurzała, dwie fałdy koło ust, kiwała się na bryczce jak sowa.

— Co? Tak prędko? — zapytała babcia Misia.

— A tak, nie zastaliśmy Bukowskiego w domu — skłamała lekko Helena.

Więc z tego wyłaniała się jego przewaga a zarazem wspólnictwo. Niestety przyplątywało się do wspomnienia gniewnej Barbarki inne, już tylko jego samego dotyczące. Nie dawno, włócząc się z berdanką skrajem lasu, wysunął się z gąszczu aż przy polach wsi Pogiry. Stary chłop na wozie ze zbożem układał snopki, które młody podawał z dołu widłami. Spostrzegłszy Tomasza, który go grzecznie pozdrowił: „Padék Dévu" czyli „Pomagaj Bóg", przerwał robotę i wyprostowawszy się na swojej kopicy, zaczął ciskać stamtąd na niego wyzwiska, a podniesioną pięścią potrząsał w słońcu. Tomasz zupełnie się tego nie spodziewał, ledwo go znał z widzenia i tak dostać porcję nienawiści, na którą niczym nie zasłużył, było dla niego ciężkim przeżyciem. Jeśli gniew natrafia na gniew, to łatwiej, ale tutaj furia trafiła na jego życzliwość, tylko dlatego że był panem. Nie wiedział gdzie się podziać, odchodził powoli, żeby nie wyglądało że ucieka, twarz go paliła ze wstydu i żalu, a usta, choć nie przyznałby się od tego nikomu, drgały, układając się w podkówkę.

Coś w tym nagłym wyskoczeniu Barbarki na nich przypomniało mu tamten dzień. Bądź co bądź on z Heleną na bryczce to było jedno, a Barbarka to drugie. Na Romualda spadała jednak odpowiedzialność za sprzymierzenie się z — i, niespodziewanie dla Tomasza, uparcie, pojawiał mu się ukochany, świętokradczy Domcio, który śnił mu się kilka razy jako Barbarka. „Cóż to za towarzystwo ten pan Romuald — babcia Misia z nacis-

kiem wymawiała „pan" — różnych łapserdaków do dom
nawprowadzać!"

Romuald pachniał tytoniem i siłą. Tomasz nie chciał g
stracić. I nagle uświadomił sobie, że chodzi o ciętrzewie, o strze
bę, o wszystko, a wtedy przestraszył się, że przez sekundę mógł
mieć takie myśli. Od babci Misi wynudził skrawki płótna n
onuce i dopasowywał sobie łapcie z lipowego łyka, bo przeci
w rojsty nie pójdą w butach.

LVI

Kotły do pędzenia samogonu ustawione były w lesie, w truc
no dostępnym miejscu i gdyby nawet zjawiła się policja, to chyb
po to, żeby spróbować ich produktu u Baltazara w domu. Od
jechałaby z kilkoma butelkami w podarunku za spisanie proto
kółu, że nic nie znaleziono. Wódki Baltazar potrzebował ni
tylko na swój użytek (nie wystarczało mu piwo) i nie tylko n
sprzedaż. Od czasu kiedy las oglądała komisja, którą sam opro
wadzał, pomiędzy wioską Pogiry i nim rosła złość. To prawda
że trzej urzędnicy, po traktamencie u Surkonta, drapali się n
bryczkę w dobrych humorach, bardzo czerwoni na twarzach, ż
śpiewali po drodze i jeden o mało nie spadł, co ten i ów zauwe
żył. Poprawili sobie jeszcze w leśniczówce, tak że drzew chyb
naprawdę nie widzieli, tylko trawę. Ze względów gruntowni
przez siebie przemyślanych, Pogiry życzyły sobie, żeby las prze
szedł na własność rządu, choć wtedy znikłyby korzyści to jes
spuszczanie pnia od czasu do czasu, na które Baltazar pozwa
lał. Nikt nie wiedział na pewno z wyjątkiem Józefa jak to jes
z datą działu między Surkontem i jego córką, ale odgadywa
że las jest tutaj ważny, przewidując skutki takiego i innego roz
strzygnięcia dla pastwisk, o które toczyli spór ze dworem. D
Baltazara mieli pretensję, że trzymał w tym z Surkontem i samo
gon służył do zalewania najbardziej wrzeszczących garde
Zresztą, mszcząc się, gdyby im nie dawał darmo, mogli napro
wadzić policję na samą ukrytą w gąszczu winokurkę.

W tym czasie, przy murze pod kościołem w Giniu, kied
msza się kończyła i mężczyźni zbierali się w grupki, rozmawian
często o lesie.

— On chytry — mówił młody Wackonis.

Dawno już nie nosił wojskowej bluzy, ubrany był tak ja
Józef Czarny w samodziałową kurtkę, zapinaną pod szyją. Jeże
się spotykali, nigdy nie dawali poznać po sobie, że pamięta
o historii z granatem. Należała do przeszłości, zapadła się ja
kamień w wodę.

— On — i język przesuwał się po papierku zwiniętego papierosa — swojej ziemi nie odda nikomu.

Było to powiedziane obojętnie, żadne spojrzenie, żadne drgnięcie twarzy nie zdradzało zamiaru. Jednak Józef wiedział, że kryła się w tym drwina z łatwowiernych.

— Może i teraz nie odda — zgodził się. — To za rok odda. Albo za dwa.

— A Baltazar jemu pomaga.

— Sobie sznur na gardło kręci.

— Kręci. Mówią, że Juchniewiczowa jego już wyrzuca.

— Kto mówi?

— A dziś, w kumietyni. Chodziła dom dla niego wybierać. On tu a ona do jego domu.

Splunięcie Józefa miało świadczyć o obrzydzeniu.

— Za parobka u nich będzie służyć? Pewno nie taki głupi.

— A może nie służy?

— Kto jemu każe z lasu iść? Nie zechce — nic jemu nie zrobią. Do sądu podadzą, tak co, na lat dziesięć wystarczy.

— E, Baltazar taki już, bojący. Spadnie szyszka, a on, że niebo jemu wali się na głowę.

— Co pijaństwo potrafi zrobić z człowieka.

Opinia Wackonisa dowodząca, że w ocenie ludzi kieruje się, jak należy, obserwacją, wyrażała dość powszechny u mieszkańców wsi Pogiry stosunek do Baltazara: wiele złości, ale i wiele pogardy. Inaczej mówiąc, uważali, że tam gdzie każdy zrobi spokojnie sto kroków, Baltazar zadyszy się, biegając w kółko i tłukąc pięściami w ściany których nie ma. On jednak nie wiedział, że tak go traktują i że z pogardą miesza się również litość. Więzienie w którym tłukł się było dla niego rzeczywiste i gdyby próbowali mu wytłumaczyć, że tylko się tak jemu wydaje, lekceważyłby ich perswazje, pewien że są ślepi i nie rozumieją nic. Wpychał im wódkę po to, żeby twarze rozjaśniały się na chwilę i żeby siedząc z nimi usłyszeć jakąś pochwałę, dowodzącą jemu samemu że „Baltazar dobry". Nigdy dotychczas mając te swoje wewnętrzne zmartwienia, nie musiał zajmować się tym jak inni na niego patrzą. Wiodło mu się dobrze, niektórzy mogli mu trochę zazdrościć, ale na tym się kończyło. Teraz ta przeklęta komisja i kombinacje dworu i jak gdyby mało było jego odcięcia przez to od wioski, Surkont wspomniał nieśmiało o córce — jedno zdanie, ale dosyć żeby ostrzec Baltazara.

Pracowicie bulgoce braha w kociołku, poblask ogniska oświetla twarz o okrągłych policzkach. Cała aparatura pod nim w wykopie, on siedzi na skraju, za jego plecami ciemność, z której wynurzają się lśniące liście leszczyn. Dlaczego czyjaś dłoń nie sięgnie, zbliżając się nad lasami, zasłaniając gwiazdy, w ten

maleńki punkt na kręcącej się ziemi, prowadziłoby ją świat księżycowe na falach Bałtyckiego morza, dlaczego nie schwy i nie uniesie biednego Baltazara. Dokąd, wszystko jedno, przykład mogłaby go cisnąć w środek orkiestry w czasie koncer w wielkim mieście, padałyby pulpity, popłoch, czołgałby się czworakach, niezgrabnie przebierając nogami w długich butac dźwignąłby się wreszcie, chwiejący się, rozczochrany.

— Krzycz!

I Baltazar, posłuszny rozkazowi swego prześladowcy, rzuc by na salę wyznanie sekretnej choroby drążącej tak wielu z na urodzonych nad brzegami Issy.

— Za mało!

Za mało!

Żyć to za mało!

— Krzycz!

Dziki skowyt:

— Nie tak! Nie tak!

Przeciwko temu że ziemia jest ziemia, niebo jest niebo i n więcej. Przeciwko granicom jakie zakreśliła nam natura. Prz ciwko konieczności przez którą ja jest zawsze ja.

Żadna ręka go nie porwie i Baltazara męczy czkawka. Dr pie się w pierś zakładając palce pod rozpiętą koszulę, na ple zarzucił kożuch, bo noc przezroczysta i chłodna.

Pogarda gromadzka wsi Pogiry da się łatwo uzasadnić, oto człowiek, który nie wie czego chce. Utrudnia sobie życie, z plątuje się, być może tylko po to, żeby nie być sam na sa z trwogą bez kształtów i nazw. Ale przecie nie jest niemożliw że od początku świata czekało gdzieś na niego przeznaczen które jedynie on mógł wypełnić, a nie wypełnił i na miejs gdzie powinienby był wyrosnąć dąb, zostało powietrze z ledv dostrzegalnym rysunkiem gałęzi.

Zsuwa się z brzegu wykopu, kuca i podstawia kubek p rurkę. Pije. W głębokościach lasu rozlega się lament rozdz ranego ptaka. Znów cisza, trzaska ogień. Niebo już bledn gwiazda spadająca nakreśliła linię na ciemnej jego stronie.

— Zabić.

— Kogo?

— Nie wiem.

LVII

Bekas-kszyk jest szarą błyskawicą. Zrywa się i nisko n ziemią robi kilka zygzaków, dopiero później prostuje swój Dlaczego, trudno zgadnąć, wygląda to jakby od dawna pr widziano w porządku wszechświata, że człowiek wynajd

:rzelbę. Karo drżał z podniesioną przednią łapą. Romuald strzeił i zabił ptaka. Tomasz natomiast nie zdążył nawet podnieść erdanki do ramienia.

Działo się to na podmokłej łące, gdzie między trawą przeświecały tafle wody czerwonej od rdzy. Wilgoć chłodziła przyjemnie nogi chronione od ostrych badyli i od żmij przez onuce łapcie. Słońce poranka igrało w rosach. Posuwali się rzędem a psem. Mieli polować we czwórkę, ale Dyonizy wymówił się, więc tylko Romuald, Tomasz i Wiktor.

Być może kiedyś było tutaj jezioro, ale na jego dawnym lnie teraz rozpościerały się łąki z ostrą wikswą i dalej, przed nimi, mszaryna — kępy na których rosły karłowate sosenki, tu ówdzie haszcze splątanej łozy. Wchodząc między pierwsze lrzewka Tomasz wciągał znany zapach. Jest to królestwo zaachu. Z mchu sterczą tu krzaki bahunu — *ledum palustre* — ich wąskimi skórzanymi liśćmi, niebieskie jagody pijanic, duże ak gołębie jajka, dojrzewają w cieple powietrza przesyconego parą. Są orzeźwiające w smaku, ale dużo nie należy ich jeść, o zakręci się w głowie, nie wie się zresztą czy od nich czy od długiego wdychania aromatów. Młode cietrzewie znajdują tu lość jedzenia, pod kierownictwem matki, a koguty, które spędzają lato samotnie, tutaj zaszywają się w gąszcze żeby linieć — przez ileś tam dni ledwo mają siłę latać.

— Szukaj Karo, szukaj!

Karo zataczał koła, migała jego biała sierść z żółtymi plamami, merdał ogonem i oglądał się czasem na nich pytająco. Romuald w parcianym frenczu, przepasanym ładownicą, z rzemieniem od siatki na zwierzynę przez plecy, wskazywał mu ręką kierunek. Wiktor dźwigał swoją wielką skórzaną torbę przyborów do kapiszonówki.

Tomasz przyszedł do Borkun jakby nigdy nic i witając się Barbarką udał, że jego wtedy na bryczce nie było. Później, już kiedy maszerowali sami, Romuald zapytał od niechcenia:

— A co ciocia? Nie wybiera się przyjechać?

Tomasza aż zatknęło. Dlaczego on udaje? Ale czuł, że jeżeli się w to wda, to się zaplącze.

— Ja nie wiem. Chyba teraz to zajęta.

I tyle o niej rozmowy. Z lufą wysuniętą naprzód, wpatrywał się w śmigania Kara, cały skoncentrowany na tym co się zdarzy i niespokojny. Od dawna bolało go, że nie zabił dotychczas ani jednego ptaka w locie, kaczki-klapaki się nie liczyły, wygarnął wtedy w kupę równocześnie z Romualdem. Najwyższa pora trafić choć jednego, cietrzewie stanowiły próbę. Pierwsza dzisiaj zdobycz — ten bekas, wzmógł tylko jego napięcie, bo umiejętność wodzenia lufą za ruchem, obliczenia ile metrów

trzeba założyć i to wszystko w ciągu sekundy, wydawała mu si nieosiągalna. Żeby przynajmniej złapał tego bekasa na muszk ale gdzie tam, stało się to za szybko, ledwo rozluźnił mu si skurcz gardła, już Karo aportował.

— Oni siedzo teraz twardo — powiedział Romuald. Pi może nosem tknąć. Ty nie oglądaj się Tomasz.

Zapadali się w mchu po kolana.

— O, tam to mogo być.

Ale nie było i szli coraz dalej w mszarynę, a Karo wywi szał język, chował i znów zabierał się do pracy.

Tak, najgorsze jest, że człowiek się nie spodziewa. Najpier natęża uwagę i przybliża się do każdego krzaka z ostrożności następnie zapomina trochę o celu, porywa go sam rytm kroków i łozy, jak te naprzeciwko, są dla niego tylko czymś, co się zara minie. I właśnie wtedy, na przekór.

Kara stracili na chwilę z oczu. Nagle Tomasz został ug dzony, obrzucony odłamkami dźwięku, który wybuchł w powie trze, trzask, rwanie się świata na kawałki, panika, ogień, kre zalewa twarz, wzrok przyćmiewa się, ręce się trzęsą. To. T A tak blisko, że widział ich wyciągnięte szyje i dzioby ja u kurcząt między zamętem bijących skrzydeł. Celował, właściwi nie celował, pociągnął za cyngiel w pośpiechu, byle pociągną wierząc w jakiś cud. Równocześnie Wiktor obok składał si zgarbiony, niezgrabnie i Tomasz słyszał jego strzał, jego własn cietrzew leciał dalej, a inny przed Wiktorem, spadł, pies rzuc się to tu, to tam, niezdecydowany czy ma gnieść w pysku cietrz wia Wiktora czy Romualda.

Wyrzucając pustą gilzę, Tomasz starał się znosić porażk mężnie, ale jasne niebo przesłoniło się kirem, serce mu bi gwałtownie jak po przerażeniu. Spodziewał się (jeżeli miał cz coś pomyśleć) że trafi cudem, że mu się to należy, sam sobie b winien, na drugi raz będzie mądrzejszy.

Wiktor stukał stęplem, ładował swój gruchot.

— Gam gy ig gegge goggęgim, czyli: tam my ich jeszc dopędzim — powiedział taktownie, dając do zrozumienia, że n warto przejmować się jednym pudłem.

Wkrótce Tomaszowi minęła ponurość, tym dotkliwsza, wypadało nadrabiać miną. Przyszłość wabiła. Teraz spokoj przede wszystkim spokoju. Ze wszystkich stron naokoło ni siwizna chorowitych sosenek, dolne gałęzie tutaj schły i zwi szały się z nich brody porostów. Romuald podnosił palec, śledz ruchy wyżła.

— Ma, on ma.

Pies znieruchomiał ze sterczącym ogonem. Podchodzili st

wiając duże kroki, w pogotowiu. W Tomaszu jęczało błaganie o pomoc.

— Pyf!

Karo posunął się ale znów zastygł, magnetycznie wpatrzony w jeden punkt.

— Pyf!

Ktoś to może znosić, a on Tomasz nie: kiedy postanawiał sobie, że zachowa równowagę, rozległ się trzask jak rozdzieranej płachty, inny niż się spodziewał, wibrowanie, klaskanie białych skrzydeł wrących nisko i strzał Romualda.

— To pardwy. Daj tu, daj tu!

Pardwa była biało-brązowa z nogami w getrach, śnieg skrzydeł odcinał się od reszty ciała. Z ukosa spoglądając na siatkę Romualda, zazdrościł, zamiast się cieszyć, że zapoznał się z nowym gatunkiem i że wpisze do swojej książki jego łacińską nazwę.

Ale pokrzepiało go to, że nie dał się ponieść. Powstrzymał się i przez to nie obciążył swego myśliwskiego sumienia. Została więc nadzieja i wyciąganie nóg z gąbczastej masy nie sprawiało przykrości. Za każdym stąpnięciem woda wygniatana z łapci posykiwała miękko. Zabili żmiję na którą Karo wściekle szczekał, podnosząc górną wargę z wyrazem, jaki człowiek przybiera kiedy je coś zbyt kwaśnego. Teraz. Wyżeł ciągnął, pełno czasu, żeby wyrobić w sobie rozsądną czujność. Powoli, wysuwając łapę za łapą, oglądnął się na nich czy są, czy skorzystają.

Wybuch. O Boże, tak łatwo, tak łatwo, leci tutaj, byle nie pośpieszyć się, już na muszce. Boże, daj! Strzał i Tomasz w zdumieniu, nie godząc się, żeby naprawdę stało się nieszczęście, widział jak cietrzew leci spokojnie dalej. Ta sprzeczność między jego sprężoną wolą, zaklęciem a faktem, zgnębiła go zupełnie. Bo w istocie, znów jak wtedy, był pewien że decyduje związek magiczny pomiędzy nim i zwierzyną, a celowanie przybywa na dodatek, jako wynik szczególnej łaski.

Tuż koło niego spadły dwa młode cietrzewie ściągnięte dubletem Romualda. Oba były tylko ranne — istnieje rodzaj rany, który dotyka stworzenie paraliżem, lot ani bieg nie są wtedy możliwe, ale życie trwa, nienaruszone. Tomasz je podnosił, a one kręciły szyjami. Poczuwał się do obowiązku przynajmniej takiego, jeżeli innego nie spełnił. Wziął je za nogi i bił łebkami o kolbę berdanki, to nie pomagało, skarżyły się cienkim gdakaniem. Cierpka rozkosz, wyładowanie złości i zarazem wstyd, jednak ten tłumił powołując się na to, że trzeba. Położył strzelbę, zamachnął się i z całej siły hepał nimi o pień sosenki. Jeszcze wam mało? Dobrze, to jeszcze. Aż dzioby otworzyły się i spływały z nich krople krwi.

— Odpoczniem sobie. Podjeść trocha warto, w brzuch burczy. Słońce już wysoko.

Siedzieli na kępie i jedli chleb z serem, który Romuald wydobył z siatki. Tomasz nigdy dotychczas nie siedział tak obo nich, nagle obcych, oddzielonych przegrodą. Oni mieszkają w kra ju, do którego jemu dostęp został zamknięty. Nawet Wiktor ten jąkała Wiktor, strzelił teraz i trafił. W nich jest co innego niż w nim. Jakby nie umiał dobrze podchodzić do zwie rzyny, jakby nie dostawał ich pochwał. To jakiś sekret, że Wiktor ze swoim niedołężnym wyglądem umie a on nie umie Blask pogodny musował w górze, cieplarnia rojstu odurzała jaszczurki szeleściły na swoich suchych wyspach, wśród poros tów. Niby wystawiał twarz na słońce, pół-drzemiąc a smutek toczył w nim zimne kule, ciążyły mu wewnątrz.

— Czemuż ty nie strzelasz, Tomasz?

Nie mógł. Wiedział, że tylko zwiększyłby rozmiary swego niepowodzenia. Cóż za dzień! Zaraz skończą, już wyłazi łysy pagórek przed nimi, tamtędy wiedzie ścieżka okólna do Borkun ku niej skręcają. Wiktor spudłował, ale Romuald nie. Jednak kiedy zerwało się stadko tuż przy wyjściu na suchy grunt, nie wytrzymał i zdawało mu się, że na sam ostatek przygotowana musi być dla niego pociecha, nagroda, że nie zasłużył na od trącenie.

Romuald patrzył z zaciekawieniem na jego dymiącą strzel bę i odlatującego cietrzewia.

— Tobie dzisiaj nie wiodło. Tak bywa.

Jego słowa nie oddawały całości sytuacji. Tomasz niena widził siebie, bo sprawił mu zawód.

LVIII

Polowanie na cietrzewie dlatego zostawiło tak złe wspom nienie Tomaszowi, że od dawna podejrzewał siebie o różne brak Myśliwy na pewno kiedy trzeba wabić, skradać się, zamienia się w drzewo czy kamień, nawet wykazujący wyjątkowy do tyc umiejętności talent, dobry, jak się zdaje, strzelec z zasadzk tracił się za najmniejszą przyczyną do gorączki. Jeżeli dowó z cietrzewiami miał być ważny, to wznosiła się przed nim prze szkoda nie do przebycia. Nigdy nie stanie się pełnym człowie kiem, cały jego budynek wyobrażeń o sobie rozpadał się w gruzy Tak dążył, tak pragnął, tak już oswoił się z sobą jako obywate lem lasu, a tutaj, jakby przez ironię wyższą, która odmawia teg czego się najbardziej chce, słyszał: „nie". Nie. A więc kim m

być? Kim jest? Wspólnota z Romualdem, mapa tego państwa dla wybranych, wszystko to stracone. Nie mógł rozstać się z berdanką, obolały, wędrował przecie do lasu i tam żal ustępował.

Centki światła na poszyciu, szum w górze koiły go, zapominał o sobie. Nie potrzebował tam przed nikim zdawać egzaminu, nikt niczego od niego nie oczekiwał, on nie szukał niczego, stąpał jak najciszej, przystawał i cieszył się, że różne stworzenia go nie zauważają. Wtedy przychodziło mu na myśl czasami, że szczęśliwszy był kiedy nie nosił strzelby, bo właściwie zabijanie nie jest potrzebne. Choć znowu jeżeli się idzie do lasu bez strzelby, każdy zapyta po co, jakoś głupio, nie da się nikomu wytłumaczyć po co, a tak to „na polowanie" i już wiadomo. A także ta lufa za ramieniem dodaje łażeniu uroku, na wszelki wypadek, może niespodziewane spotkanie z ptakiem czy zwierzęciem, do którego strzelić wypadnie, trudno przewidzieć jaka niespodzianka może się zdarzyć.

Strzelba nie odegrała żadnej roli w spotkaniu z sarnami. Szedł jedną z tych dróżek, które są pokryte brunatnym igliwiem, gładkie i gubią się gdzieś w bagnie, dopiero zimą kiedy ścisną mrozy jeżdżą nimi sanki z drzewem. I nagle nogi pod nim podcięło, nie zrozumiał z początku co to za obecność, właśnie: obecność, nic więcej, czerwonawe pnie drzew ruszyły z miejsca i odprawiały taniec, światło odprawiało taniec między piórami paproci. Nie pnie, żywe istoty obrosłe rudzizną kory, ale na samej granicy roślinnego żywiołu. Skubały trawę tuż przed nim, ich drobne kopytka przesuwały się naprzód, falowały szyje, jedna obróciła ku niemu głowę, ale nie odróżniła go pewnie od rzeczy nieruchomych. Chciał tylko żeby to trwało, żeby mógł się rozpłynąć i, niewidzialny, brać w tym udział. Może drgnięcie jego powieki czy zapach wzbudziły ich czujność, lekkimi skokami znikły w leszczynach, a on został, prawie wątpiąc czy były, czy mu się tylko zdawało.

Kiedy indziej w podobny sposób natknął się na młodego lisa, który myszkował pod karczem. Tu już Tomasz nie tylko kontemplował jego pyszczek i kitę, dołączył się nakaz obowiązku a także myśl, że mógłby odkupić swoje winy, przynosząc go Romualdowi i ta myśl przesłoniła wszystko, jednak kiedy dotknął rzemienia strzelby, lisem podrzuciła sprężyna i nawet nie zachwiał się żaden listek.

Któregoś dnia broń jednak zwiodła go na pokuszenie i bardzo źle wtedy wypadło. Na szczytach leszczyn zauważył wicie się kolorowego węża, pół w zieleni, pół w powietrzu. Wiewiórka, choć inna niż te jakie widywał, może dlatego że w tym poziomym przesuwaniu się, które ją wydłużało i dodawało jej urody. Pod nią rozlegały się przestraszone okrzyki małych ptaszków.

widocznie zagrażała ich gniazdu. Tomasz z samej miłości do niej, nie mogąc się oprzeć, strzelił.

Była to młoda wiewiórka, tak mała, że to co wziął za nią tam w górze nie było wcale nią, tylko smugą jej skoków w które długo chwiała się barwa. Zginała się w pół i prostowała się na mchu, chwytając się łapkami za pierś w białej kamizelce, na której wystąpiła krwawa plamka. Nie umiała umrzeć, próbowała wydrzeć z siebie śmierć jak oścień, na który nagle została wbita i tylko dokoła którego mogła się obracać.

Tomasz, klęcząc obok niej płakał i twarz kurczyła mu się od wewnętrznej męczarni. Co teraz robić, co robić. Oddałby pół życia za to, żeby ją uratować, ale uczestniczył w jej agonii bezsilnie, ukarany przez ten widok. Pochylał się nad nią a jej łapki z drobnymi palcami składały się, jakby go błagała o pomoc. Wziął ją na ręce i jeżeli, gdyby ją tak miał, ogarnęłaby go chęć całowania i pieszczenia, to teraz zaciskał usta, bo już nie żeby posiadać, wołał w nim głos, ale żeby jej oddać siebie, a to było niemożliwe.

Najtrudniej znosił tę jej małość i skręcanie się, jakby żywe srebro broniło się przed zastygnięciem. Odsłaniała mu się znów jakaś tajemnica, na mgnienie tak krótkie, że zaraz tracił do niej dostęp. Płynne ruchy zmieniły się w urwane podrzuty i ciemne pasemko wsiąkało w sierść puchatych policzków. Coraz słabsze drgnięcia. Martwa.

Siedział na pieńku, las szumiał, przed chwilą tutaj bawiła się, zbierając orzechy. Było to bardziej przerażające niż śmierć babki Dilbinowej, z powodów których dokładnie nie rozróżniał. Jedna, jedyna, nigdy pośród wszystkich wiewiórek, jakie dotychczas istniały, nie znalazłoby się takiej samej i nigdy już nie wskrześnie. Bo ona jest ona a nie inna. Ale gdzie podziewa się jej czucie, że ona jest ona, i jej ciepło i jej giętkość? Zwierzęta nie mają duszy. W takim razie zabijając zwierzę zabija się je na wieczność. Chrystus nie zdoła jej pomóc. Babka wołała „uratuj". Ją Chrystus przygarnie i poprowadzi. Mógłby zbawić wiewiórkę jeżeli wszystko może. Nawet jeśli wiewiórka nie modli się, to przecie ta się modliła, modlić się to to samo co chcieć, chcieć żyć. I on tutaj, winien. Podły.

Zagrzebać ją w ziemi, zgnije, żadnego śladu. Nieść jej nie będzie. Nie ośmieliłby się nikomu spojrzeć w oczy. Odwrócić się i odejść. Wysoki kopiec mrowiska zwrócił jego uwagę. Usypany z zeschłych świerkowych igieł, nie zapowiadał że jest zamieszkany, ale płytkimi ścieżkami dążyły ku niemu wielkie rude mrówki, a kiedy Tomasz zdarł wierzchnią warstwę i zanurzył patyk, zaroiło się we wgłębieniu. Jeszcze kopał, aż kiedy z rozprutych tunelów wypadały ich tłumy, miotając się w panice

zyniósł wiewiórkę, ułożył i zasypał. Objedzą ją dokładnie, aż stanie biały szkielet. Wróci tutaj i znajdzie. Co z nim później jeszcze postanowi, najlepiej w skrzynkę i umieścić gdzieś tak, by przetrwała jak najdłużej.

Odnajdzie drogę chyba łatwo, sosna z krzywym konarem, ıstępnie kamień, wyspa grabów. Podjął berdankę (nie naładoaną), zarzucił na ramię, przedzierając się ku drożynce.

Podłość. Nie dosięgać tych co bronią się zręcznością i lotem, ısięgać tylko słabych, którzy nie oczekują niebezpieczeństwa. /iewiórka go nawet nie widziała, nic jej nie ostrzegło. Młode etrzewie wykręcały szyje teraz w nim, słyszał tępy odgłos ich bków miażdżonych o drzewko. Tak dokładny obraz, że dotykał ıropowatości kory, z której za każdym razem sypały się chrzuszące płaty. I inne wyrzuty sumienia. Babcia Misia co prawda owiadała mu, że kiedy był mały, zbierał w ogrodzie w koszyk maki-winniczki, żeby je ciskać do Issy z litości nad nimi. /yobrażał sobie (może dlatego, że wypełzają na dróżki po szczu), że im wyrządza przysługę. Tam na dnie rzeki ginęły, e dobra wola istniała. Także kaczka, której życie oszczędził. le to za mało.

Gdyby mógł przytulić się do kogoś, wypłakać się, wyskarżyć. agle napadło na niego tak gorące pragnienie, żeby dąb który ijał na skraju pasiek zamienił się w żywą istotę, że skulił się, iągnięty ssaniem w dołku, lękiem, podobnym do tego na huśwce. Kraska na suchej gałęzi poskrzekiwała, zawsze je ścigał ıoć nigdy nie dawały się podejść — tylko dwa ptaki mają tę skrawą niebieskość, są czystą latającą farbką: zimorodki i krai — *corracias garrulus*, jak wpisał w swoim zeszycie. Teraz e podniósł nawet głowy.

Od tak dawna mówiło się, że mama przyjedzie, że zabierze do miasta, że będzie tam chodzić do gimnazjum. I ciągle: za iesiąc, już wkrótce, a nigdy nic z tego. „Mamo, mamo, przydź", powtarzał idąc z berdanką, w swoich długich butach, yśliwski, a łzy leciały mu po twarzy i oblizywał ich słony ıak. Słowo zaklęcia nie przywoływało żadnego wyraźnego spomnienia, tylko łagodność i promienność.

Innej promienności potrzebował niż tej sierpniowego popodnia z lusterkiem powietrza obracającym się nad rżyskami. / ostatnich czasach nawiedzało go niekiedy dziwne uczucie: dzie, psy, las, Ginie jak zawsze przed nim ale nie te same. jko wydmuchuje się w ten sposób, że robi się na końcu mały worek i wyciąga się co jest we środku przez słomkę. Podobnie wszystkiego naokoło zostawał pozór, skorupka. Niby to co wniej, a nie to.

I nuda. Zrywając się rano z łóżka albo odpowiada się na

wezwanie do radości, do zabaw i prac, dnia ledwo wystarc
żeby wykonać, co się zamierza, albo nie odzywa się żadne w
zwanie i wtedy nie wie się po co i dokąd. „Co, Tomasz jeszc
nie wstał?" „Co tobie, chory może jesteś?" „Nie". Na brzega
Issy nie pojmował, co mu się tam kiedyś podobało, liście by
pokryte grubym pokrowcem białego pyłu, który wzbijał się z d
gi, spiekota przejrzewającego lata, woda leniwa i oleista
smugami zapruszeń, które prąd rozwlekał powoli. Wydobył swo
wędki i oczyścił haczyki z rdzy, dżdżownica wykręca się w pa
cach, ostrze haczyka celuje w różowy punkcik w centrum, z
głębia się, nie, wołał łapać na chleb. Czy pławik zadrga i z
nurzy się, czy nie, było mu obojętne, przez łowienie ryb powt
rzał już tylko na próżno dawną, zupełnie inną czynność, prób
wał obudzić w sobie zainteresowanie i dał spokój.

Wyciągnął swoje kajety do arytmetyki, zaniedbane od cza
kiedy, po złożeniu przez Józefa donosu, urwały się lekcje. Post
nowienie, żeby co dzień nad nimi spędzić godzinę, nie trwało dł
go, zaplątał się w jakimś zadaniu i zniechęcił się. Grzebał s
znów w bibliotece, znalazł tam książkę „Al Koran". Była to, j
wiedział, święta księga Mahometan. Ktoś się w Giniu ich relig
pewnie interesował, pradziadek, czy prapradziadek Tomasz
Chociaż niektóre ustępy były niezrozumiałe, czytał je z prz
jemnością, ponieważ pouczano w niej, jak człowiek powini
postępować, co wolno i czego nie wolno, również dlatego że zd
nia dźwięczały dobitnie kiedy je głośno wymawiał.

Berdanka wisiała na gwoździu bezużytecznie. Wywoływa
ona w Tomaszu wstyd zaniedbania. Wybierał się do Borkun, a
odkładał z dnia na dzień. Romuald nie pokazywał się. Ciot
musiała dowiedzieć się od babci Misi, że Tomasz chodził z n
na cietrzewie, ale nie dała poznać po sobie, że to ją cokolwi
obchodzi.

— Tomasz, pomóż nosić jabki.

Pomagał. Nawet zmęczyć się, dźwigając zamiast Antoni
pełne kosze dawało trochę satysfakcji. Nosił na drewniany
nosidle, z obu stron którego przyczepiało się kosze na hacz
kach zrobionych z rozwidlonej leszczynowej gałęzi. Sad arend
wał teraz pachciarz, krewny Chaima. Wielkie piwnice p
świrnem z półkami, na których układało się lepsze gatun
pachniały cierpko kamieniem i ubitą ziemią. Gryzł renetę i
sprężysty miąższ, który zawsze tak lubił, dziwił go: że nie zm
nił się.

Upłynęło chyba z miesiąc zanim przypomniał sobie o szk
lecie, a i to zmuszał się, żeby przebyć drogę do lasu. Mrowis
znalazł, ale wiewiórki w nim nie. Nie dowiedział się, co
z nią stało.

LIX

Post, który sobie Tomasz wyznaczył, był ścisły. Wolno było ·lko pić wodę, jeść nie. Postanowił tak wytrzymać przez dwa ni. Silniej niż nadzieja, że piętno zostanie z niego zdjęte, po-ychała go do tego sama potrzeba umartwienia się. Czuł że to :st słuszne, że tak należy, sprawiedliwe.

Miał powody. Jakby na znak że jest inny, nie taki jak wykli ludzie, dotknęła go dziwna choroba. Rano ukradkiem rzynosił wodę w kubku i starał się zmyć plamy na prześcieradle. V nocy nawiedzały go koszmary, Barbarka, goła, obejmowała o i siekła rózgą. Smutek. Musi być jakiś sposób rozdarcia za-łony. Bo rzeczy które go otaczały były albo wydrążone, albo, ık czasem mu się zdawało, przesłonięte jakąś pajęczyną, która dbierała im wyraźność. Nie okrągłe a płaskie. I zasłona rów-ież kryła sekret do którego dążył, jak we śnie, kiedy biegnie ię, już-już, a nogi ciążą ołowiem. Bóg — dlaczego stworzył świat którym śmierć i śmierć i śmierć. Jeżeli jest dobry, dlaczego nie ıożna wyciągnąć ręki żeby nie zabić, ani przejść ścieżką żeby ie deptać gąsienic czy żuków, choćby się starało nie deptać. óg mógł inaczej stworzyć świat, wybrał właśnie tak.

Więc niepowodzenie w polowaniu i nieskromna przy-adłość, ponieważ wyłączały go z towarzystwa ludzi, natych-ıiast skłaniały do rozmyślań sam na sam ze wszystkiem. Post owinien był go oczyścić, przywrócić mu normalność a równo-ześnie pozwolić zrozumieć. Kto siebie karze, okazuje przez to stręt do swego zła i, tą swoją częścią która karze, wzywa Boga.

Przekonał się, że sposób jest skuteczny. Rano czczość, jak kiedy idzie się do Komunii św. Później, po kilku godzinach, wałtownie chciało mu się jeść i przezwyciężał pokusę: choć ka-ałek jabłka, no pozwól sobie. Im dalej, tym łatwiej. Przeważ-e leżał i drzemał, szlachetniejąc wewnątrz. I, co najważniejsze, ziało się z przedmiotami koło niego, z niebem i drzewami, kiedy yszedł przed ganek. Tomasz odkrył ni mniej ni więcej, że słab-ąc wydobywa się z samego siebie i zmieniony w punkt, unosi ę gdzieś nad swoją głową. I wzrok tego drugiego ja był ostry, garniał swoją pozostałą istotę, jako znajomą a przecie obcą.)na malała, odsuwała się w dół, w dół i cała ziemia z nią zem, a nic na ziemi nie traciło szczegółów, choć biegło na dno rzepaści. Smutek ustępował, zbyt nowy roztaczał się widok. ntonina opowiadała, że bogini Warpeja siedzi w niebie i przę-zie nitki losu, a na końcu każdej z nich chwieje się gwiazda. iedy gwiazda spada, znaczy to że przecięła nitkę i jakiś czło-iek wtedy umiera. Tomasz, na odwrót, zamiast obniżać się,

wędrował w górę, podobny w tym do pajączków, które dźwiga
się szybko ku gałązce, ściągając niewidzialny sznur.

Co postanowił, spełnił, choć drugiego dnia po połudn
osłabł zupełnie i kręciło mu się w głowie, kiedy wstawał. Zja
kwaśnego mleka z kartoflami na kolację i nigdy ich zapach (p
lane masłem) nie wydawał mu się tak cudowny.

Bóg zesłał mu na pocieszenie myśli, jakie dotychczas nig
go nie nawiedzały. Lubił rozkraczać nogi, stojąc na trawnik
pochylać się i patrzeć przez ich bramę na drugą stronę: tak o
wrócony, park okazywał się niespodzianką. Post również prz
mieniał nie tylko jego, ale także to, co widział. Więc czy wte
świat przestawał być czym był dotąd? Nie. I to nowe i to dawn
istniało w nim równocześnie. Jeżeli tak, to może niezupełnie m
się rację, wytaczając pretensje do Boga za to, że źle wszystko urz
dził, bo skąd można wiedzieć, czy któregoś dnia nie obudzim
się i nie odnajdziemy jeszcze jednej niespodzianki, uważając,
dotychczas byliśmy głupi. A Bóg, kto wie, czy nie przygląd
się ziemi przez rozkraczone nogi, albo po tak długim pości
że ten Tomasza nie da się z nim porównać.

Ale wiewiórka męczyła się. Czy ktoś mógłby ją zobaczy
jakoś z drugiej strony i powiedzieć, że nam się tylko przyw
działo, że nie, ona nie cierpi? Tego to już chyba nikt nie powi
nawet Bóg.

W każdym razie z postu dla Tomasza wyniknęło otwarci
się szczeliny, przez którą padał i łączył się z nim promień. Do
tykał palcem pnia klonu i właściwie zdumiewał się, że nie d
przebicia. Tam wewnątrz czekała kraina, po której chodziłby
zmniejszony, przez rok, do samego sedna by dotarł, do wios
i miast za granicą kory, w drewnie. Niezupełnie. Tam miast ni
ma, ale wyobraża się sobie i tak i tak, bo pień klonu to ogrom
w nim nie tylko w człowieku, który na niego patrzy, tkwi t
możliwość, że raz jest jednym a raz drugim.

Samotność Tomaszowi ciążyła, jednak do czego tęsknił był
roztopieniem się i rozmową bez słów. Stawiał wygórowane żąda
nia. Babcia Misia, tak, ale przecież nie był zdolny cokolwiek je
wyznać, ona nie do tego. Co do spowiedzi, to odnosił się d
niej niechętnie. Rachunek sumienia według pytań w książce d
nabożeństwa, na które udziela się potwierdzeń albo zaprzeczen
ale te omijają co najważniejsze, odstraszał go od niej. Win
swoją nosił w sobie, ogólną a wymykającą się podziałowi n
grzechy.

Boże spraw, żebym był taki jak wszyscy — modlił się To
masz a demony natężały ucha, obmyślając metodę dalszego po
stępowania. Daj, żebym umiał dobrze strzelać i żebym nigd
nie zapomniał, że postanowiłem być przyrodnikiem i myśliwym

Ulecz mnie z tej wstrętnej choroby (tu trudno zaręczyć, zważywszy na niski stopień wielu demonów znad Issy, czy nie parskały niesłyszalnym śmiechem). Pozwól, żebym pojął wtedy kiedy Tobie spodoba się mnie oświecić, twój świat. Taki jaki naprawdę jest, a nie taki jak mnie się wydaje (posępniały, bo sprawa była jednak poważna).

Liczne sprzeczności dostrzegalne w życzeniach Tomasza dla niego nie pozostawały sprzecznościami. Ubolewał nad śmiercią i cierpieniem, ale jako nad cechą porządku, w którym został umieszczony. Ponieważ to nie zależało od jego woli, musiał dbać o swoją pozycję wśród ludzi, a tę zdobywało się przez zręczność w zabijaniu. Wolałby teraz podtrzymywać przyjaźń z Romualdem i zyskać prawo do wycieczek po lesie bez uciekania się do przelewu krwi, ale zrzucał z siebie odpowiedzialność, choć nie udawało mu się całkowicie jej pozbyć.

LX

— Mama! Mama!

Dyonizy, nieco płaczliwie, błagalnie, zwracał się do starej Bukowskiej, ale to nie pomagało.

— Szatan! — krzyczała i biła pięścią w stół. — Szatan, na nieszczęście ja jego urodziłam. Brud! Brud!

Była bardzo czerwona i Dyonizy bał się o jej zdrowie. Dyszała teraz ciężko, pochylała się na krześle i łapała się za brzuch.

— Oj jej, mnie tak w dołku ciśnie!

Skarżyła się:

— W błoto nas wszystkich wdeptał. Matka swoja on zabije, co jemu. Oj, Dyonizy, mnie nudno.

Dyonizy podszedł do szafki, nalał pół szklanki wódki i postawił przed nią. Wychyliła jednym gulgnięciem i ocierała sobie usta. Podsunęła szklankę na znak że jeszcze. Dolał, rad, że nie odmawia lekarstwa.

— Wiktor, ty pobądź z mamą.

I wyszedł na ganek. Tam, na ławeczce siedział Romuald, bardzo markotny i palił.

— No jak?

Dyonizy siadł obok niego i kręcił bankrutkę.

— Krzyczy i słabieje. Ty jej teraz przed oczy lepiej nia suń sia.

— Jaż i nie chca.

— Nia już trzeba tak było? Nia lepiej było pomalutku, przygotowić?

Romuald wzruszył ramionami.

— Czy ty jej nie znasz? Po malutku czy nie po malutku, a byłoby także samo.

Milczeli. Kury grzebały się pod jabłoniami, gdzie miały swoje wysiedziane obozowiska w sypkiej ziemi, posiekanej śladami ich łap. Kogut gonił jedną, dopędził, łopotał na niej, puścił wreszcie, złażąc z niej niezgrabnie. Otrzepywała się, jak zawsze zdumiona tym co zaszło i zaraz zapomniała, zanim zdążyła się nad tym zastanowić. Spętany koń, skacząc, podrzucał grzywą. Dyonizy zerwał się, bo koń parł przez grzędę dojrzewającego maku. Podjął z ziemi patyk, cisnął w niego i zamachał rękami żeby go przegnać. Kaczki ciągnęły przez trawę, kwacząc melancholijnie, bo słońce prażyło i wrzesień był suchy.

— Tak co będzie? — zapytał Dyonizy.

— A co ma być? Uspokoić się, to uspokoi.

— Ale jakżeż tak? Błogosławieństwa mówi nie da.

Ściągła twarz Romualda była ciemna od zarostu i przykrości.

— Jak nie da, to nie da. Ja co mam zrobić? Ty mamy słuchasz, tobie ożenić się nie pozwoliła, tak źle, tak niedobrze, kto jej dogodzi?

— Jednakże, sam wiesz, chamka — bąknął Dyonizy.

— Twoja była szlachcianka i mama też nie chciała.

Nie było to zupełnie ścisłe. W tamtym sprzeciwie chodziło jej o co innego, nie o osobę wybranej, a o syna, jakby była o niego zazdrosna i wolała żeby został starym kawalerem. Tutaj zdarzyło się coś naprawdę strasznego, a w jaki sposób do tego doszło, zbyt trudno przedstawić, tak jak zbyt trudno przedstawić, jak stopniowo w pajęczynę zaplątuje się mucha.

Klejnot szlachecki. Na dnie wielkiego kufra leżały stare dokumenty rodziny, co prawda nie ruszane od śmierci starego Bukowskiego, który jeszcze umiał je odczytywać, ale były. Zmieszać krew Bukowskich z krwią niewolników, których przez wieki bito bizunem po plecach, to właśnie cisnąć klejnot szlachecki w błoto. To prawda, Bukowscy pracowali tak jak chłopi i nikt z zewnątrz nie mógłby ich od chłopów odróżnić, ale królom każdy z nich był równy, bo królów kiedyś wybierali. Jeżeli czyjś ojciec nie zginał przed nikim karku, ni dziadek, ni pradziadek, ni prapradziadek, to trudno znieść myśl, że mógłby urodzić się Bukowski, w którym odezwałyby się ciemne popędy służalczości, pełzania, chytrości właściwej ludziom podlejszego stanu. I już nie miałby wtedy żadnej obrony przez pamięć kim jest i co winien swemu nazwisku, też ożeniłby się z chłopką i tak roztopiłby się ród w brudzie tłumu, który nie wie i nie chce wiedzieć skąd się wziął.

Stara Bukowska która stała na straży czystości krwi, znajdo-
ała więc dość powodów do rozpaczy. Mogła również być
ściekła na siebie. Nie sprzeciwiała się temu, że Romuald trzy-
ał Barbarkę w Borkunach, liczyła na jego rozsądek, chociaż
ektóre szczegóły powinny były ją ostrzec. Barbarka siedziała
a mocno, na zbyt wiele sobie pozwalała.

Romuald dał na zapowiedzi. Ksiądz Monkiewicz nie okazał
o sobie zdziwienia, ale miód rozlał mu się w sercu, że co nie
o chrześcijańsku kończy się po chrześcijańsku i że szlachcic
jednak porządny człowiek. Wolno tutaj zapytać czy Romuald
usznie, ze swego punktu widzenia, postąpił dając na zapowie-
zi. Jeżeli chciał zachować Barbarkę u siebie i mieć kogoś, kto
y szorował mu w łaźni plecy, słusznie. Z pewnych względów
udno było żyć jak dotychczas, a raczej należało się spodzie-
ać, że będzie trudno. Co nie znaczyło, że zdobył się na to bez
rupułów i wątpliwości. Dopomógł mu może gniew na Helenę
uchniewicz, która bawiła się z nim, owszem, ale wreszcie, nie
jawiając się wcale, złożyła dowód swoich pańskich fanaberii:
a wysokie progi na jego nogi.

Wykrztusić z siebie decyzję wobec matki było nie lada
róbą do przebycia i Romuald się spocił. Wiele mówił o gospo-
arstwie, że potrzebuje pomocy i że powinien się ożenić. Z kim?
choćby — i padło to imię, na co wybuchł szyderczy śmiech,
n, że już postanowił i wtedy krzyk, rzucanie krzesłami, chwyciła
askę i zaczęła go nią okładać.

Dyonizy, wróciwszy do izby, zastał matkę wpatrzoną nieru-
omo w jeden punkt, zaciśnięte pięści trzymała na stole. Z bu-
elki dużo ubyło. Wiktor gapił się na nią siedząc na łóżku, usta
iał półotwarte. Głowa jej się trzęsła.

— Hańba.

I znów cicho do siebie:

— Hańba, hańba.

Dyonizy bardzo kochał matkę i było mu jej żal. Jednak nic
nie pozostawało do powiedzenia. Przyglądał się ze swego
ydla świętemu Alojzemu, którego rękę z palmą popstrzyły
uchy. W szklanej mucholapce na oknie serwatka była pełna
arnych kropek, które poruszały się jeszcze, silniejsze łaziły
o masie swoich zanurzonych już towarzyszek, niezdarnie wlo-
ąc mokre skrzydła.

LXI

Nic nie może się porównać ze spokojem babci Misi. Kołysze
ę ona na falach wielkiej rzeki, w ciszy wód bez czasu. Jeżeli
arodziny są przejściem z bezpieczeństwa matczynego łona

w świat ostrych, raniących rzeczy — to babcia Misia nigdy s nie urodziła, trwała zawsze owinięta w jedwabny kokon te co Jest.

Noga dotyka miękkości koca, podwija go, lubując się w s bie i w darze dotyku. Ręka podciąga puszystą materię pod bro Za oknem białość mgły i gęsi krzyczą, kroplami rosy spływa szybie jesienny świt. Spać jeszcze, albo raczej istnieć na grani snu. Wewnętrznego punktu w nas nic wtedy nie dosięga tak jak ujmują to myśli i słowa, pomiędzy kocem, ziemią, ludźn gwiazdami znika różnica, zostaje tylko jedno, jedno, które naw nie jest przestrzenią — i podziw.

Wsparta na doświadczeniu swoich poranków babcia Mis rozumiała względność nazw nadawanych przedmiotom i względ ność wszelkich ludzkich spraw. A nawet, ośmielmy się tak twie dzić, to, co Kościół do wierzenia podaje, nie przylegało dla n do odczuwanej prawdy, większej, i jedyna modlitwa jakiej n prawdę potrzebowała, streszczałaby się do powtarzania: „C „Ta poganka" mówiła o niej babka Dilbinowa i słusznie. Skaz którą człowiek odkrywa w sobie działając, Misi nie ciążyła. Z miast natężać wolę w dążeniu do celu, rozluźniała się, żaden c nie zdawał się jej godny wysiłku. Nie należy się dziwić, że n wnikała w potrzeby i troski innych. Chcą, potrzebują, a dl czego?

Kiedy budzi się na dobre i leży z otwartymi oczami, my o różnych szczegółach codziennego życia, ale te są dla ni mało ważne, i nigdy babcia Misia nie zrywa się w pośpiech żeby zrobić coś, czego wczoraj zrobić zapomniała, albo pilnie wymaga jej wglądu. Syci się pamięcią swojego przebywa nia w nieskończoności, mruczy, jeszcze głaskana olbrzymią ręk To, co dla innych byłoby serią kłopotów, dla niej poprostu dzie się, nic więcej. Naprzykład Luk — też małżeństwo ! albo amo Heleny — choć pewnie z Romualdem już się skończyło — all ta Reforma. Także Tekla, z jej ciągłymi zapowiedziami przyjazd że już żadnej z nich się nie wierzy.

Więcej pewnie niż ona tym wszystkim, Niewidzialni, prz chadzający się skrzypiącymi podłogami, wśród trzaskający mebli „salonu", przejmowali się tym, że się nie przejmuje. Zres tą dawno już musieli dać za wygraną. Na ich nieszczęście trudn jest zaatakować niewinnych, tych co nie mają świadomoś grzechu. Chociaż może obserwacjom jakie zebrali trzeba prz pisać nowy rodzaj pokus, jakimi zaczęli oblegać Tomasza.

Dłubiąc w nosie, co sprzyja jesiennym zastanowieniom, T masz po raz pierwszy myślał o Misi jako o osobie i zaczął sądzić surowo. Ona jest straszna egoistka, nie kocha nikogo pró siebie. Ale kiedy tak już powiedział, w dziwny sposób z teg

rosły różne wątpliwości. Bo tak: dość na nią spojrzeć żeby wiedzieć jaka zadowolona ze swoich kolan, z dołku w poduszce, jak się w siebie zagłębia niby w wygodną pierzynę (Tomasz czuł Misię od środka, albo zdawało mu się że czuje). A on sam, czyż nie jest do niej podobny? Czy tak samo jak jej nie najlepiej mu kiedy wącha swoją skórę, zwija się w kłębek, rozkoszuje się tym że on to on? Wtedy wdzięczność Panu Bogu i modlitwa. Tylko czy tutaj nie ma jakiegoś oszustwa? Babcia Misia jest pobożna. Dobrze, ale czy nie przed sobą odprawia właściwie nabożeństwo? Mówi się: Bóg. A jeżeli to tylko miłość do siebie tak się przebiera, żeby wyglądać ładnie, bo naprawdę, to co kochamy? Swoje ciepło może, bicie swego serca, swoje zatulenie się w kołdrę.

Sprytu demonom nikt nie odmówi. Cóż za gratka, pozbawić Tomasza zaufania do wewnętrznego głosu, odebrać mu spokój, apelując do jego skrupulatnego sumienia. Wtedy już nie będzie mógł zwrócić się do Boga z prośbą żeby mu rozjaśnił w głowie, padając na kolana, będzie sądził, że pada na kolana przed sobą.

Tomasz chciał powierzać się Prawdziwemu, a nie oparowi, który unosi się nad nami, karmiony tym co jej wewnątrz nas. I zaledwie po tamtym swoim poście pozbył się trochę samoudręczeń, zaledwie zaznał kilku ranków słodyczy, a już znowu tracił ostoję, rozmazywał mgłę na szybie i spływały mu po twarzy łzy opuszczenia.

Tymczasem babcia Misia co dzień o świcie pogrążała się w swoich rozkoszach i do głowy jej nie przyszło, że kogoś mogłaby zgorszyć.

LXII

— Zaraz już skończy się.

Był to głos czy sygnał, który wibrował w powietrzu nad suchą trawą, w której grały świerszcze. Baltazar chwiał się, stojąc na ścieżce, porażony rozprzęganiem się rzeczy. Skąd on tu? Co tu robi? Co ma z tym wspólnego? Zamazane i płaskie, przedmioty zygzakowały przed nim, urągając swoją obcością. I unosił się w środku pustki, gorzej, bo nie miała ona środka, a ziemia stopom nie dostarczała oparcia, umykała sprzed nich, bezsensowna. Szedł i iskry owadów pryskały na obie strony, po co one są, zawsze te same. Skaczą.

— Zaraz już skończy się.

Schodki zaskrzypiały, izba pusta, żona z dziećmi wyjechała do Ginia, do matki, dzban z piwem na stole, obok bochen chleba. Przechylił dzban, wypił kilka łyków i z całej siły cisnął nim o pod-

łogę. Bryzgi brunatnej cieczy na szorstkich deskach rozpadły się gwiaździście. Chwycił się stołu i zapach drewna wymytego ługiem, cały ten zapach domu, nieco zaprzały, był dla niego wstrętny. Oglądał się i wzrok jego natrafił na siekierę opartą o piec. Podszedł do niej, schwycił i kołysząc się, wlokąc ją w opuszczonej ręce wrócił przed stół. Zamachnął się i uderzył z góry, i nie w poprzek, a wzdłuż i nie na ślepo. Stół zwalił się z trzaskiem, bochen chleba potoczył się i zatrzymał odwrócony, pokazując umączoną gładkość.

Z drugiej izby Baltazar przyniósł wielką butlę oplecioną wikliną i postawił ją na podłodze. Potem ją kopnął. Oparty o ścianę patrzył na płyn który bulgotał i rozszerzał się w wielką plamę, sięgając rozwalonego stołu i opływając naokoło chleb. I znajdował wiele do patrzenia, bo ze wszystkiego naokoło, nagle to nabrało mocy, wyraźności. Nabrzmiała na brzegach materia siąkła leniwie, wpuszczając zacieki pod ławy, zostawiając wyspy które zaraz zatapiała. W niej jakby zawierało się już co konieczne i o niej tylko myśląc, Baltazar wyjął z kieszeni zapałki.

Wtedy zaznał tej chwili na granicy nie ma i jest, sekunda przed tem nie było, sekunda potem jest, na zawsze, aż do skończenia świata. Palce jego ściskały pudełko, palce drugiej ręki zbliżały drewienko z czarnym końcem. Może zawsze chciał być tylko aktem czystym, samym spięciem tworzenia, tak żeby skutek nigdy go nie obciążał, bo dogoniłby go wtedy, kiedy on już koncentrowałby się na nowym akcie, niedostępny dla przeszłości. Potarł zapałkę o pudełko i buchnął płomyk, wpatrywał się teraz w niego, jakby pierwszy raz to widział, aż ogień go sparzył, palce się rozwarły i zapałka zgasła, spadając. Wyjął nową, potarł z rozpędu i rzucił przed siebie. Zgasła. Zapalił trzecią, pochylił się i wolno przytknął do rozlanej nafty.

Na pełzające płomienie przewrócił ławę i wyszedł. Bluzę miał rozpiętą, nie przepasaną pasem. W kieszeni tytoń i butelka wódki.

— Zaraz już skończy się.

Przyszłość. Tej nie było. Głos nawoływał, niebo blade i jasne, świerszcze grają, dzień, noc, dzień, nigdy ich już, są niepotrzebne. Skądś bierze się, umacnia się pewność. Czy wiedział dokąd idzie? Szedł. Ale odwrócił się i przerażenie skutku, przerażenie nieodwołalnego na widok dymu, który sączył się przez otwarte okna domu, ten wieczny protest Baltazara przeciwko prawu, że nic nie zostaje samo w sobie, tylko przykuwa nas łańcuchem i butelka wyjęta drżącymi palcami i przewrócenie się na trawę, a potem dźwignięcie się na czworaki i wołanie, w którym zdaje się nam, że krzyczymy a z gardła wydobywa się tylko charczący szept.

Baltazar miałby zapewne dość przytomności, żeby biec i gasić dom. Że tak mógłby postąpić nie pomyślał wcale, dławił się krzykiem nie z powodu tego czego dokonał, ale czego musiał dokonać, wiedząc może już wtedy kiedy trzymał zapałkę, zarazem że jest wolny i zarazem że zrobi tylko to, nic innego. Tak samo wiedział, stojąc na czworakach, podobny do zwierza, że nie zerwie się i nie pobiegnie gasić.

Postać z drewnianym mieczem czołgała się ku niemu, ruchem żmii. Zataczała mieczem młyńce słomianego koloru. Baltazar widział jej błyszczące oczy pionowo ustawione, ciało rozpłaszczające się chytrze. Skoczył i wyrwał gruby kół z płotu, dyszał i przed nim w trawie nikogo nie było. Nitki babiego lata bujały w powietrzu, lekko wygięte linie blasku. Las naokoło złoty w słońcu, cisza upału.

Nikogo. Ni wroga ni przyjaciela, prócz obecności nieuchwytnej i dlatego strasznej. Odwrócił się gwałtownie, żeby odeprzeć atak z tyłu. Sroka zerwała się ze skrzeczeniem, skądś z rowu. Dym z okien łączył się w pasma, które smużyły się po gontach dachu i już wlokły się mgiełką nad wierzchołkami grabów.

— Zaraz już skończy się.

LXIII

— Las.

— Rządowy.

— Nie.

— Czy to las?

— To Baltazar.

— Baltazar pali się.

Ludzie pogirscy wychodzili na skraj sadów, na rżyska, żeby lepiej widzieć. Następnie zwoływali się, brali wiadra, bosaki, siekiery i ruszyli pośpiesznie, gromadą. Za mężczyznami biegły dzieci i psy, z tyłu zebrała się grupka zaciekawionych kobiet.

W tym co się potem zdarzyło, należy oddzielić prawdopodobieństwo od rzeczywistego przebiegu. W każdym odtworzeniu faktów, choćby łączyły się one ze sobą z pozoru najbardziej logicznie, kryją się luki i gdyby je wypełnić, wszystko ukazałoby się w innym świetle. Jednakże nikt tego nie próbuje, przeszkadza temu zadowolenie z osiągniętej od razu oczywistości.

Baltaraz podpalił swój dom i zaczaił się w tym miejscu gdzie kończą się jego ogrodzenia z obu stron drogi do wypędu bydła. Zaczaił się, ponieważ spodziewał się, że pożar będzie widoczny z Pogir i że przyjdą gasić, a on postanowił do tego nie dopuścić. Tak wygląda prawdopodobieństwo. W istocie nie

miał żadnych zamiarów, siedział w trawie, szczękając zębami, zagrożony przez pełzające postacie i nadprzyrodzone sroki. Wiele tłumaczy jego brak harmonii między duchem i ciałem. Duch mógł pogrążać się całkowicie w bezład i grozę, ale ciało zachowywało swoją przytomność i szybkość odruchów, ociężałe a przecież ciągle potężne. Przedstawiało się więc obcym jako poddane woli, napiętej w jakimś kierunku.

Widzieli już z daleka płomienie i słyszeli rozpaczliwy skowyt psa, do którego budy musiał już sięgać ogień. Tym zajęci, zdumieli się kiedy nagle on wyrósł jak spod ziemi, rozczochrany, nieludzki. W ręku trzymał swój kół wyrwany z płotu. Wykonując ruchy obronne ramię jego zamierzyło się. Nie oczekiwał ludzi. Dla niego było to coś, co następowało szerokim frontem, świecąc mnóstwem twarzy.

Na przedzie szedł stary Wackonis. Widząc, że Baltazar podnosi kół, zastawił się siekierą. Wtedy ciało Baltazara poczuło niebezpieczeństwo i zrobiło co do niego należało. Kół opuścił się z całą siłą użyczoną mu przez ramię, na głowę Wackonisa, który padł.

— Zabił!

— Zabiiiił!

I drugi krzyk, wezwanie, umocnienie wspólnoty:

— Ej, Vyrai! — Ej, mężczyźni!

Były to pasieki, między ściętymi pniami rosły młode dębniaki, gdzieniegdzie, tam gdzie karczowano, przerywały zieleń ciemne doły. Kilkunastu ludzi pędziło wrzeszcząc, przeskakując przez te doły, koszule im łopotały w biegu. Baltazar uciekał w stronę wysokiego lasu. Teraz już tylko broniące się ciało i jemu zawdzięczał swój cel. Nie myślał ale wiedział, że gra idzie na śmierć i życie, stąd cel: karabin z obciętą lufą schowany w dębie.

Oni jednak też wiedzieli, że skoro zapadnie w wysoki las, już go nie dostaną. Zabiegali mu drogę z ukosa i skręcił w lewo, znów zabiegali, skręcił jeszcze bardziej i wpadł w olszyny. Te od lasu oddzielało pole Baltazara, z drugiej strony graniczyły z przestrzenią pastwisk.

W podeschłym błocie Baltazar grzązł, spod jego butów rwały się grudy czarnego torfu. Nie miał tchu żeby biec dalej, musiał ale nie miał tchu i lazł na czworakach, nurzając się w mazi, z sercem które go rozsadzało i ze skowytem. Tymczasem pościg się zatrzymał. Naradzali się. Jeżeli chcieli go mieć, powinni byli olszyny obstawić i urządzić nagankę. Ustalali kto gdzie ma pójść. Baltazar słyszał ich i oglądał się za bronią, kół rzucił uciekając, namacał gruby kij, ale ten mu się rozpadł, spróchniały, więc schwycił kamień.

Ludzie z Pogir mogli teraz załatwić z nim swoje dawne rachunki, ze zbrodniarzem który skoczył ich mordować za to, po sąsiedzku dawali mu swoją pomoc. I niewątpliwie chcieli zatłuc. Rozumieli, że siłacz, że na niego trzeba razem i zachęli się przekleństwami.

Posuwają się drobnymi drgnięciami wskazówki zegarów, jest wnoczesność gestów, spojrzeń, ruchów na wielkiej ziemi, grzeeń dotyka lśniących długich włosów, w lustrach odbijają się ki świateł, dudnią tunele, burzą wodę śruby okrętów. Serce altazara biło odmierzając czas, z otwartych ust ciekła mu ślina, e, nie, jeszcze nie! Żyć, jakkolwiek, gdziekolwiek, jeszcze żyć. zukał schronienia, przywierał do bagna, darł je jakby chciał się grzebać, wyżłobić kryjówkę. Bo to — on tutaj, a oni naokoło — przychodziło jako potwierdzenie głosu czy snu, takie jak iało być, nieodwołalne. Nie mógł nigdzie się skryć. Olszyna, ęsta u skraju, tutaj była dość rzadka, stare drzewa nie zostaiały dość światła dla krzaków, półmrok, grube korzenie między tórymi ślady krowich kopyt i gdzie niegdzie płaskie grzyby awozu. Nie ominą go, spostrzegą z daleka. Karabin. Mieć karain. Nie ma karabinu.

Może Baltazar powinien był wyjść naprzeciwko nich podosząc ręce. Żeby tak postąpić musiałby postawić przegrodę poiędzy pożarem domu, widmami i ludźmi z Pogir, ale oni jawiali się jako wykonawcy, złączeni z tamtym wszystkim.)czy musiał mieć wybałuszone, wyłażące z orbit, ściskał swój amień.

Stukali o pnie drzew tak jak w regularnej nagance. Ich łosy zbliżały się. Resztkom przytomności Baltazara trzeba przyisać taktykę jaką obrał. Zamiast czekać, ruszył na nich, na tych odchodzących od pola. Zaskakując ich zdołałby może uciec. ednak za ciężki, grzązł, nie nabrał dość impetu.

Ten, na którego wpadł, był to młody chłopak, znany w okocy z tego, że na wszystkich wieczorynkach dziewczęta uważały o za najlepszego tancerza. Baltazar zderzył się z nim prawie z odległości dwóch kroków puścił mu w twarz kamień. Jeżeli st się dobrym tancerzem, to to dowodzi pewnej zręczności chłopak uchylił się — ćwierć sekundy — a kamień ze świstem rzeleciał mu koło głowy. Od ostrza siekiery uchronił Baltazara ok za drzewo. I wybuchł wrzask:

— Tu on! Tu on! Tu on!

Znów biegnąc, Baltazar oburącz uczepił się młodego drzewa i wyrwał je z korzeniami. W jaki sposób to zrobił, nie wiaomo, przekraczało to siły człowieka. Z tym drzewkiem jak brzymią maczugą, umazany w błocie, spotkał tych którzy biegli u naprzeciw.

— Tu on! Tu on! Tu on!

Owce w słońcu wzbijają kurz na dyrwanie. Jeż szeleści po jabłonią. Prom odbija od brzegu i człowiek trzyma za uzd konie, które chrapią wciągając zapach wody. Wysoko na niebo nad obszarami pokrytymi mchem lasów, lecą żurawie i nawo łują: kruu, kruu.

Starli się ze sobą na polance. Powietrze gwizdnęło od za machu Baltazara i w tej samej chwili drąg spadł mu na ramię palce jego rozwarły się i puściły drzewko. Bosak z żelaznym hakiem na końcu, służącym do rozszarpywania palących się dachów, drzewce jego grube, jesionowe, wzięte w obie ręce Wackonisa-syna, szedł do góry.

Gdyby zatrzymać jedno mgnienie tego co się dzieje wszędzie zamrozić, patrzeć na to jak w szklanej kuli, odrywając od mgnie nia przed tym i mgnienia potem, linę czasu zamienić w ocean przestrzeni. Nie.

Grzmotnęło o czaszkę Baltazara. Zakołował i walił się całą swoją długością. Słychać było sapanie zmęczonych ludzi, echo powtarzało „tu on" i łomotały pośpieszne kroki innych.

Tymczasem dopalał się dom Baltazara, stajnia, obora i chlew. Z gospodarstwa w lesie została tylko odryna.

— Dobrze jemu tak.

— Czerci syn.

LXIV

Stary Wackonis umarł, ale Baltazar żył. Przewieziono go do Ginia do teścia. Surkont natychmiast posłał po doktora. To masz nigdy dotychczas nie widział dziadka w stanie takiego roz drażnienia. On, zawsze tak łagodny, teraz odpowiadał opryskli wie, odwracał się, jego krótko obcięte siwe wąsy stroszyły się skrywając jakieś niewypowiedziane słowa. Poszedł do wiosk i siedział przy łóżku chorego, który nie odzyskiwał przytomności

Duża naftowa lampa postawiona na zydlu paliła się jasno Baltazar leżał na łóżku, z którego zdjęto poduszki, zostawiając tylko jedną pod głowę. Zmyto z niego już błoto i krew, twarz sino-śniada odcinała się od bieli bandażu z grubego płótna. Na leżało mu udzielić Ostatniego Namaszczenia, ale wtedy, wbrew oczekiwaniom, otworzył oczy. Spojrzenie miał jakby zdziwione spokojne. Zdawało się, że nie pojmuje gdzie jest i co to wszystko znaczy.

Proboszcz, związany tajemnicą spowiedzi, nie rozgłaszał tego co usłyszał, zapewniał tylko, że Baltazar był w pełni swoich władz umysłowych. Być może nagły wstrząs uwolnił go od pa jęczyn i mgieł w których się wikłał. Rozmowa jego z księdzem

trwała długo. Później, w miarę upływu czasu, Monkiewicz powtarzał z niej to i owo, coraz więcej, znajdując usprawiedliwienie w użytku jaki z tego robił. Podpierał pewnymi szczegółami swoje nauki o pułapkach, jakie czyhają na duszę ludzką, stąd wiele faktów przedostało się do publicznej wiadomości.

Chociaż doświadczony i dowiadujący się niejednego w swoim konfesjonale, był jednak wstrząśnięty. Nie tylko ciężkimi grzechami — te Baltazar wyznawał mu po raz pierwszy, jakby dotychczas nie zdawał sobie z nich sprawy i nagle je przed sobą zobaczył. Bardziej może rezygnacją czy uporem z jakim ten człowiek powracał do stwierdzania, że jest potępiony. Proboszcz mu tłumaczył, że nikt nie ma prawa tak mówić, że dobroć boska jest bez granic i że żal za grzechy wystarcza w zupełności, żeby uzyskać przebaczenie. A Baltazar szczerze i mocno żałował. Tak mocno, że swój żal obracał przeciwko wszystkiemu czym był, niczego nie oszczędzając. Słuchał uważnie, ale po chwili wtrącał swoje: „Mnie nic nie pomoże" i „on tu jest".

Tak więc Baltazar traktował jasność, z jaką ukazywała mu się przeszłość, jako krąg otoczony ciemnością z której przychodził i w którą szedł. Miał już nałóg oczekiwania na podstęp, ciągle nowy, który go wtrącał w to samo cierpienie. I „on tu jest" brzmiało tak pewnie, że ksiądz Monkiewicz oglądał się z niepokojem.

Brak nadziei. Winnemu równie ciężkiego grzechu musiał udzielić rozgrzeszenia i ostatnich sakramentów. To nigdy dotychczas nie zdarzyło się proboszczowi i, pełen skrupułów, próbował wydrzeć z Baltazara chociażby pozór ufności, żeby być samemu w zgodzie ze swoim sumieniem. Zyskał to, że chory już nie zaprzeczał, dlatego zresztą, że widocznie słabł. Cały ten pobyt przy nim rozstroił nerwy Monkiewiczowi, jakby przypadłość, którą miał leczyć, była zaraźliwa i jakby uczestniczył tutaj, nie wiele mogąc przeciwko Złu, a zarazem wzbraniając się do tego przyznać.

Z niedostatku sił czy chęci, Baltazar, kiedy inni weszli do izby, nie okazywał, że jest świadomy ich obecności. Wpatrywał się w jeden punkt i tak, w przestrzeń, powiedział:

— Dąb.

Odnosiło się to do karabinu w dębie, przez zwykły automatyzm powrotu wstecz, albo wyrażało jakąś myśl. Stracił zaraz przytomność.

Doktór Kohn przyjechał późno w nocy. Orzekł, że może, że gdyby na przykład operacja, ale po to trzeba by go wieźć końmi, później koleją do wielkiego szpitala, czyli co pozostawało, to czekać i nie zadawać sobie niepotrzebnej fatygi. Baltazar dotrwał tylko do świtu. Słoneczniki wynurzały swoje czarniawe

tarcze z mgły, kury skrzekorzyły sennie, otrząsając rosę ze skrzydeł, wtedy jeszcze raz ogarnął spojrzeniem belki nad sobą, twarze ludzi i wszystko to prawdopodobnie wydało mu się dziwaczne.

— Chłopcy, razem.

To były ostatnie jego, niezrozumiałe, słowa i w kilka minut później umarł.

Rano nie było po co już tam zaglądać. Dla Tomasza obraz Baltazara żywego nie został więc przesłonięty przez maskę śmiertelnego spokoju. Górna warga lekko zawinięta do góry, trochę dziewczęca, cienie i uśmiechy przemykające się po twarzy okrągłej, zawsze za młodej, niech już taki zostanie.

— A co? Nie mówiłam? Zapił się na śmierć, łajdak. I babcia Misia robiła znak krzyża, dodając: Panie świeć nad jego duszą.

Antonina wzdychała, dorzucając o doli człowieka, który dziś żyje a jutro gnije. Co do Heleny, to zupełnie zapomniała, że miała jakieś zamiary przenoszenia Baltazara i wprowadzania się do leśniczówki. Ubolewała tylko nad tym, że tyle dobra poszło z dymem, a ten jej żal nie wynikał z egoistycznej troski, tylko z troski o wszelki owoc ludzkiej pracy.

Na pogrzebie byli wszyscy ze dworu. Padał wtedy deszcz i Tomasz przytulał się do babci Misi, trzymając nad nią rozpięty parasol. Krople święconej wody z kropidła proboszcza nikły wśród strumieni ulewy, która hałasowała w liściach dębów.

Proboszcz zamyślał się nad przypadkiem Baltazara i gubił się w zawiłościach. Wnioski, jakie wyciągnął, nabrały dla niego samego pewności dopiero kiedy przyzwyczaił się wypowiadać je głośno i utwierdzać się w swoim zdaniu przez powtórzenie go wiele razy. Mówił o tych, którzy zamykają dostęp do siebie Duchowi Św.: wola ludzka jest wolna, ale tak urządzona, że może albo przyjąć albo odrzucić dar. Przyrównywał ją do krynicy, która bije na szczycie góry — woda z początku rozlewa się, szuka sobie drogi, wreszcie musi spłynąć w jedną albo drugą stronę.

Ani szczególnie dobry kaznodzieja, ani teolog, Monkiewicz po śmierci Baltazara potrafił przejmować swoich słuchaczy, do czego dopomagało pewne porozumienie między nimi i nim — zawsze wiedzieli kogo bierze za przykład. Baltazar dość długo zajmował pokaźne miejsce w pamięci wszystkich. Kobiety lubiły straszyć nim swoich mężów, jeżeli za dużo pili.

Dziadek Tomasza zakupił kilka mszy za duszę leśnika. Proboszcz, przyjmując pieniądze, grzecznie dziękował, zły za tę swoją niepotrzebną grzeczność, której wobec panów nie zdołał się nigdy pozbyć. Równocześnie co myślał, to myślał. Nie był prawdopodobnie daleki od uważania Baltazara częściowo za ofiarę dworu, częściowo, tak, ale jednak.

Nie ma więc Baltazara i to „nie ma" nie jest bynajmniej łatwe do wyobrażenia, jeżeli wypowiadają to usta, które również za kilka minut czy lat znajdą się w sferze „nie ma". Kociołki, w których Baltazar pędził samogon, są natomiast niewątpliwie, dotykalne. Ludzie z Pogir przenieśli je bliżej wioski i użytkowali w sposób skuteczny. Stały się one powodem kłótni między nimi, jak również oskarżeń o kradzież, rzucanych przez rodzinę zmarłego. Z ogrodu Baltazara natomiast korzystały dziki.

LXV

Brzeziny w maju są jasno-zielone i wtedy na tle ciemnych świerkowych lasów znaczą się pasmami tego światła, w które jesteśmy skłonni przybierać planetę Wenus. W jesieni, jasnożółte, świecą płatami słońca. Czerwień osin jarzy się na szczytach olbrzymich świeczników. Październik w lasach ma jeszcze barwę dojrzałych jarzębin, płowych roślinnych sierści i liści opadłych na dróżki.

Polowali tam, gdzie pagórki schodzą do rojstów i widzieli przed sobą zbocza w ich spiętrzonej piękności. Powietrze tego ranka było chłodne i przezroczyste. Romuald zwinął dłonie w trąbkę i nawoływał psy:

— Ha li! to li! Ha li to li!

— Ooooliii — niosło się echo.

Tomasz stał obok niego. Z wątpliwości i samoudręczeń nie zostało śladu, wydały mu się nieprawdziwe, już wtedy kiedy Barbarka powiedziała mu po mszy, że Romuald czeka na niego następnej niedzieli, bo wyprawia się z gończymi. Do Barbarki nie wiedział co prawda, jak się odnosić po tej wiadomości o bliskim małżeństwie, która w domu została przyjęta wzruszaniem ramion i niezbyt pochlebnymi uwagami. Ale właściwie, to nigdy nie wiedział, jak do niej ma się odnosić. Najważniejsze, że Romuald go wzywał. Więc nie było może żadnej pogardy i tak mu się tylko zdawało. I rzeczywiście Romuald przywitał go zdziwieniem, że tak długo się nie zjawiał, pytał co porabiał.

Tomasz był szczęśliwy. Wciągał ostre zapachy i płuca rozszerzały mu się w poczuciu siły. Odrzucił ramiona w tył i mógłby skoczyć, a odbijając się stopą przeleciałby sto czy dwieście metrów, lądując tam, gdzieby zechciał. Przyłożył dłonie do ust i naśladował Romualda:

— Ha li! to li!

— Gug gegną — wygulgotał Wiktor. Gam — pokazał ręką. Psy biegły przez łączkę w dole. Przodem Lutnia, za nią

Dunaj i Zagraj. Nic tam nie znalazły, a trzeba było je ściągnąć żeby przejść na inne stanowiska.

Świat ukazywał się Tomaszowi jasny i prosty, urwał się związek ze sobą pogrążonym w myślach. Naprzód! Namacał za plecami zamek berdanki, jego chłód go cieszył. Cokolwiek jest przeznaczone żeby dzisiaj się stało, musi być dobre.

Przyszłość była zawsze dla niego magazynem rzeczy przygotowanych, czekających żeby się spełniły. Sięgało się w nią przeczuciem, bo w jakiś sposób mieściła się w ciele. Także niektóre żywe istoty występowały jako jej reprezentanci — na przykład kot, jeżeli przebiegnie drogę. Ale przede wszystkim należało wsłuchiwać się w głos wewnętrzny, który odzywał się albo radośnie albo tępo. Jeżeli przyszłość jest dana a nie dopiero się tworzy, mogąc w każdej chwili być taka albo taka, to co przypada na naszą chęć i nasz wysiłek? Tego Tomasz nie umiał sobie wytłumaczyć, wiedział, że powinien poddawać się wyrokom, które dokonywały się poprzez niego, a więc każdy jego krok równocześnie do niego należał i nie należał.

Poddawał się. Głos nawoływał radością, dzwonienie kryształu. Nogi stąpają po warstwie butwiejących liści, brzęknie metal strzelby o kółko przy pasie, cisza w jedlinach, orzechówka mignie nakrapianą szyją, na wielkich mrowiskach ni śladu ruchu, odbywa się gdzieś tam, we wnętrzu państw zapadających w zimowy sen. Tomasz szedłby tak godzinami, ale oto Romuald zatrzymał się i gładził się po policzku, zastanawiał się którędy najlepiej. Trzy ścieżki łączyły się tutaj, wybrali tę, która wiodła skrajem dość stromej spadzistości. W niektórych miejscach czuby świerków oglądali z góry, poniżej nóg, gdzie indziej las obniżał się łagodnie, przecinały go jary w otoku półnagich leszczyn, na ich dnie jaskrawa zieleń traw. Przy jednym z takich jarów Romuald zostawił Tomasza. Polecił mu dawać baczenie i na dróżkę i na przesmyk z dołu. Tomasz patrzył na oddalające się plecy Romualda i Wiktora z żalem, bo przecież zdaje się nam, że to co czeka towarzyszy idących dalej, jest ciekawsze.

Oparł się o pień sosny. Potem przysiadł, kładąc sobie strzelbę na kolanach. Naprzeciwko niego rozległ się szelest, przyglądał się i zobaczył mysz, która wysuwała pyszczek z jamki pod płaskimi korzeniami. Pyszczek węszył, podnosząc się śmiesznie. Zdecydowała, że nie ma niebezpieczeństwa i pobiegła, w płowości liści stracił ją z oczu. Inny szelest, leciutkiego sypania się skądś z gałęzi zwrócił jego uwagę. Wstał i zadzierał głowę, ale świerk skąd sypały się łuski szyszek był ogromny, tam wysoko małe ptaszki trzepotały się, przemknęło skrzydło prześwietlone blaskiem słońca, jednak prócz tego trzepotu nic nie mógł rozróżnić. Obchodził drzewo naokoło, bez skutku. A korciło go, bo nie znał ich

azwy, z tak daleka nie poznawał i w ogóle z tymi małymi pta-
ami miał największy kłopot. Romuald na przykład pytany o ich
atunki machał tylko ręką: „A kto ich tam wie?"

Drgnął i opamiętał się bo nagle z głębi lasu posłyszał gon. akby zahuczał raptem organ w kościele. Nie poszczególne głosy, le przydeptany mocno pedał, chorał który rozwijał się od ierwszych taktów we wznoszącą się i opadającą linię. Echo go otęgowało i Tomasz ściskał strzelbę wlepiając oczy w rudą róžkę, to znów w dno jaru. Bo nie rozumiał którędy psy idą, on to wzmagał się, to przycichał, a sama jego regularność, cała ęstwina zamieniona w głęboko pomrukującą pierś, wywierała na iego taki wpływ, że przestawał nawet doszukiwać się źródła łosów. Gdyby był z Romualdem, dowiedziałby się jaką treść ranie wyraża i wpadłby w podniecenie, ale ten język nie oznazał dla niego nic, dostateczny sam w sobie.

Oddala się chyba. Żeby właśnie tutaj przed nim pojawiła się zwierzyna już nie wierzył, ulegał powoli temu lenistwu jakie ogarnia nas kiedy liczymy i wszystko się zgadza, więc nie ma się ochoty dalej sprawdzać, albo kiedy wykluczamy wypadek. Zieleń na dnie jaru, dróżka, przez swoje mocne istnienie zaprzeczały możliwość czegoś innego dodanego do nich. Zresztą Tomasz o tyle się nie mylił, że Romuald, niezbyt pewny jego strzałów, postawił go w miejscu gdzie zachodziło mierne prawdopodobieństwo — przesmyk ten znał jako rzadko używany przez zające.

Bierne uczestnictwo w wołaniu lasu rozmarzało Tomasza, wolny od odpowiedzialności, pogodny, zaczął zabawiać się rozrzucaniem ściółki i grzebał skrajem podeszwy dołki w ziemi. Zupełnie nie licujące z jego wiekiem nachodziły go obrazy — ten dołek, to kanał, tutaj rzeka, teraz przeprowadzić jeszcze jeden kanał. A gon ciągnął dalej swoją rozmowę z przestrzenią, szum nad jego echem przesuwał się wierzchołkami boru.

Że też Tomasz nie zorientował się że psy gonią inaczej niż zwykle i że w ich głosach brzmi prośba: uważać! uważać! Nie, zamyślony o niebieskich migdałach, bo o niczym, zagapiony, nie spodziewał się że zły wyrok zapadł i że zbliża się tragedia.

Bo wszystko zostało przygotowane aby cios ugodził najboleśniej. Ufność bohatera. Jego długo hodowany lęk i później pozbycie się lęku, a więc ten punkt słaby, miłości, pragnienia, bez którego człowiek nie stałby się nigdy celem gromów i zwodnicza wesołość i obietnica, że cierpienie zaznane w przeszłości nigdy już się nie powtórzy. Bez niewiedzy nie ma chyba prawdziwej tragedii, oto już snopy świateł kierują się ku niemu, już nimi owinięty porusza się pod czujnym spojrzeniem widzów którzy

wstrzymują oddech, szaleniec, niczego nie oczekuje, zbyt pod dając się magii słuchu, żłobiąc dołki które przyniosą mu zgubę

Psy goniły kozła. Przebiegły, idąc jego śladem, duży łuk i ich wrzawa dobiegła Tomasza skądś z doliny, na tę wrzawę pod niósł głowę i celował roztargnionym wzrokiem tam, daleko A wtedy tuż pod nim buchnęła błyskawica, targnął nim nie je widok, całym ciałem poczuł że substancja jaru wypryska w nową nieznaną rzecz. Równoczesność zdumienia, podrzutu strzelby strzału i myśli: „to kozioł", ale w nieprzytomności, z tą rozpacz dokonanego kiedy pociska się cyngiel a już zdaje się sobie sprawę że się chybia.

Usta Tomasza były otwarte. Jeszcze nie ogarniał sensu tego co zaszło. Następnie z ust wyrwał się jęk, Tomasz z furią cisną strzelbę na ziemię, wszystko naokoło wydrążyło się ze swoje treści i przysiadł, szlochając, przebity na wylot okrucieństwem przeznaczenia.

Powiew chwiał nad nim puszystymi łapami sosny. Psy umilkły. Więc jego pogoda to była tylko pułapka. Dlaczego dlaczego ten głos wewnętrzny który dawał mu pewność? Jak on potrafi teraz znieść to wszystko, upakarzające bez granic? Teraz dopiero kozioł trwał pod jego palcami które przyciskały powieki, zastygł w skoku, podginał przednie nogi i odchylał w tył szyję. Gdyby o jedno mgnienie wcześniej, jedno mgnienie. Zostało mu to odmówione.

Krzaki zaszeleściły, wypadła stamtąd Lutnia, skomląc, i zwracała ku niemu oczy, za nią dwa tamte, nie pojmowały. Jeszcze w dodatku ten ich zawód, człowiek strzelił i obniżył powagę człowieka. Siedział nieruchomo na pieńku, z dłońmi przy rozpalonych policzkach. Trzasnęła pod butem gałązka, szli sędziowie.

Romuald stanął nad nim.

— Gdzież kozioł, Tomasz?

Nie poruszył się i nie spojrzał.

— Spudłowałem.

— Taż on na ciebie prosto walił. Ja mogłem bym zalecieć ale myślę, Tomasz niech ma.

I do zbliżającego się Wiktora, z irytacją,

— Tomasz kozła puścił.

Każde słowo pogrążało się w Tomaszu, zimne ostrze. Żadnego ratunku. Bał się oglądać na ich twarze. Wepchnięty w siebie, w swoje więzienie, w ciało które go zawiodło i którego nie mógł się wyprzeć, zaciskał zęby.

Droga powrotna w milczeniu. Te same, tak niedawno miłe

mu rozwidlenia i zakręty, teraz szkielety bez barwy. Czym zasłużył? Jeszcze bardziej niż wstyd, dotkliwy był żal do siebie czy do Boga za to że przeczucie szczęścia nic nie znaczy.

Na łąkach, tam gdzie mieli skręcić do Borkun, wymówił się że w domu na niego czekają i pożegnał się.

— Tomasz! Flinta! — wołali za nim.

Berdanka została przy nich, oparta o olchę. Nie odwrócił głowy, wsadził ręce w kieszenie i starał się gwizdać.

LXVI

Tomasz miał skończonych trzynaście lat i dokonał odkrycia: że po prawdziwej rozpaczy przychodzi zwykle prawdziwa radość i wtedy zapomina się o tym jak wyglądał świat kiedy tej radości nie było.

Szron leży na astrach. Gałązka której koniec oblepiają białe kulki chwieje się po odlocie sikorki. Naprzeciwko okna pokoju, gdzie dawniej mieszkała babka Dilbinowa, stoi pod gruszą i wciąga zapach brązowych, pokurczonych gruszek na ziemi, więdnącego ogrodu. Patrzy w okiennice. Nie, chyba jeszcze za wcześnie. Ona śpi. A może już się przebudziła? Podchodzi do okiennicy i ostrożnie podnosi haczyk, ale zaraz cofa rękę.

Nowy jego niepokój: czy on na nią, przez to co jest w nim, zasługuje. Jeżeli między nimi stoi koszyk z owocami, wybiera jabłko najgorsze, żeby przypadkiem tego nie wzięła. Nakrywając do stołu dba, żeby jej dostały się talerze bez żadnej szczerby (bo prawie wszystkie są poszczerbione), kładzie widelec i namyśla się, wydaje mu się, że sobie dał za dobry, a jej trochę wytarty i szybko zamienia. Obudzić ją, tak, już chciałby, ale to byłby egoizm.

Echem zza stawu odzywa się nierówne huczenie młocarni. Okrąża dom i wbiega na ganek, gdzie schną nasiona nasturcji, w kuchni zderza się z Antoniną. Podłoga korytarza z drzewem desek miękko wgłębionym od wieloletniego deptania. Zagląda do garderoby. Na przykład zważy ten węzeł z wełną i potem posłucha pod jej drzwiami. Zdejmuje ze ściany bezmian, zaczepia o hak rogi płachty i przesuwa mosiężny pręt. Na chwilę oszukał uwagę, ale nagle rzuca wszystko. Przykłada ucho do drzwi. Nie może już powstrzymać się i naciska klamkę, cicho, żeby bez skrzypienia zajrzeć przez szparę. Ale skrzypnęło i jej głos z wewnątrz: Tomasz!

Wtedy po powrocie z polowania zachorował. Już idąc trząsł się, w domu szczękając zębami rozbierał się pośpiesznie

i właził między zimne prześcieradła. Babcia Misia dała mu suszonych malin na poty. Nosił już w sobie chorobę i kłamliwe upojenie, w jakie wpadł rano, zapowiadało gorączkę, albo choroba była mu potrzebna. Brodą dotykał podkurczonych kolan, ogarnięty jedną tylko chęcią, żeby zaszyć się w norę i czuć na sobie ciężar kołdry i kożucha. To było kilka tygodni temu, ale to już dawno.

Kasztanowate włosy, które leżą na poduszce, kiedy Tomasz zbliża się do niej w półmroku, splata w warkocz, siedząc przed lustrem i przechylając na bok głowę. Najpierw jednak on dotyka ustami jej policzka i przysiada na jej łóżku, na samym twardym skraju, sterczącym nad materac. Szpilka na stoliku, albo coś czego się dokładnie nie rozróżnia, połyskuje tajemniczo. Potem okiennice są otwarte, Tomasz patrzy na nią z tyłu, w lustrze jej oczy, trochę skośne, szare, albo z tym błyskiem, kiedy nie wie się jakiego są koloru. Grube brwi obniżają się kiedy się śmieje, tak że oczy chowają się w szparkach między nimi i policzkami.

Dwa tylko fakty ze swego wczesnego dzieciństwa dotyczące matki znał Tomasz z opowiadań i nieraz o nich myślał, aż zdawało mu się że różne szczegóły pamięta, choć pamiętać nie mógł, bo był wtedy zupełnie mały.

„Miejsce kąpielowe" nad Issą jest to rodzaj luki w rzędzie drzew zawsze ocienionej, w którą schodzi się z pola. Matka położyła go przy ścieżce, już była w wodzie kiedy zobaczyła na ściernisku biegnącego w ich stronę psa z wywieszonym językiem i podwiniętym ogonem (a w okolicy było dużo wypadków wścieklizny). Wyskoczyła, schwyciła Tomasza i, goła, pędziła pod górę do parku. Tomasz sam nie wiedział skąd mu wziął się ten ręcznik który zgarnęła na oślep i który za nią się rozwiewał i w jaki sposób czuł jej lęk, usta łapiące powietrze, tłuczenie się serca. Widział także psa: rudego, z zapadniętymi bokami, słyszał za sobą jego oddech. Może to czerpał ze snu, bo taki właśnie sen o ucieczce często go prześladował. Bezwładny, zdany tylko na jej szybkość, zamierał w przerażeniu że ona już biec dalej nie zdoła, że upadnie. „Ona" to zresztą nie było więcej niż znak, nawet inny od jej fotografii i inny od niej prawdziwej, której teraz co dzień mógł dotknąć. Uparcie nawracał w rozmowach z nią do tamtego przypadku i kiedy już wszystko opowiedziała, pytał: „Ale ręcznik. Przecie tam był ręcznik". „Jaki znowu ręcznik?"

Drugiego zdarzenia wcale z nią nie poruszał. Miał wtedy półtora roku i zachorował na dyfteryt. Był już konający, a matka, jak to dokładnie opisywała Antonina biła głową w ścianę i na kolanach szła przez pokój, krzycząc, błagając zmiłowania. Podniosła złączone ręce i przysięgła: że jeżeli Tomasz wyzdrowieje,

na odbędzie pieszo pielgrzymkę do cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie. I natychmiast nastąpiło polepienie. Starsi, nagabywani o ten ślub, wykręcali się: „No, wiesz, takie czasy, wojna, ten zamęt, gdzież o tym myśleć". Tomasz więc musiał pogodzić się z tym że pielgrzymki nie odbyła. Teraz to łączyło się z rozmowami jakie ona, Helena i Misia toczyły zwykle w jej pokoju. Matka przejmująco przedstawiała swoje podróże wojenne, koło frontu, albo to swoje przejście granicy — w dzikich lasach, w nocy, sama z przemytnikiem który pokazał jej ścieżkę, ale było tak ciemno że zabłądziła, bała się ruszyć żeby nie wpaść na straże, więc schowała się w gąszcz i czekała świtu. Helena wtrącała: „Co ty mówisz, Tekla, co ty mówisz!" z podziwem. Ale jeżeli zostawała sama z Misią, zaczynała od pobłażliwego: „No tak, Tekla zawsze..." Znaczyło to, że niepoważna, lekkomyślna, wspaniałe przygody ale nigdy nie ma pieniędzy i tak dalej. Misia spod swego pieca podniecała z lubością Helenę żeby ta więcej wyłożyła swoich cukrowych pretensji, a Helena, głupia, nie rozumiała że robi sobie z niej zabawę. Tomasza jednak te uwagi ciotki bardzo raniły, bo był tamten złamany ślub. Może naprawdę lekkomyślna? Skądś, z głębi, pojawiał się żal do niej o to, że go tak zostawiła, samego. Kiedy siebie na tym przyłapał, uznał natychmiast swoją ciężką winę. Szukał jaką sobie zadać karę i wybrał najsurowszą — zabronił sobie przychodzić do niej na dzień dobry przez trzy ranki: najsurowszą, właśnie ponieważ wyglądać mogło że on nie dba o nią, zajęty czymś innym. Jeżeli znów kusiło go żeby ją sądzić, zamykał oczy i kazał sobie rozpamiętywać jaka jest piękna i odważna.

Liście są czerwone, Issa dymi między zrudziałym ajerem. Zaprzęgają czasem konia i jadą do wiosek odwiedzić przyjaciół matki z jej panieńskich czasów. Dzbany z piwem stoją na stole i fajki pykają i podnoszą się szklanki, i dzieci, i psy, i kufry zielone malowane w kwiaty, z sieni pachnie serami, serwatką, jabłkami, kury tam poprawiają się łopocząc na drabinach, leniwość chaty o tej porze roku kiedy prace w polu są zakończone i gospodarstwo zamyka się w sobie, w prostokącie podwórza. Błoto na drogach syczy miękko przewalając się przez szprychy kół. Pali się już w piecu, o szarej godzinie dobrze jest patrzeć w płomień i nie myśleć nic. Różowe światło niech tak trwa, ale powoli żar przygasa, już nie to samo, ciemno, a nie chce się ruszyć.

Knot lampy z kloszem z jednej strony białym a z drugiej zielonym trzeba długo przycinać nożyczkami żeby nie wypuszczał czarnych wąsów na szkiełko. On odrabia lekcje, ona odkłada sweter na drutach i ślini ołówek poprawiając jego zadanie. Przy-

suwa krzesło do jego krzesła, opierając się o siebie ramieniem krąg lampy, oni tutaj, a za oknem w sadzie hukają sowy.

Jednak tego co już się stało, nie łatwo się pozbyć. Zapytała go raz kim chciałby być. Poczerwieniał i spuścił głowę.

— Ja... chyba księdzem.

Przyglądała mu się ubawiona.

— Cóż ty za głupstwa pleciesz. Dlaczegóż to właśnie księdzem?

— Bo ja... bo ja...

Przełykał łzy i nie zdołał ich poskromić. Nie mógł wykrztusić: „Bo ja spudłowałem do kozła i martwiłem się że nie pamiętasz o ślubie", to zresztą nie byłaby cała prawda.

— Bo ja... jestem gorszy.

Księdzu przez to że nosi sutannę, wolno być różnym od innych ludzi, wymagania do nich zwrócone jego nie dosięgają. To próbował wyrazić.

Wyraz jej twarzy był taki, że musiał powiedzieć:

— Bo tak.

— Nic a nic nie wiesz jaki jesteś.

Odwracał się i wydobył z siebie przez zęby:

— Ja nie chcę być sam.

Tylko raz tak otwierają się drzwi, twarz nad szarym swetrem pod szyję, nieznajoma, rzuca promienie, wzywa, oczekuje, zachęca, on, znieruchomiały, nie pojmuje i nagle, z krzykiem, skok, ramiona go oplatają, ona. Nie, już nigdy.

Sen jest spokojny. Otula go kołdrą i jej pocałunek odprowadza go łagodnie w gąszcz nocy. Jej kroki oddalają się, wciskając nos w poduszkę, Tomasz szuka co mógłby jej dać. Zeszyt z ptakami? Nie, to było co innego. „Ale ja ją kocham".

LXVII

W wigilię św. Andrzeja leli wosk, matce wypadła korona z kwiatów czy cierni, nie wiadomo, a jemu płaski liść przypominający na cieniu Afrykę i na tej Afryce, krzyż. I zaraz potem spadły śniegi, kłęby pary wydobywały się z ust tych co wchodzili, tupiąc mocno, żeby zrzucić szklistą masę z obcasów, ruchoma chrzęszcząca breja na Issie krzepła w lód. Boże Narodzenie zbliżało się nie takie jak dotychczas: pusty talerz, który zostawia się przy wilii dla podróżnego, teraz dla naprawdę kogoś nieznanego był przeznaczony, a nie jak ubiegłych lat z cichą nadzieją, że raptem przyjedzie matka. Nie Antonina, ale ona robiła teraz przygotowania świąteczne, wspomagana przez To-

nasza. Sama ugotowała barszcz z uszkami i przyrządziła śliżyki. Śliżyki są to kawałki ciasta ugniecionego w wałek, które się piecze, aż twardnieją na kamyczki. Polewa się je na talerzu sytą — cały jej dzban stoi na stole. Syta składa się z wody, miodu i zgniecionego maku. Tomasza nie bardzo obchodziły dania w środku między barszczem i deserem. Nakładał sobie głębokie talerze żórawinowego kisielu i pęczniał od tej ulubionej potrawy, a siano które podkłada się pod obrus na pamiątkę, że mały Jezus leżał w żłobie, tworzyło miękki materac dla jego łokci, kiedy już osłabł z obżarstwa. Potem, pod choinką, śpiewali z matką kolędy i uczyła go takich, których nie umiał. Zapalili stajenną latarnię i szli na Pasterkę, kopiąc się w sypkim śniegu.

Matka Tomasza była praktyczna i postanowiła, że zostaną w Giniu przez zimę. Wyprawa w mrozy przez granicę jest zbyt trudna, a poza tym należało poczekać z innych powodów. Ojcu Tomasza wiodło się rozmaicie, ale najczęściej nędznie. Po różnych perypetiach z traceniem posady, jako urzędnik samorządowy klepał biedę. Helena dostawała swoją część w ziemi, więc jej należało się coś też, ale żeby mieć pieniądze, które się zamieni na dolary, trzeba wymłócić i sprzedać zboże, czekając na lepszą cenę. Przyszedł jej do głowy także śmiały pomysł, na który Helena wykrzykiwała: „zwariowałaś!" Żeby przeszmuglować przez granicę parę koni, dlatego że tej rasy niskich, szerokich koników takich jak na Litwie nigdzie nie ma, więc w podarunku mężowi. Ale przecież sama ledwo się przemknęła, więc jakże z końmi? Głupstwo, musi się udać.

Ta granica, otwarta tylko dla szmuglerów, wilków i lisów dlatego, że miasto Wilno Polacy uważają za swoją własność, a Litwini za swoją stolicę bezprawnie zagrabioną przez Polaków, była utrapieniem dla wielu ludzi. Matka wybrała konie, czterolatki, oba bułane z ciemniejszą pręgą przez grzbiet. One miały ich zawieźć aż do domu, przy czym liczyła na swoje szczęście i na to, że strażnicy, jeżeli nie ma w pobliżu oficerów, dają się zmiękczyć, jeżeli już nie można tak żeby nie widzieli.

Biały puch na framugach okien i cisza, w niej monotonne poćwierkiwanie gilów łuszczących nasiona bzu. Zbliżająca się podróż obudziła zainteresowanie Tomasza dla geografii. Do tych lekcji służył niemiecki atlas z datą wydania 1852. Matka poprawiała na nim ołówkiem państwa, bo wiele z nich miało teraz inne kształty. Na atlasie nie zaznaczono ani Ginia, ani okolicznych miejscowości, o co nie wypadało mieć żalu, jednak myślał o mapach w ogóle, o tym, że przyciska się palcem jakiś punkt i tam, pod palcem, są lasy, pola, drogi, wioski, porusza się mnóstwo ludzi, z których każdy szczególny, różny w czymś od innych, podnosi się palec i nie ma nic. I tak jak w kościele kusiło

go żeby ulecieć i przyglądać się klęczącym z góry, tak tutaj chciałby mieć magiczne szkło powiększające, które by wydobyło z papieru wszystko, co tam się kryje. Im więcej poświęca się uwagi tej przestrzeni z jej zarysami lądów, kółkami i liniami, tym bardziej nas ona pociąga. To jak wtedy kiedy wziąć dwie cyfry: jeden i dwa i wyobrażać sobie co jest między nimi. Gdyby można było narysować mapę na której zaznaczone byłyby wszystkie domy i wszyscy ludzie — gdzie każdy z nich stoi czy idzie — to jeszcze przecież zostają konie, krowy, psy, koty, różne ptaki, ryby w Issie, a gdyby i to narysować, to przecie jeszcze i pchły na psie i błyszczące żuki w trawie i mrówki i tak dalej. Więc mapa zawsze musi być niedokładna. I nad nią ślęcząc, dokonuje się jeszcze jednego spostrzeżenia: że tu na krześle ja jeden, a tam pod moim palcem, zatrzymanym na pustej plamie gdzie powinno być Ginie, ja drugi. Ja wskazuję siebie zmniejszonego. Ten drugi ja nie jest taki sam jak ja tutaj, tylko zrównany, zmieszany z innymi ludźmi.

Dnia przybywało. Dziadek wracał z podróży w interesach w bardzo dobrym humorze, bo jego starania wreszcie odnosiły skutek. Obiecywano mu, że podział Ginia między niego i Helenę zostanie uznany przez władze. Donos Józefa ostatecznie nic nie zaszkodził. Juchniewiczowie mieli się wprowadzić po św. Jerzym, tamten majątek naprawdę parcelowano.

Już Niedziela Palmowa, co prawda bez kotków wierzby, w mrozie i śniegu, wiosna spóźniała się w tym roku. Potem spomiędzy przegniłych liści i igliwa wyłaziły niebieskie przylaszczki. Tomasz zastanawiał się nad tym, że to ostatnia wiosna i że może tu nigdy nie wróci. Długo łaził po parku, aż wreszcie wypatrzył miejsce na zboczu, pośrodku kwadratowej polanki, wykopał młody kasztan, przeniósł tam i zasadził. Jeżeli kiedyś znowu znajdzie się w Giniu, pierwszą rzeczą będzie zbiec na tamtą polankę i sprawdzić jak duże wyrosło jego drzewo.

Woda w Issie była jeszcze lodowata, wynurzały się z niej dopiero przy brzegu pierwsze trąbki liści jasno-zielonego koloru, a w środku odbijały się skłębione obłoki. Któregoś dnia na stecce w haszczach nad rzeką spotkał przyjaciółkę swoich dawnych zabaw, Onuté. Widywał ją od czasu do czasu z daleka, ale teraz odbyło się to nie tak jak zwykle. Zatrzymała się, przyglądając mu się przez chwilę jakby z zaciekawieniem, a właściwie z dziwnym wyrazem. Była to duża dziewczyna. Spuściła głowę a Tomasz poczuł gorąco za kołnierzem i w policzkach, ominął ją z surową miną. Surowa mina maskowała drżenie, ale Onuté mogła pomyśleć, że gardzi nią, bo już jest prawie panem. Tak przypuszczał Tomasz po niewczasie, kiedy już oddalił się od niebezpieczeństwa i było mu przykro.

LXVIII

W sześć miesięcy po ślubie pana Romualda z Barbarką urodził się im syn. Gołe czarne garby sterczały wtedy na polach spod topniejącego śniegu, ale, choć już początek kwietnia, znów podmarzło, i do kościoła wieźli go sankami. Na chrzcie świętym dostał na imię Witold.

Pochmurne niebo, wrony krakały w łozach, bicz Romualda, ten od paradnych wyjazdów, z czerwonym chwaścikiem, smagał grzbiet konia niedbałym ruchem. Barbarka rozchylała kraciastą chustkę i zaglądała, dziecko spało. Jechali tak oczywiście w pełnej niewiedzy czasu, który nie jest tylko znaczony powrotem wiosen i zim, chwianiem się dojrzewającego zboża, przylotem i odlotem ptaków. Ziemia, po której ślizgały się płozy malowanych na zielono sanek, nie była ziemią wulkaniczną, nie wydobywał się z niej ogień, nikt tu nie myślał o innych pożarach i potopach właściwych historii człowieka.

Witold rozwrzeszczał się przed samym domem, Barbarka złożyła go w kołysce na biegunach i, kołysząc, oglądała się na zastawiony do przyjęcia stół. Jest to wielka radość być gospodynią u siebie. Kiedy otwierała drzwiczki szafy, z której pachniały upieczone przez nią bułki, napełniała ją słodycz równa ich słodyczy. Moje bułki. Mój mąż. Mój syn. I niemniej ważne, że moja podłoga, deski skrzypią i skrzypią sznurowane buciki. Więc twarz jej promieniała, wchodzili goście, Romuald zacierał ręce i mówił: „No Barbarka, dawaj, podjemi".

Stara Bukowska oglądała wnuka i orzekła, że podobny do niego, nie do synowej. Musiała pocieszyć siebie i w ten sposób i wychylając kieliszek za kieliszkiem. Następnie za oknami gęstniała noc, w gałęziach poświstywał wiatr odwilży, gdyby ktoś podszedł, zwabiony światłem, widziałby ich śmiejących się, nieco ociężale odchylających się na krzesłach i psy (tym wolno było w zimie, ze względu na chłód na dworze, przebywać w domu) drapiące się na środku izby. Pies, drapiąc się tylną łapą w szyję, stuka o podłogę, ale szyba nie przepuściłaby dźwięku.

W stronę oświetlonego okna w ciemności, wilk na skraju lasu zwraca głowę i śledzi przez chwilę niezrozumiałe siedlisko ludzi, oddzielone od tego co zdolny jest pojąć na zawsze. I, być może, taki kwadrat zwabia inne stwory, bardziej rozgarnięte. Tylko że jeżeli są to na przykład diabły we frakach, ukarane już będą niedługo za swoje zainteresowanie wnętrzem ludzkich domostw. Do drobnych spraw przywiązują zbyt dużą wagę, żeby mogły uchować się w oczach wymagających poczucia proporcji. Wkrótce już nikt nad Issą nie będzie opowiadać że widział jed-

nego z nich machającego nogami na belce we młynie, albo że słyszał ich tańce. Gdyby opowiadał, nie trzeba wierzyć.

Wiatr odwilży był zachodni, od morza. Na wodach między brzegami Szwecji i Finlandii, między hanzeatyckim miastem Riga i hanzeatyckim miastem Danzig, kołysały się statki i buczały we mgle. Barbarka przewijała dziecko, trzymając je za nogi i lekko unosząc mały tyłeczek, który budził w niej tkliwość. Tej tkliwości, jak również jej uczuć, kiedy rozpinała bluzkę i podawała synowi pierś z żyłą przeświecającą przez skórę niebiesko, nie należy przenosić poza właściwą im sferę doświadczenia. Na pograniczu tego co zwierzęce i tego co ludzkie żyć nam wypadło i tak jest dobrze.

LXIX

W tym samym mniej więcej czasie Romuald umówił nowego parobka, Dominika Malinowskiego. Jeżeli ten po raz pierwszy w życiu opuszczał Ginie, to z poważnych powodów.

Z gospodarzem u którego pracował tej zimy stali wtedy w stodole i młócili cepami. Być może dałoby się uniknąć starcia, mimo że od rana wszystko ku niemu prowadziło. Domcio umiał się hamować. Usta jego były zawsze wąskie i zacięte od skrywania tego co chciałby powiedzieć a nie mógł. W dojrzałość wchodził podobny coraz bardziej do chudego drapieżnego ptaka. Nieraz korciło go żeby złapać tego drania za grdykę ale wiedział, że uleganie własnym chęciom jest niebezpieczne. Buch, wzbijał echo cep starego, bach, odpowiadał mu cep Domcia i tak, na dwa głosy, ciągnęli pracę. Potem przerwali, bo stary musiał wykrzyczeć swoją porcję na kogoś w domu. I tutaj właściwy początek.

Ten ktoś był służącą, w tym wieku co Domcio, który uważał ją za głupią i niepotrzebnie dającą się każdemu popychać. Mniejsza zresztą o to jakie zachowywał dla niej sympatie, dość że teraz padło jego słowo w jej obronie. Następnie żylasta, zapiekła pycha starego trafiła na siłę Domcia i miał ją, tę grdykę pod palcami, trzymał go przez chwilę w powietrzu i rzucił o ziemię aż jękło. Wychodził za wrota a za sobą słyszał wrzask.

Chwila triumfu. „Nie będziesz mną rządzić". Kiedy jednak zbliżał się do chaty przy promie, już zaczął myśleć co z tego może wyjść. Wyszło naprawdę. Tamten podbuntował przeciwko niemu innych tych bogatszych trzymali ze sobą i Domcio nie mógł odtąd liczyć na zarobek u nich. Trzeba było szukać służby, wypadło że w Borkunach.

Tymczasem Domcio przesiadywał w domu i strugał łyżki, necki, kłumpie, żeby każdy dzień dawał trochę grosza. Czasem

atka z ławy na przeciwko przyglądała się jego zręcznie uwijacym się rękom. Mówiła „ziemia” i wtedy podnosił oczy na tę arz pociętą zmarszczkami, na usta wzięte w klamrę dwuch ęboko wprasowanych fałd skóry. Zawsze to samo: to jej podae o ziemię z Reformy. „Józef przecie mówił”. „Już wszędzie rcelują...” Domcio nie odpowiadał nic. Pochylał głowę i zaębiał w lipowe drewno nóż z większą niż zwykle uwagą. Zayślony prowadził powoli ostrze ku sobie, orząc długą bruzdę.

LXX

Wyjazd Tomasza z matką odwlókł się do czerwca. Kazała prawić na wozie leszczynowe łęki, na tych łękach rozpinała się uda, jak w wozach cygańskich. Do granicy mieli setkę kiloetrów, po tamtej stronie jeszcze ze czterdzieści, więc jeżeli eszcz, a poza tym żeby móc spać w podróży. Przygotowywała ż cały zapas suszonych serów z kminkiem, kiełbas i szynek ędzonych na czarno, takich jakie lubił ojciec Tomasza.

W przeddzień dziadek wprowadził Tomasza do swego pooju, zamknął drzwi, siadł i chrząkał. Potem zaczął mówić tym, że w mieście ludzie są zepsuci i że trzeba się pilnować, eby nie wpaść w złe towarzystwo, ale zaraz znów dmuchał h tch nosem i wyglądało, jakby się czegoś zawstydził, bo Toasz zapytał po czym poznaje się złe towarzystwo. „No wiesz, ódka, karty...”, przyciągnął go do siebie i gwałtowne wzruszeie przeniknęło Tomasza, kiedy całował go po kłujących policzach, aż nagle dziadek go odsunął i szukał po kieszeniach husteczki.

Śniadanie Tomasz jadł tego ranka parząc sobie usta herbatą zerwał się, zostawiając szklankę niedopitą. Przed oknem widział iałą budę wozu, wszystko było załadowane, ostatnie pośpieszne ozmowy, więc wyskoczył przed ganek i dalej, pochyłością gaonu, mijając rząd kwitnących piwonii. Rąbek doliny między rzewami parku w porannej mgle, nad rosami różowiał pogodny zień, śpiewały ptaki. Chciał pamiętać. „Zapomnisz ty nas, oj, apomnisz” — Antonina, kiedy zebrali się na stopniach, brała go twarz w obie dłonie, smutna. Policzki Misi pachniały jak okre renety. Luk piszczał, cmokał, gniótł. I błogosławieńwa i w powietrzu kreślone znaki krzyża. „No, Tomasz!” powieziała poważnie matka. Przeżegnali się. Ściskał twardą skórę jc. Przy takich rozstaniach zawsze musi być moment, kiedy oś przerwie, najlepiej niespodzianie. Machnął biczem, zaterkoły koła, słyszeli krzyki, oglądając się, za płachtą budy widzieli malejącym otworze zielonego tunelu alei powiewające chustki, odniesione ręce.

Już lejce napięte, ostrożnie zjeżdżali rozmytą drogą, zatroskany Chrystus mignął im spomiędzy bujnych liści. Z tyłu biała ściana świrna. Tomasz puścił konie w kłus, tak minęli dęby cmentarza, pod którymi zostawali na zawsze Magdalena, babka i Baltazar. Ginie niknęło za zakrętem, przed nimi nieznane.

I później, kiedy konie pięły się pod górę, po raz ostatni błyska Issa, ułożona w pętle na łąkach. Rzeka rodzinna, jej woda jest słodka wspomnieniu. Poruszają się muskuły pod sierścią koni, biorą pochyłość, na płaszczyźnie Tomasz zacina batem i odgraża się: „Ech, ty Birnik, ja tobia!"

Konie, które miały znaleźć się za granicą, daleko od miejsca swego urodzenia, nazywały się Smilga i Birnik, te imiona upamiętniały właścicieli, od których pochodziły. Smilga był znany jako szczery, pracowity, wyłaził ze skóry żeby ciągnąć i dlatego nigdy nie utył. Natomiast Birnik, niewrażliwy na uderzenia, gruby jak ogórek, udawał tylko, że ciągnie, spychając cały trud na swego towarzysza. Za to pod górę Birnik parł z zaciekłością przeszkoda obrażała jego lenistwo i starał się ją jak najprędzej pokonać.

Chustka matki w kolorowe kwiaty i siano w worku, które wygniatało się w dołek, a zaledwie początek podróży i wiadro do pojenia koni, które, choć mocno przywiązane, jednak brzęczy i orczyk coś nie w porządku. Jadą przez leśne polanki gdzie konie młócą ogonami, oganiając się od bąków, w stronę wielkich jezior, tą samą drogą którą kiedyś przybyła w trumnie Magdalena. Jest tam dąb, pod którym popasa się w południe, kładąc na trawie serwetę. Pod wieczór odsłoni się przed nimi widziany z góry nowy kraj, tam gdzie jak wzrok sięgnie, więcej wody niż ziemi, jezioro przy jeziorze, półwyspy nie do odróżnienia od przesmyków dzielących jedno od drugiego rojowiska zielonych wysp. Następnie w dół, pagórkami, między kamienie, ogromne wyprostowane jak figury zastygłych zwierząt. Na łąkach właśnie sianokosy, rzędy małych postaci ludzkich chwieją się miarowym ruchem. Nocleg przypadnie w rybackiej wiosce; cisza, łódki pachnące smołą, chrobot koni jedzących obrok.

Pozostaje ci życzyć szczęścia, Tomasz. Twoje dalsze losy pozostaną na zawsze domysłem, nikt nie odgadnie co z ciebie zrobi świat ku któremu dążysz. Diabły z nad Issy pracowały nad tobą jak mogły, reszta nie należy do nich. Teraz uważaj na Birnika. Znów zasypia, obojętny na wszystko, nie wiedząc, że dzięki tobie zostanie kiedyś wspomniany. Podnosisz bicz — i tutaj urywa się opowieść.

Czesław MIŁOSZ

K o n i e c.

Archiwum polityczne

Konferencja Czterech a Wschodnia Europa

Bezpośrednio po wydrukowaniu artykułu J. Mieroszewskiego pt. ,,Europa zneutralizowana'' otrzymaliśmy od p. Huberta Ripki, byłego ministra rządu czechosłowackiego, artykuł który zamieszczamy poniżej. Minister Ripka omawia ten sam problem ujmując go już z punktu widzenia ewentualnego negocjatora.

Uważamy, że wobec zbliżającej się Konferencji Czterech Mocarstw koncepcje stworzenia ,,pasa bezpieczeństwa'' przez zneutralizowanie Europy Środkowo-Wschodniej staje się dla naszych narodów problemem centralnym.

,,Kultura'' będzie starała się w najbliższych numerach dać wszechstronne, pozytywne naświetlenie tego zagadnienia zwracając się do przedstawicieli zachodniego i uchodźczego życia politycznego o wypowiedzenie się w tej sprawie.

Dnia 25 kwietnia 1955 roku mocarstwa zachodnie wyraziły ,,gorące życzenie najszybszego zwołania konferencji Czterech'' i rozpoczęły przygotowywać się do negocjacji z Moskwą, które nastąpią w najbliższych miesiącach. Po nagłej zmianie frontu polityki sowieckiej w sprawie austriackiej, przy akompaniamencie licznych oświadczeń, wyrażających chęć rokowań z Zachodem, po deklaracji Chou en Lai, w sprawie ,,negocjacji ze Stanami Zjednoczonymi w celu omówienia odprężenia na Dalekim Wschodzie'' — fala optymizmu ogarnęła opinię publiczną wolnego świata, który gorąco sobie życzy światowego odprężenia i porozumienia z mocarstwami komunistycznymi. Przy całej ostrożnej rezerwie, p. John Foster Dulles powiedział 28 kwietnia 1955 że ,,ostatni rozwój wypadków daje nowe powody do nadziei''. Nam, uchodźcom, usiłującym w wolnym świecie reprezentować życzenia i opinie uciemiężonych narodów zza żelaznej kur-

tyny, trudno jest podzielać te nadzieje. Pragniemy, niemniej ni wolne narody, pokojowego rozwiązania wielkich, spornych kwestii powstałych między światem wolnym a totalistycznym, gdy tak samo jak inni z przerażeniem i niepokojem myślimy o wojni atomowej. Ale patrzymy ze sceptycyzmem na szanse porozumienia się z mocarstwami komunistycznymi.

Wszystkie narody Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej szczerze szukały „pokojowej koegzystencji” z Rosją Sowiecką, ale Sowiety złamały wszystkie solenne zobowiązania, przyjęte w wielu międzynarodowych traktatach a odnoszące się d uznania ich niepodległości i kraje te podporządkowały sobie bez reszty. Każda „koegzystencja” z Moskwą kraju nie dysponującego odpowiednią siłą obronną, nieuniknienie prowadzi do ugięcia się pod przewagą Sowieckiego Imperium. Poza tym naszą rezerwę powiększa niepokój, którego nie chcemy ukrywać przed oczami naszych zachodnich przyjaciół: Widzimy, że zagadnienia dotyczące Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej nie s — przynajmniej w tej chwili — na porządku dziennym konferencji Czterech. W naszym zaś najgłębszym przekonaniu, opartym na niezliczonych doświadczeniach z przeszłości i teraźniejszośc żaden pokój a nawet chwilowe odprężenie nie jest możliwe dc póki Europa Środkowa i Bałkany pozostają pod panowaniem wielkiego sąsiadującego mocarstwa.

Aby uniknąć nieporozumień, pragnę podkreślić, że my emigranci, nie przeciwstawiamy się a priori rokowaniom Zachodu z Moskwą. Pod pewnymi warunkami rokowania te mogłyb doprowadzić do przyjaźniejszej atmosfery. Chcielibyśmy jedyni zwrócić uwagę naszym przyjaciołom, aby nie mieli zbyt wielkic złudzeń, wiemy bowiem, że jakikolwiek układ z reżymem totalitarnym, zagrożonym stale od wewnątrz, i przez sam swój charakter zmuszanym do nieustannej ekspansji — może być jedynie przejściowy.

Chciałbym w tym artykule przedstawić kilka spostrzeże i sugestii w związku ze zbliżającą się konferencją Czterech. Zastrzegam się przy tym, że nie traktuję sprawy wyzwolenia naszych narodów jako oddzielnego zagadnienia, ale dyskutuję te problem jedynie jako funkcję rokowań, które są w toku.

KONIECZNOŚĆ SOJUSZU ATLANTYCKIEGO

Przede wszystkim trzeba podkreślić, że Sowiety oświadczyły gotowość rokowań z Zachodem *po* ratyfikacji umowy paryskiej mimo poprzednich pogróżek, stwierdzających że, po zawarciu tej umowy przez Europę Zachodnią, wszelkie dyskusje będą niemożliwe. Wiem dobrze, że Moskwa daleka jest od przegrane w Niemczech. Wejście w życie traktatu paryskiego może napotkać jeszcze na bardzo ciężkie przeszkody ze strony Rządu Sowieckiego. Manewr austriacki jest niewątpliwie bardzo zręczny, powiedziałbym, że nawet niebezpieczny. Ale na pewno ni

miałby miejsca gdyby pozycja Sowietów nie uległa osłabieniu.

Ta lekcja jeszcze raz dowodzi konieczności podtrzymania, skonsolidowania i umocnienia Sojuszu Atlantyckiego. Uważamy to za podstawowy warunek uratowania wolnego świata i uwolnienia uciemiężonych narodów. Jedynie wtedy gdy Zachód jest silny i solidarny, gdy polityka *wszystkich* członków Sojuszu Atlantyckiego, nie wyłączając Niemiec, jest zgodna i nie pozwala Sowietom na wygrywanie istniejących rozbieżności — można uzyskać od Sowietów ustępstwa, umożliwiające, przynajmniej na pewien okres czasu, międzynarodowe odprężenie. Sowiety zresztą zdają sobie z tego doskonale sprawę i nie ustają w wysiłku osłabienia i rozłożenia bloku atlantyckiego. Obawiając się uzbrojenia Niemiec lękają się przede wszystkim znacznego wzmocnienia wolnego świata. Im blok zachodni będzie silniejszy tym łatwiej świat komunistyczny gotów będzie na ustępstwa, tym bardziej, że Sowiety napotykają na ogromne trudności zarówno wewnątrz Rosji jak i w swoich stosunkach z Chinami, a nawet z satelitami europejskimi. Z tego właśnie względu pragniemy aby blok zachodni wzmocniła wspólnota europejska oparta przede wszystkim na ścisłej współpracy pomiędzy Brytyjczykami, Francuzami i Niemcami i mamy nadzieję, że kiedyś współpraca ta rozszerzy się na sfederowane kraje Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej.

OBECNY STATUS QUO A MOSKWA

W oparciu o solidarność atlantycką mocarstwa zachodnie mogą realizować dwa główne i nawzajem uzupełniające się cele polityczne: zmniejszenie niebezpieczeństwa wojny i stopniowe wycofywanie się Sowietów z Europy wschodniej.

Taką politykę można by kwestionować gdyby obecny status quo miał trwać przez czas dłuższy. Ale podobna nadzieja wydaje się coraz mniej uzasadniona. W Azji „panta rei" — wszystko jest zmienne zarówno w stosunkach zagranicznych jak i w każdym z krajów azjatyckich. W przeciwieństwie do niedawnej przeszłości, wypadki w Azji mają prawie natychmiastowy oddźwięk zarówno w Ameryce jak i w Europie. W związku z tym, chciałbym zaznaczyć, nie wchodząc w szczegóły, że jeżeli rzeczywiście chce się zlikwidować spory na drodze rokowań, to metoda wydzielania problemów i omawiania ich osobno nie może dać pożądanych rezultatów. Jedynie dyplomacja twórcza, odważna i zręczna, która łącząc zagadnienia europejskie i azjatyckie szukałaby znalezienia kompromisu, mogłaby liczyć na osiągnięcie tego celu.

O ile Azja wydaje się daleka od stabilizacji obecny status quo w Europie wygląda bardziej trwale. Nie należy jednak zapominać, że obecny podział Europy gra na korzyść Imperium Sowieckiego utrzymując zarówno na Zachodzie jak i w Stanach Zjednoczonych stan nieustannego alarmu z wszystkimi wynika-

jącymi z tego fatalnymi skutkami dla rozwoju gospodarczeg i społecznego.

Naturalnie, że Zachód może nie interesować się Europ Środkową i Bałkanami i uznać hegemonię sowiecką. Postępują tak osłabia się jednak znacznie nie otrzymując wzamian od So wietów żadnej rekompensaty poza luźnymi, dobrze znanym obietnicami nie-interwencji, sformułowanymi ostatnio, po ra nie wiadomo który, przez Chou en Lai, a które będą tak sam niedotrzymane jak osławione zobowiązania Stalina w Jałcie Moskwa skorzysta z tego jedynie aby ugruntować swoje pano wanie nad obszarem środkowo-europejskim i wydatnie wzmocni swój potencjał wojskowy i ekonomiczny.

ZJEDNOCZENIE NIEMIEC

Istnieje jednak kwestia niemiecka, która nie pozwoli an mocarstwom atlantyckim, ani światu komunistycznemu na po rozumienie się w oparciu o obecny układ sił.

Niektóre wybitne środowiska świata zachodniego, obawia jąc się skutków zjednoczenia Niemiec, chciałyby możliwie naj dłużej przeciągać ich obecny podział. Z drugiej strony, w Mos kwie, mającej wiele powodów do obawiania się Niemiec silnych i niezależnych, są ludzie opętani „tęsknotą Poczdamu". A prze cież jest niemożliwe odkładanie zjednoczenia Niemiec ad calen das graecas, zresztą niezdecydowane stanowisko w tej sprawi może być niebezpieczne. Pragnienie zjednoczenia ojczyzny cora silniej ogarnia myśli Niemców i idea ta zaczyna stawać się sił niebezpiecznie dynamiczną : napotykając na sprzeciw obcych mo carstw może ona zmienić dotychczasową orientację polityczną.

Nie należy się łudzić. Pomimo głębokiej niechęci Niemców do komunizmu — zwłaszcza tych, którzy są pod okupacją so wiecką — nie odmówią oni zjednoczenia narodu z rąk Sowietów przedłożonego im w jakiejś pociągającej formie : ich dążenia na rodowe stoją zawsze na pierwszym miejscu.

I dlatego jestem przekonany, że w interesie mocarstw za chodnich, a przede wszystkim Francji, leży zjednoczenie Nie miec i że, mimo ryzyka, trzeba zrobić wszystko by do zjednocze nia doprowadzić. Jestem przekonany, że najpewniejszym i naj skuteczniejszym sposobem zapewnienia sobie szczerego udział Niemiec w Bloku Atlantyckim, a jednocześnie powstrzymania ic od nacjonalistycznych zachcianek jest coraz ściślejsza współ praca francusko-niemiecka w ramach zarówno atlantyckich ja i europejskich.

Zjednoczenie Niemiec, realizowane z inicjatywy demokrac zachodnich, będzie korzystne dla wolnościowych dążeń narodó Europy środkowej i południowo-wschodniej. Wyzwolenie Nie miec Wschodnich bowiem pobudzi nadzieje uciemiężonych nar dów, tym bardziej, że wolne wybory przeprowadzone w tej zonie podległej do tej chwili reżymowi komunistycznemu dowiodą be

wątpienia, że komuniści są tam w nieznacznej mniejszości i że utrzymują się przy władzy jedynie dzięki oparciu o czerwoną armię. Ruchy domagające się wolnych wyborów rozprzestrzenią się szybko i we wszystkich innych krajach ujarzmionych, kanalizując wszystkie niezadowolenia i opozycje przeciwko uciskającemu je reżymowi. W ten sposób presja wywierana na Sowietach przez zachodnie dyplomacje byłaby podwojona i wzmocniona przez presję samych narodów satelickich.

Można by powiedzieć, że Sowiety przewidując wszystkie niebezpieczeństwa na jakie byłyby narażone w razie zjednoczenia Niemiec, nie zgodzą się na nie nigdy — chyba, że będzie dokonane przez nich samych. Moskwa zrobi niewątpliwie wszystko, aby wygrać stawkę niemiecką. Z drugiej strony jeśli mocarstwa zachodnie będą domagać się zjednoczenia Niemiec stawiając jedynie warunek wolnych wyborów i podkreślając jednocześnie, że zjednoczone Niemcy będą miały całkowitą wolność w wyborze swojej orientacji politycznej, Sowiety nie będą mogły *à la longue* przeciwstawiać się ruchowi zjednoczeniowemu. Ryzykowałyby bowiem wzburzenie wszystkich Niemców, mogące wywołać reakcje tak gwałtowne, że dyplomaci nie byliby w stanie ich kontrolować, ani powstrzymać.

NEUTRALIZACJA NIEMIEC I EUROPY ŚRODKOWEJ

W chwili obecnej Sowiety usiłują przeszkodzić wcieleniu Niemiec do bloku zachodniego łudząc je zjednoczeniem narodowym pod warunkiem neutralizacji. Dlaczego dyplomacja zachodnia nie przeciwstawia temu manewrowi sowieckiemu, bez wątpienia, popularnemu tak wśród wielu Niemców jak i w pewnych kołach na Zachodzie, kontrprojektu, który uwarunkowałby neutralizację Niemiec od neutralizacji wszystkich krajów Europy Środkowej i Bałkanów, odzyskujących swoją niepodległość w wolnych wyborach. Taka propozycja byłaby tym bardziej usprawiedliwiona, że neutralizacja Niemiec i towarzysząca jej ewakuacja wojsk alianckich postawi świat zachodni w sytuacji strategicznej i politycznej o wiele gorszej od obecnej, podczas gdy Moskwa wzmocni swą pozycję strategiczną i ekonomiczną w sposób wybitnie niebezpieczny. P. Georges Bidault, w artykule zamieszczonym w ,,Carrefour'' z dnia 27 kwietnia 1955 pod znaczącym tytułem ,,Neutraliści nie są neutralni'' powiedział : ,,Jeżeli operacja (neutralizacja Niemiec) uda się będzie to oznaczało dla Francuzów, że są bezpośrednio zagrożeni... Pierwszą linią obrony będzie wtedy Ren bez żadnego przedpola. Mówiąc krótko oznacza to oderwanie Niemiec od wspólnoty zachodniej i wystawienie ich na licytację''. Dawny francuski minister spraw zagranicznych przewiduje w tym wypadku nowe zbliżenie niemiecko-rosyjskie, które ,,na przestrzeni dwustu lat powtarza się w każdym pokoleniu''.

Ze swej strony dorzucę, że skoro Niemcy zostaną podpo-

rządkowane Sowietom, powstanie niebezpieczeństwo, że taki sam los spotka resztę Europy i że wtedy wojna atomowa stanie się ostatnim rozpaczliwym środkiem uwolnienia całego kontynentu europejskiego spod panowania Moskwy.

Jeżeli rząd sowiecki pragnie jedynie bezpieczeństwa dla Rosji, jeżeli hasło pokojowej koegzystencji zastąpione ostatnio w Bandoeng przez formułę Karty Narodów Zjednoczonych „Żyć razem w spokoju", jest czymś bardziej serio niż zwykłym kłamstwem propagandowym, Moskwa nie ma żadnego usprawiedliwionego powodu odrzucenia neutralizacji Europy Środkowej i Bałkanów. Zagwarantowana i uznana przez wszystkie państwa neutralizacja tych obszarów dałaby Rosji o wiele skuteczniejszą pewność bezpieczeństwa niż zobowiązanie się do „przyjaznych rządów" (zobowiązanie mało ścisłe, które, jak sobie przypominamy, Sowiety wyinterpretowały jako „rządy marionetkowe"). Zresztą nawet w wypadku neutralizacji całego obszaru pomiędzy Renem i Dardanelami Związek Sowiecki zachowa swoją przewagę wojskową na kontynencie europejskim. To mu pozwoli nie tylko bronić skutecznie swego bezpieczeństwa, ale w dalszym ciągu odgrywać na szachownicy europejskiej rolę wielkiego mocarstwa — najpotężniejszego. Wycofanie się z Niemiec, Europy Środkowej i Bałkanów wynagrodziłaby mu znakomicie nowa współpraca gospodarcza a nawet polityczna ze Stanami Zjednoczonymi i całą Europą i prawdziwe odprężenie, które pozwoliłoby na znaczne zmniejszenie ogólnych zbrojeń. Jest możliwe, że Moskwa nie zgodzi się na tę propozycję. Ale jeżeli nadal domagać się będzie neutralizacji Niemiec, odrzucając jednocześnie neutralizację Europy Środkowej i Bałkanów, ujawni jaskrawo opinii światowej, że jej polityka nie dąży do tego, by „żyć razem w spokoju", ale że nadal jest kierowana przez imperialistyczne tendencje.

WSPÓŁZALEŻNOŚĆ PROBLEMÓW NIEMIEC I EUROPY ŚRODKOWEJ

Bez względu na to jaki obrót przyjmą dyplomatyczne negocjacje w sprawie Niemiec, trzeba uświadomić sobie fakt niezmiernie ważny, że wskutek podziału Europy, ustalonego po ostatniej wojnie światowej, powstała współzależność problemów niemieckiego i Europy Środkowo-Wschodniej.

Jeżeli Niemcy zostaną zjednoczone pod egidą Sowietów Moskwa wzmocni swoją władzę nad krajami satelickimi.

Jeżeli natomiast zjednoczenie Niemiec dokona się przy pomocy demokracji zachodnich dążenia wolnościowe narodów zza żelaznej kurtyny będą znacznie wzmocnione.

W niektórych kołach sądzi się, że zjednoczenie Niemiec można okupić formalnym uznaniem panowania sowieckiego w Europie Środkowej i Wschodniej. Mało jest jednak prawdopodobne, aby Moskwa, za tę cenę, zechciała zgodzić się na wła-

czenie Niemiec do bloku zachodniego. Należałoby raczej spodziewać się jakiegoś dramatycznego zwrotu w polityce sowieckiej, która opierając się na swoich zdobyczach w Europie Środkowej i Południowo-Wschodniej, usiłowałaby oderwać Niemcy od Zachodu, ofiarowując im wzamian rewizję granic wschodnich.

Jeżeli negocjacje pomiędzy Zachodem i Wschodem nie doprowadzą do żadnego pozytywnego rezultatu — Niemcy pozostaną podzielone i utrzyma się obecny status quo, z tą różnicą, że Niemcy Wschodnie zostaną formalnie włączone do wojskowego bloku sowieckiego.

W tym wypadku napięcie międzynarodowe wzrośnie na nowo w sposób niebezpieczny, zaś wszystkie sprawy sporne — a szczególnie problem zjednoczenia Niemiec — bardziej niż dotychczas będą groziły wybuchem.

Jeżeli załatwienie sprawy niemieckiej w taki czy inny sposób ma wpływ na los Europy Środkowej i Wschodniej, to nie ulega również wątpliwości, że los krajów położonych na tym obszarze jest szczególnie ważny dla Niemiec. Tak długo jak przewaga sowiecka utrzymuje się w tej części Europy, Moskwa, operując to groźbami to ponętnymi obietnicami może prowadzić skutecznie swoją grę w Niemczech. Gra ta byłaby o wiele trudniejsza gdyby kraje satelickie wyrwały się spod przemożnej kontroli Związku Sowieckiego. Byłoby to zresztą, zarówno w interesie Niemiec jak i całej Europy gdyż, raz uwolnione, kraje te przyłączyłyby się do wspólnoty europejskiej stwarzając pożądaną równowagę sił, której brak jest obecnie.

WOLNE WYBORY

Z tych względów uważamy, że należy domagać się wolnych wyborów we wszystkich krajach uciemiężonych — jest to bowiem jedyny pokojowy sposób zadawalającego rozwiązania problemu Europy Środkowej i Wschodniej. Jeżeli rząd sowiecki zgodzi się na to, da rzeczywisty dowód, że nie jest kłamstwem tak często powtarzane życzenie pokojowej koegzystencji, a nawet więcej, ścisłej współpracy z innymi narodami na świecie. Zgoda na takie rozwiązanie będzie zresztą niczym innym jak wywiązaniem się z przyjętych zobowiązań, zawartych w proklamowanych w Jałcie deklaracjach, dotyczących uwolnionej Europy i Polski, w których zarówno rząd sowiecki jak rządy amerykański i brytyjski zobowiązały się solennie ustanowić w drodze wolnych wyborów rządy odpowiadające woli narodów.

Obecna sytuacja nie wiele różni się od sytuacji istniejącej pod koniec drugiej wojny światowej. Wszystkie kraje Europy Środkowej okupowane są przez wielkie, obce mocarstwo, wszystkie są rządzone przez rządy narzucone przez to mocarstwo i reprezentujące jedynie znikomy odłam danych społeczeństw; wszystkie te kraje skrycie buntują się przeciwko okupantowi. Tę niebezpieczną sytuację, zagrażającą pokojowi światowemu moż-

na łatwo zmienić stosując procedurę ustaloną na konferencji w Jałcie, to jest :

1) ustanowienie rządów tymczasowych, złożonych z przedstawicieli wszystkich demokratycznych odłamów społeczeństwa;
2) rozwiązanie wszystkich instytucji policyjnych a w szczególności tajnej policji politycznej;
3) ustanowienie międzynarodowej kontroli nad Ministerstwami Spraw Wewnętrznych w danych krajach;
4) wycofanie przez rząd sowiecki wojska i wszystkich swoich agentur z wymienionych krajów;
5) ustanowienie skutecznej międzynarodowej kontroli Narodów Zjednoczonych, gwarantującej naprawdę wolne wybory.

Jeżeli te wstępne warunki będą wypełnione to nie ma wątpliwości że na zasadzie powszechnych i tajnych wyborów będzie można stworzyć rządy, naprawdę odpowiadające woli narodu. Tego rodzaju zmiana, przeprowadzona w Europie Środkowej i Wschodniej, byłaby olbrzymim wkładem i prawdziwą pokojową współpracą wszystkich narodów.

Rządy mocarstw zachodnich nic nie ryzykują żądając od Rosji zgody na wolne wybory w krajach satelickich. Jeżeli spotkają się z kategoryczną odmową to, rzecz jasna, nie będą mogły tego żądania narzucić, ale przynajmniej zademonstrują narodom, poddanym sowieckiemu panowaniu, że chcą ich uwolnienia. Wzmocni to znacznie wewnętrzny opór (nawet i pewnego odłamu komunistów od dawna zniechęconych do Sowietów) oraz wpłynie na osłabienie siły i wpływów sowieckich na szerokim obszarze od Bałtyku po Morze Śródziemne. Może to mieć znaczenie w późniejszych rozgrywkach z Moskwą.

Nie apeluję do sumienia wolnego świata, który winien przecież odczuwać niepokój w obliczu niegodnego niewolnictwa prawie stu milionów Europejczyków, nie mówiąc o setkach milionów w Rosji i Chinach — chciałbym jedynie podkreślić że przyłączenie Europy Środkowej i Wschodniej do wspólnoty europejskiej jest konieczne dla zachowania równowagi sił na kontynencie. Naturalnie, że nie mamy żadnego prawa żądać od narodów zachodnich, by poświęcały się dla nas, ale naszym obowiązkiem jest przypomnienie, że zarówno pokój jak i ich własna wolność nie są pewne tak długo, dopóki kraje Europy Środkowo-Wschodniej zmuszane są do udziału w powiększaniu wojennego potencjału Związku Sowieckiego. I dlatego jesteśmy przekonani, że wolny świat powinien uważać uwolnienie krajów satelickich za jeden z niezmiennych celów swojej polityki.

Nie należy pomijać żadnej okazji, która mogłaby do tego ostatecznego celu przybliżyć. Wycofanie się, nawet częściowe, Sowietów z okręgu Europy Środkowej i Wschodniej ma, z punktu widzenia psychologicznego i politycznego, o wiele większe znaczenie niż sobie wyobrażamy : stawia Sowiety na linii odwrotu.

Wyłączając wojnę jako środek uwolnienia, wierzymy, że

wysiłki dążących do wolności mogą być ukoronowane ostatecznym powodzeniem przez dobrze przemyślane połączenie trzech czynników, którymi rozporządza wolny świat:

siły wojskowej,
twórczej dyplomacji,
oraz siły duchowej i moralnej.

Hubert RIPKA

(Tłumaczyła Zofia HERTZ)

Widmo Jałty

Widmo Jałty straszy nocami dyplomatów. Nieszczęsna konferencja, której nikt nie chce bronić, nawet dostojny starzec, jedyny pozostały przy życiu spomiędzy wszystkich szefów biorących w niej udział.

Departament Stanu, którego drogi są tak niezbadane jak drogi Opatrzności, opublikował ostatnio teksty tej konferencji. Pytanie — jakie były motywy tej decyzji — pozostaje bez zadawalającej odpowiedzi. Ale bez względu na intencję Departamentu Stanu, publicyści winni mu są wdzięczność, gdyż studia nad tymi tekstami pozwolą im wyciągnąć zarazem gorzką satysfakcję jak i cenną naukę.

Sława naszych szefów politycznych nie zyskuje na tym wiele. Trudno się temu dziwić. To jednak co jest najmniej oczekiwane, choć nie jest niezrozumiałe, to fakt, że lektura protokółów z Jałty odbiera nam resztki złudzeń co do wartości konferencyj jako instrumentu politycznego. Konkluzja zniechęcająca, gdyż konferencje stały się zwyczajem i nie zanosi się na zmianę. A więc, gdy nie można ich wykorzenić, być może uda się je zreformować i z tego punktu widzenia studia nad Jałtą mogą być pożyteczne.

Sądzę, że zanim przejdziemy do analizy pewnych tematów omawianych przez ,,Wielką Trójkę'', byłoby ciekawe poznać w jakich warunkach Prezydent St. Zjednoczonych i premier brytyjski zostali zaproszeni a raczej zaciągnięci do Jałty. Ani Roosevelt ani Churchill nie chcieli jechać na Krym, uważając, że szef rządu sowieckiego mógłby się także raz pofatygować i spotkać się z nimi w pół drogi. ,,Poza wszystkim'' — telegrafował Churchill do Roosevelta — ,,my także jesteśmy kimś'' (respectable people); ale nic się zrobić nie dało. Stalin pofatygować się nie chciał. Ani Szkocja, ani Cypr, ani Ateny, ani Jerozolima nie znalazły łaski w jego oczach. Chciał przyjąć aliantów na swojej ziemi i to w roli raczej petentów niż równych sobie kontrahentów, myśląc — nie bez racji — że ta pielgrzymka zza morza i zza oceanu kierowników dwóch rządów anglosaskich może jedynie podnieść jego

prestiż w oczach narodu rosyjskiego. Stalin zasłonił się więc zarządzeniami swoich lekarzy, którzy nie pozwolili mu na odbycie żadnej podróży ani samolotem, ani koleją, ani statkiem. I biedny Roosevelt, prawie umierający — w rzeczywistości umarł w parę miesięcy potem — mimo swego kalectwa musiał się wlec poprzez połowę kuli ziemskiej, aby spotkać Stalina, wielkiego i grubego, tryskającego zdrowiem i zadowoleniem.

Po cóż to upokorzenie? Czyżby Anglosasi bardziej potrzebowali Rosjan niż Rosjanie ich? Bynajmniej, ale szefowie wielkich mocarstw zachodnich, a specjalnie Roosevelt, z jednej strony musieli zadowolić opinię publiczną, a z drugiej zawsze umierali ze strachu, by Stalin nie zawarł z Hitlerem pokoju separatystycznego.

Poza tym był jeszcze jeden wzgląd. Najpotężniejszy człowiek na Zachodzie, Franklin D. Roosevelt, sądził, że Stalin był takim samym politykiem jak każdy inny, kolegą, towarzyszem, z którym można było rozprawiać o polityce i którego można było nawet poprosić o przysługę, bez jakichkolwiek dalszych konsekwencji. A więc, chcąc za wszelką cenę ściągnąć Stalina na projektowaną konferencję, Roosevelt nie zawahał się nawet na chwilę w użyciu argumentu, który w jego umyśle był argumentem decydującym i wprost nie do odparcia, a mianowicie że to jemu Rooseveltowi, oddałoby usługę w jego polityce wewnętrznej: ,,such a meeting would help me domestically'' (depesza z dnia 27 lipca 1944). Pożałowania godna prostota polityków przebranych za dyplomatów. Roosevelt najniewinniej wierzył, że Stalin będzie zachwycony, jeżeli będzie mógł mu się przysłużyć! I dlaczegożby nie? Churchill na pewno by to zrobił. Tylko że Stalin nie był Churchillem i widząc, że Prezydent Stanów Zjednoczonych prosi go jak o łaskę o wzięcie udziału w Konferencji wyciągnął z tego natychmiast wszystkie dla siebie korzyści.

Trzeba zresztą zaznaczyć, że Stalin nigdy nie domagał się konferencji. Było mu to zupełnie niepotrzebne. Lend Lease wystarczał mu całkowicie, alianci zachodni dostarczali mu broni bez ograniczeń. Czegóż mógł więcej żądać? Konferencję z tymi ,,gadatliwymi demokratami'' uważał za stratę czasu i prawdopodobnie w końcu nudziło go to. Wobec tego nigdy nie spieszył się ze zgodą na pokorne prośby swoich aliantów. Konferencja, której zwołania żądał Roosevelt w depeszy z 17 lipca 1944 roku zwołana została więc dopiero na dzień 4 lutego 1955 roku.

Jeżeli podkreślam te fakty, to nie dlatego, abym przywiązywał zbytnią wagę do miejsca spotkania, ale żeby zaznaczyć, że od pierwszej chwili Roosevelt i Churchill, z własnej winy, znaleźli się w sytuacji o wiele gorszej niż Stalin, co częściowo tłumaczy zwycięstwo odniesione przez Rosjan.

Churchill zresztą jechał do Jałty z o wiele mniejszymi złudzeniami niż Roosevelt. ,,Na jak długo oblicza Pan nasz pobyt w Argonaut (Jałta)?'' zapytał szef rządu brytyjskiego Prezydenta Stanów Zjednoczonych (depesza z dnia 8 stycznia 1945). ,,Ta konferencja mogłaby być prorocza, zbierając się w chwili

gdy Wielcy Alianci są tak podzieleni i gdy cień wojny wydłuża się przed nami. Osobiście myślę, że rozstrzygnięcie tej wojny może być bardziej zniechęcające niż poprzedniej''.

Ponieważ zaś Churchill był niespokojny i dręczony złymi przeczuciami, z naciskiem proponował Rooseveltowi, spotkanie wojskowych anglo-amerykańskich na Malcie, poprzedzające o kilka dni otwarcie Konferencji Jałtańskiej. Ale Roosevelt nie podzielał obaw premiera brytyjskiego. Pojechali więc na Krym bez prawdziwego przygotowania między-alianckiego.

Studia nad dokumentami jałtańskimi budzą wrażenie, że Rooseveltowi nie wystarczał fakt, że jest aliantem Wielkiej Brytanii, chciał więcej, a mianowicie chciał być pośrodku, między Churchillem i Stalinem, chciał być rozjemcą czy arbitrem raczej niż aliantem. Uważając zawsze, że jest daleko od centrum zawieruchy wobec Stalina nie solidaryzował się całkowicie z Churchillem, a często zajmował stanowisko pomiędzy Anglikiem i Rosjaninem. Nie zawahał się np. pewnego dnia powiedzieć Stalinowi, że Hong Kong powinien powrócić do Chin, dodając, zresztą nie bez racji, że Churchillowi ta myśl na pewno by się nie podobała. Ten stan umysłu uwidocznił się w czasie dyskusji nad sprawą Francji. Tu punkty widzenia były całkowicie odmienne. Od 18 listopada 1944 Roosevelt pisał do Churchilla : ,,Nie wydaje mi się potrzebne, aby Tymczasowy Rząd Francuski miał brać udział w naszej przyszfej Konferencji... My trzej (tj. obaj Anglosasi i Stalin) możemy przedyskutować sprawy, przez Pana podniesione, dotyczące oddania Francji ziem niemieckich po upadku hitleryzmu jak również niezbędnej pomocy dla stworzenia silnej Francji''.

A więc Prezydent proponuje omawianie w nieobecności rządu francuskiego, ale za to z udziałem Stalina, wszystkich problemów, dotyczących odbudowy silnej Francji. Trudno uwierzyć w takie zaćmienie umysłu i nie sposób zrozumieć powodu tej upartej wrogości Roosevelta do Francji.

We wszystkich sprawach dotyczących zachodniej granicy Niemiec, a więc położenia Francji, Churchill i Stalin bronili dwóch skrajnie różnych punktów widzenia, zaś Roosevelt rzadko się wtrącając, rezerwował sobie rolę rozjemcy, usiłując narzucić tezy kompromisu.

Doskonale można zrozumieć gorliwość Churchilla roztaczaną w obronie Francji : broniąc interesów francuskich bronił stałych interesów Wielkiej Brytanii i nie ukrywał tego.

Trudno jest natomiast zrozumieć zaciekłość Stalina z jaką zwalczał wszystko co mogłoby podnieść rolę Francji. Osłabienie Francji na stałe nie było w interesie Rosji. Nie było to także najlepszym sposobem przekonania Francji, że sojusz z Rosją był warunkiem jej dźwignięcia się dyplomatycznego. Była to więc, z punktu widzenia rosyjskiego, polityka całkowicie fałszywa i tak zachwalana przenikliwość ,,Ojca Narodów'' raz jeszcze nie znalazła potwierdzenia.

Żaden obiektywny powód nie tłumaczy tej antyfrancuskiej po-

stawy Stalina. Zrozumieć ją można tylko wtedy gdy się zda sobie sprawę, że Stalin w rzeczywistości był arcy-reakcjonistą, zarówno w polityce wewnętrznej jak i zewnętrznej, a nie championem skrajnej lewicy — jak w to wierzyli oszukani proletariusze i naiwni intelektualiści Zachodu.

Można by napisać niezmiernie ciekawe studium o reakcyjnej postawie partii komunistycznej — co nie jest dziś moim zadaniem — ale w sprawach dyplomacji zacofanie Stalina biło po prostu w oczy. Prawo narodów do samostanowienia, prawo państw, nawet małych, do brania udziału w decyzjach ich dotyczących, te idee przewodnie, zrodzone pod koniec pierwszej wojny światowej i usymbolizowane przez nazwisko Wilsona — po prostu, nie istniały dla Stalina. Wielkie potęgi powinny decydować same i im mniej będą one liczne, tym lepiej. Na razie Stalin był łaskaw przyjąć do swego ,,zamkniętego klubu'' Wielką Brytanię i Amerykę, ale już zarysowywał się dzień, w którym nawet Wielka Brytania nie będzie więcej godna figurować pomiędzy ,,wielkimi'' tego świata.

Zresztą, zdając sobie sprawę ze słabości swego stanowiska — Stalin bywał często niepoczytalny, ale nigdy nie był głupi — usiłuje je poprzeć argumentami moralnymi : Francja nie walczyła, Francja otworzyła bramy nieprzyjacielowi. Nie było nikogo w Jałcie, kto by zdobył się na odwagę powiedzenia, że Francja nie otwarła bram nieprzyjacielowi; że zachodnie pozycje obronne Rosji załamały się od tego samego uderzenia; że jej żołnierze w pierwszych miesiącach ofensywy poddawali się setkami tysięcy; że Niemcy stali pod bramami Moskwy; że front rosyjski cofnął się aż do Wołgi i na Kaukaz; że bez niezmierzonych przestrzeni i Generała Zimy armie rosyjskie na pewno nie mogłyby się zatrzymać aby się zreorganizować i uzupełnić swoje stany i uzbrojenie, zresztą w pokaźnej części dostarczone przez tych pogardzanych aliantów zachodnich.

Ten, kto chciałby to powiedzieć — nie w obronie Francji, ale Prawdy, mógłby dorzucić, że kolaboracja we Francji była drobnostką w porównaniu z setkami tysięcy Rosjan, w większości zniechęconych do reżymu stalinowskiego, które współdziałały z najeźdźcą, naiwnie oczekując od niego uwolnienia spod jarzma stalinowskiego. Całe dywizje złożone z Rosjan biły się do końca wojny u boku Niemców. Generał Własow, twórca legionów rosyjskich w armii niemieckiej, nie był pierwszym lepszym w armii rosyjskiej. Gdyby nie opatrznościowe zaślepienie Hitlera, który pewny zwycięstwa, wolał raczej Rosjan mordować niż werbować do wojska, niemiecka machina wojenna ciągnęłaby z rozpaczy rosyjskiej pomoc o wiele bardziej doniosłą.

Wszystko to mogło być powiedziane, ale nie było. Nikt także nie przypomniał pierwszego okresu wojny, kiedy to, po zmiażdżeniu Francji, Anglia biła się samotnie, a Stalin żywił i zaopatrywał walczące Niemcy w artykuły pierwszej potrzeby i naftę.

Nikt nie przypomniał tego Stalinowi gdyż Jałta roztaczała swój przepych dyplomatyczny w niezmierzonej hipokryzji. Za-

chodni alianci udawali że wierzą — być może, że Roosevelt wierzył naprawdę — że Rosja, Ameryka i Wielka Brytania są sprzymierzeńcami, złączonymi wspólnymi celami, powołanymi do wspólnego kierowania sprawami świata dla ogólnego dobra tak obecnych, jak i nieobecnych. Tymczasem nic z tego nie było prawdą, i nawet Roosevelt — tak rozmiłowany w swojej wyimaginowanej roli arbitra i tak całkowicie nieznający rzeczywistości rosyjskiej — nie mógł nie zdawać sobie sprawy, że podział świata był już faktem dokonanym i że oni, zachodnie demokracje, już go przyjęli nie chcąc się jeszcze do tego przyznać przed sobą.

Dalszy bieg wypadków wykazał, że podział świata na strefy wpływów i władzy nie był łatwy do sformułowania z punktu widzenia dyplomatycznego. Ani Roosevelt, ani Churchill nie mogli bowiem wyznać opinii publicznej swoich krajów, że oddali Stalinowi połowę Europy. I stąd ta cała gra cieni na jałtańskiej scenie, ta walka z wiatrakami gdzie udawano, że się czegoś broni, wiedząc, że tak nie jest naprawdę i że to nie jest na serio. Dyskusja nad sprawą polską może dowieść jak nie do odrobienia była polityka kapitulacji przyjęta faktycznie przez zachodnich aliantów, jeszcze nawet przed konferencją w Jałcie.

SPRAWA POLSKA

Dyskusja nad sprawą polską rozpoczęła się w dniu 6 lutego, na trzecim zebraniu plenarnym Konferencji. Przed streszczeniem oświadczeń trzech szefów rządów zacytujmy ważny ustęp z memorandum, przedstawionego prezydentowi Rooseveltowi przez Sekretarza Stanu Stettiniusa, opracowanego na Malcie, które ustanawia w kilku swoich tezach rodzaj wspólnego programu dla rządów angielskiego i amerykańskiego. Po opowiedzeniu się za linią Curzona jako granicą między Polską i Rosją Sekretarz Stanu powiedział:

Musimy być przygotowani, aby — gdy tylko okoliczności na to pozwolą — udzielić pomocy przy tworzeniu się nowego reprezentatywnego rządu tymczasowego, zobowiązanego do przeprowadzenia wolnych wyborów. Musimy położyć nacisk na włączenie do rządu tymczasowego Mikołajczyka (Partia Ludowa jest w Polsce najpotężniejsza) i innych umiarkowanych Polaków z zagranicy. Nie powinniśmy się zgodzić na uznanie rządu lubelskiego w jego obecnej formie".

Z tego krótkiego paragrafu wyłaniają się dwie myśli: pierwsza odnosi się do problemu granic, druga do wewnętrznego ustroju Polski zmniejszonej o swoje ziemie wschodnie a powiększonej o ziemie zachodnie, odebrane Niemcom.

Przyszły historyk, jeżeli będzie zarazem moralistą, zapyta się bez wątpienia czy było korzystne z punktu widzenia polityki, a przede wszystkim równowagi sił, odebranie Polsce prawie połowy jej terytorium — nawet jeżeli się weźmie pod uwagę po-

większenie na Zachodzie — aby ją w ten sposób wynagrodzić za to, że pierwsza stawiła czoło agresji hitlerowskiej. Można by sobie także postawić pytanie czy ta „podziałowa sprawiedliwość" była po to, aby Polacy żałowali, że podjęli wyzwanie Hitlera zamiast stanąć u boku Niemców i wraz z nimi najechać Rosję? Czy mogłoby z tego faktu wyniknąć dla nich coś gorszego? Taką politykę prowadziła Rumunia i nie wyszła na niej gorzej niż Polska; Finlandia poszła również po tej samej drodze, nie bez entuzjazmu, podskubano ją tam trochę, ale jej obecne położenie jest o wiele lepsze niż Polski: jest dość swobodna jeśli idzie o politykę wewnętrzną a nawet i w stosunkach z zagranicą, nie jest całkowicie zależna od rozkazów Moskwy, choć naturalnie, z punktu widzenia dyplomatycznego jest skazana na wielką ostrożność. Mówiąc krótko, jeżeli Żelazna Kurtyna rzuca cień na Finlandię, to w każdym razie nie oddziela jej całkowicie od świata zewnętrznego. Sytuacja Polski jest inna: w „nagrodę" za swoją odwagę, tak hałaśliwie oklaskiwaną przez wszystkich Aliantów podczas całej wojny, została wepchnięta przez Konferencję Jałtańską w świat sowiecki.

Ale historycy rzadko są moralistami. A wobec tego mało jest prawdopodobne, aby przyszłe pokolenia miały za złe ludziom z Jałty, że pozbawili Polskę jej wschodnich prowincji. Wielkie mocarstwa zachodnie zawsze pochwalały linię Curzona. Nie Aliantom z lat 1914-1918 zawdzięczamy, że linia Curzona nie stała się, po zawieszeniu broni, granicą polsko-rosyjską. Jeżeli tak się nie stało to tylko dlatego, że zwycięstwa Piłsudskiego do pewnego stopnia pokrzyżowały obliczenia. Uznając, już na początku Konferencji Jałtańskiej, zajęcie wschodnich ziem polskich przez Rosję sowiecką — Alianci działali w zgodzie ze swoimi dawnymi poglądami na tę sprawę. Kiedy Churchill apelując do *wielkoduszności* Stalina, zaproponował mu zrobienie *gestu* i ustąpienie Polsce starego polskiego miasta, Lwowa, szef rządu sowieckiego przypomniał mu bardzo niedyskretnie, że to nie Rosjanie, ale Curzon z Clemenceau ustalili tę linię: „Czy możemy być mniej rosyjscy niż Curzon?" zapytał Stalin. „Nie możemy przecież wrócić do Moskwy i spojrzeć w twarz ludowi, który powiedziałby, że Stalin i Mołotow byli mniejszymi obrońcami interesów rosyjskich niż Curzon i Clemenceau".

Churchill, doświadczony kuchmistrz polityczny podjął się przygotowania sprawy polskiej w sosie rosyjskim.

Aprobując linię Curzona w oświadczeniu wygłoszonym na trzeciej sesji plenarnej, dnia 6 lutego, i dodając, w nadmiarze gorliwości, że zajęcie przez Rosję wschodnich ziem Polski jest nie „decyzją siły, lecz prawa" — przypomniał, że Wielka Brytania weszła do wojny" aby bronić Polski przed agresją niemiecką". „Wielka Brytania" — mówił — „nie miała materialnych interesów w Polsce, była to kwestia honoru, a więc, w związku z tym, jego rząd nigdy nie zadowoli się rozwiązaniem, które nie uczyniłoby z Polski państwa wolnego i niezależnego..." Rząd brytyjski uznawał, to jest prawda, „rząd polski w Londy-

nie, ale *nie miał z nim nigdy zażyłego kontaktu*". Churchill oświadczył, że zna panów Mikołajczyka, Grabskiego i Romera — dzielnych i uczciwych — jak mówił, i zapytał, czy nie byłoby możliwości utworzenia rządu skłonnego tych ludzi zużytkować. W tym wypadku, wszystkie wielkie mocarstwa mogłyby uznać go za rząd prowizoryczny do chwili, kiedy w wolnych wyborach Polska mogłaby wybrać swój własny rząd. Zakończył mówiąc, że sugestia Prezydenta wydaje mu się interesująca".

Ta sugestia dotyczyła utworzenia Komitetu Prezydenckiego, złożonego z przedstawicieli różnych partii i wykonywującego wspólnie funkcje Szefa Rządu. Utworzenie takiego Komitetu, proponowane przez Roosevelta, pozbawiłoby funkcjonariusza sowieckiego, Bieruta, stanowiska głowy Państwa Polskiego.

Zanim streścimy odpowiedź Stalina będzie może pożyteczne dorzucenie kilku słów wyjaśniających to zadziwiające przemówienie znakomitego Brytyjczyka :

Niepodległość, jeżeli nie całość Polski, — jest dla Anglii kwestią honoru. Za wszelką cenę należy zapewnić prawo do życia Polsce wolnej. Ale jak ? Jest — to prawda — w niewielkiej odległości od Downing Street, rząd polski na wygnaniu, uznany przez Wielką Brytanię, ale p. Churchill zna go tylko przelotnie i nie ma z nim stosunków osobistych. P. Churchill wie na pewno lepiej — w każdym razie mamy nadzieję, że tak jest — o istnieniu tych tysięcy Polaków, lotników, marynarzy i żołnierzy, którzy oddali życie w obronie Imperium. P. Churchill jednak zna dobrze jedynie trzech Polaków „przyzwoitych i uczciwych" : pp. Mikołajczyka, Grabskiego i Romera. Tych trzech drugorzędnych i małoznacznych polityków, wybrał spomiędzy tylu innych, aby zapewnić — wspólnie z Bierutem i innymi stalinowcami — wolność i niepodległość Polski.

Bylibyśmy niesprawiedliwi w stosunku do światłego brytyjskiego męża stanu wierząc, że brał na serio te brednie. Prawdą, potwierdzoną i udowodnioną tekstami Konferencji było to, że zachodni Alianci nawet nie usiłowali na serio bronić wolności i niepodległości Polski. Przeciwnie skapitulowali jeszcze przed pierwszym spotkaniem ze Stalinem, ale tej kapitulacji nie mogli brutalnie wyznać, ani opinii amerykańskiej, tradycyjnie polonofilskiej (i gdzie sześć milionów polskich emigrantów miało pewne znaczenie wyborcze), ani też opinii angielskiej, która nie zapomniała odwagi z jaką Polacy podjęli wyzwanie Hitlera, i krwi polskiej przelanej w obronie Londynu, ani wierności tych żołnierzy-wygnańców, którzy nie cofali się nigdy przed żadną ofiarą. Zachodni mężowie stanu byli więc zmuszeni do stoczenia pozorowanej walki, do uświęcenia kompromisu, który był tylko kapitulacją i do żądania, by można było zaprezentować opinii publicznej kilku nieszczęśliwych i zniechęconych Polaków jako dowodu, że układ jałtański zapewnia kontynuację niepodległej Polski.

Gdyby Stalin był człowiekiem uprzejmym i politykiem pełnym zrozumienia dla „dramatów sumienia" swoich zachodnich

kolegów, przyłączyłby się do stanowiska Brytyjczyków i Amerykanów, ale Stalin nie był człowiekiem uprzejmym. Jego przemówienie, będące odpowiedzią Churchillowi jest swego rodzaju arcydziełem hipokryzji i okrucieństwa.

,,Marszałek Stalin streścił swój punkt widzenia na sprawę polską następująco : Jeżeli, jak powiedział Churchill, sprawa polska jest dla Wielkiej Brytanii kwestią honoru, dla Rosji jest jednocześnie kwestią honoru i bezpieczeństwa. Honoru, ponieważ Rosja ma do Polski wiele pretensji; bezpieczeństwa strategicznego nie tylko dlatego, że Polska jest krajem sąsiadującym z Rosją, ale także dlatego, że na przestrzeni wieków była zawsze korytarzem, przez który szły ataki na Rosję. W ciągu trzydziestu lat Niemcy dwukrotnie przeszły przez ten korytarz''.

Po wytłumaczeniu dlaczego Rosja wstrzyma się od ,,wielkodusznego'' gestu, zasugerowanego przez Churchilla, Stalin poruszył sprawę utworzenia rządu.

,,P. Churchill powiedział, że byłoby dobrze stworzyć tutaj rząd polski. Osobiście obawiam się, że byłoby to zwykłym błędem, gdyż bez udziału Polaków stworzenie rządu polskiego jest niemożliwe. Mówią, że jestem dyktatorem a nie demokratą, tym niemniej posiadam dostatecznie demokratyczne uczucia, aby odmówić utworzenia rządu polskiego bez zasięgnięcia opinii polskiej. Ta kwestia może być załatwiona jedynie za zgodą Polaków''.

Po udzieleniu Churchillowi tej lekcji ,,czynnej demokracji'' Stalin wyłuszczył wszystkie trudności jakie musiałaby wywołać fuzja rządu lubelskiego z londyńskim, dając przy tym do zrozumienia, że jedynie rząd lubelski daje mu niezbędne gwarancje spokoju na tyłach walczącej czerwonej Armii. Zakończył oświadczając, że rząd lubelski oparty jest na założeniach demokratycznych, przynajmniej równych założeniom rządu de Gaulle'a we Francji.

A jednak p. Churchill nie był jeszcze przekonany. Nie mógł zgodzić się na uznanie rządu lubelskiego. Dyskusja nad tą kwestią chwilowo została przerwana a posiedzenie odłożone do następnego dnia.

Po podjęciu rozmów, nie powiedziano nic specjalnie nowego. Ze strony zachodniej ciągle szukano sposobu zamaskowania prawdziwego oblicza rządu lubelskiego przez przyłączenie do niego kilku Polaków, gotowych zafirmować działanie, oddające naród polski na łaskę komunistów. Byli to ciągle ci sami : Mikołajczyk, Grabski i Romer. Stalin zapowiedział wezwanie swoich mężów zaufania : Bieruta i Osóbki-Morawskiego, ale tych ,,reprezentatywnych Polaków'' nie można było nigdzie odnaleźć.

Na piątym posiedzeniu plenarnym wałkowano ciągle jeszcze sprawę polską. Stalin, pewny zwycięstwa, stawiał zapytania tyczące zasobów materialnych, będących w posiadaniu rządu londyńskiego, a zwłaszcza tego co się stanie, skoro nowy rząd zostanie uznany. Został szybko uspokojony : wszystkie własności rządu na wygnaniu przejdą w ręce rządu p. Bieruta.

Ale p. Churchill w dalszym ciągu nie był uspokojony. Po

wysłuchaniu Mołotowa, który odrzucił proponowany przez Roosevelta Komitet Prezydencki, premier ministrów zabrał znowu głos. Nie ukrywał przed swymi rozmówcami, że w Anglii wiedziano dobrze, iż rząd lubelski nie reprezentuje wcale narodu polskiego.

,,Jeżeli rząd brytyjski, mówił, odstąpi od rządu polskiego na wygnaniu i przejdzie na stronę rządu lubelskiego, w Wielkiej Brytanii wybuchnie wściekłość. Ponadto jest jeszcze zagadnienie Polaków znajdujących się zagranicą. Przypomniał Konferencji, że na frontach zachodnim i włoskim znajduje się armia polska, licząca około 150.000 ludzi, którzy wytrwale i z wielką odwagą walczyli za wspólną naszą sprawę. Nie przypuszczał, aby ta armia pogodziła się łatwo z opuszczeniem rządu z którym Wielka Brytania układała się od początku wojny. Takie opuszczenie będzie uznane za zdradę w stosunku do Polski... Zerwanie z legalnym rządem polskim, uznawanym przez pięć lat wojny, byłoby aktem surowo krytykowanym w Anglii... Wielka Brytania będzie oskarżona o to, że opuściła sprawę Polski. Uważał się za zobowiązanego powiedzieć, że debaty w Parlamencie będą niezmiernie ciężkie i niebezpieczne dla wspólnoty międzyaliancklej... Jeżeli rząd angielski miałby odstąpić od rządu polskiego na wygnaniu, byłoby niezbędne, aby jakiś nowy punkt wyjścia został ustalony przez obie strony, na jednakowych warunkach. Przed przeniesieniem uznania rząd angielski musiałby być przekonany, że został stworzony nowy rząd, reprezentujący naród polski, rząd który by zobowiązał się do przeprowadzenia wyborów, opartych na głosowaniu powszechnym, tajnym, z udziałem wszystkich partii demokratycznych i z prawem przedstawiania kandydatów''.

Nie można nie odczuwać głębokiej litości dla tego znakomitego i bohaterskiego starca, zmuszonego przez okoliczności, które w dużej mierze sam stworzył, do *udawania,* że broni sprawy, o której wiedział że jest słuszna, i która, jak sam powiedział, miała znaczenie dla honoru brytyjskiego. Można było jeszcze na upartego przyjąć, że Roosevelt był do tego stopnia zaślepiony, że wierzył iż Stalin będzie tolerował wolną Polskę, jedynie dlatego, że przyrzekł to swoim aliantom, ale żeby następca Disraeli'ego miał być tak naiwny, jest przypuszczeniem trudnym do przyjęcia. Biedny Churchill szukał rozwiązania, które by mu pozwoliło zachować twarz wobec narodu brytyjskiego. Stalin lubił upokarzać swoje ofiary. A więc odpowiedział kłamstwami tak nieprawdopodobnymi, że nawet najbardziej łatwowierni i zaślepieni przez Rosję Anglicy nie mogli, uczciwie, uważać ich za wystarczające dla uspokojenia własnego niepokoju i wyrzutów sumienia.

Polacy, wydelegowani przez Moskwę aby rządzić Polską, byli ,,popularni'' — twierdził Stalin — przynajmniej tak samo popularni jak generał de Gaulle. Nie widział wielkiej różnicy pomiędzy pozycją generała de Gaulle'a a pozycją prowizorycznego rządu polskiego. Żaden z nich nie został wybrany, a więc nie

może powiedzieć, który z nich jest bardziej popularny, a przecież, my wszyscy, układaliśmy się z de Gaulle'm, a nawet rzą sowiecki podpisał z nim sojusz... de Gaulle nie zrobił nic takiego co by mogło wzbudzić ogólny entuzjazm, podczas gdy rząd polski wprowadził pewne reformy rolne, niezmiernie popularne. Sytuacja nie jest więc tak tragiczna, jak odmalował ją p. Churchill.

Stalin mówił jeszcze długo tym samym dobrotliwym tonem a ponieważ jego rozmówcom zależało jedynie na tym aby si uspokoić — Stalin ich uspokoił.

W kwestii francuskiej, która dotykała zasadniczych interesów Wielkiej Brytanii Churchill wygrał. Roosevelt przyjął angielski punkt widzenia a tak samo Stalin. Francja otrzymała strefę okupacyjną oraz miejsce w Komisji Kontrolnej. W kwestii polskiej, gdzie interesy brytyjskie nie były bezpośrednio zaangażowane, Stalin odniósł kompletne zwycięstwo. Rząd lubelski twór Moskwy, stał się rządem polskim pod warunkiem dokooptowania kilku Polaków ,,demokratów'' i przede wszystkim *de bonne composition,* z których p. Mikołajczyk jest najbardziej znany. Alianci zachodni uznali ten ,,rząd'' opuszczając swoich wypróbowanych przyjaciół, którzy przez cały czas wojny bili si u ich boku. Wiemy w jakich warunkach odbyły się ,,wybory'' P. Mikołajczykowi, członkowi, a raczej zakładnikowi tego rządu obawiającemu się — nie bez racji — że bardzo szybko zamien swój ministerialny gabinet na celę więzienną, udało się uciec z Polski i przyjechać do Ameryki, gdzie przebywa do tej chwili.

I tak Polska *wolna i silna* — której powstanie zapewniał Stalin, którą Churchill ogłaszał jako kwestię honoru dla Wielkiej Brytanii, o której Roosevelt wiedział, że odpowiada życzeniom Amerykanów — wyszła z Konferencji Jałtańskiej jako rodzaj państwa satelickiego, pozostającego bez reszty pod rozkazami Moskwy.

Oburzenie nie jest stanem godnym politycznego umysłu, a zatem Konferencję Jałtańską należy sądzić z punktu widzenia politycznego a nie moralnego. Należy odpowiedzieć na jedno ważne pytanie : czy mogło być inaczej ? Czy Konferencja mogła nie zatwierdzić decyzyj powziętych przez Stalina i podlegających pewnego rodzaju przymuszonej ratyfikacji przez szefów rządów zachodnich ?

Elementów umotywowanej odpowiedzi na to doniosłe pytanie, należy szukać nie tylko w postawie zachodnich aliantów w Jałcie, ale także, a może przede wszystkim, w przeszłości w całej historii ich stosunków z Rosją od chwili wejścia Rosji do wielkiej wojny na skutek inwazji hitlerowskiej z 22 lipca 194 roku.

Datą rozpoczęcia drugiej wojny światowej właściwie jest dzień podpisania sojuszu niemiecko-rosyjskiego. 23 lipca 193 roku, Hitler uwolniony od obawy prowadzenia wojny na dwóch frontach, zdecydował się na rozpoczęcie działań wojennych. Hitler nie tylko że nie lękał się już ataku rosyjskiego, ale był pew

ny pomocy sowieckiej, dostawy zboża, nafty i innych surowców; nie wątpił, że Stalin był gotowy na oddanie mu tych usług wojskowych i morskich, jakie mu rzeczywiście oddał.

Kiedy Hitler zaatakował Rosję Alianci nie mogli uwierzyć własnemu szczęściu : istotnie był to decydujący zwrot w wojnie. Obawiając się zarówno tego, że ten nieoczekiwany sprzymierzeniec rosyjski poniesie klęskę, jak również tego, że ich opuści, Alianci postanowili obsypać go łaskami; decydowali się zrobić wszystko, aby mu pomóc w obronie, a jednocześnie zachęcić do pozostania w ich obozie. Można mieć wrażenie, że przez cały czas wojny Alianci uważali się za zobowiązanych w stosunku do Stalina, jak gdyby ich los był zależny od jego wierności. Innymi słowy myśleli, że Stalin miał wolny wybór jeśli idzie o jego politykę, oni zaś — Zachód — tego wyboru nie mieli. Tymczasem sytuacja przedstawiała się na odwrót. To Stalin nie miał wyboru; był zmuszony bić się ponieważ żołnierze hitlerowscy okupowali wielką część jego kraju a żaden pokój separatystyczny nie był do pomyślenia bez tego by Rosja nie zażądała ewakuacji tych żołnierzy i bez odmowy ze strony Hitlera. Pokój separatystyczny jest w ogóle operacją bardzo trudną. Zrozumiano to zarówno w czasie pierwszej wojny światowej, jak i w ostatniej. Niemcy nie opuszczają nigdy podbitych obszarów. Być może dlatego wygrywają bitwy a przegrywają wojny. Pod koniec kampanii, na początku 1945 roku, myśl, że Stalin mógłby podpisać oddzielny pokój z Hitlerem była po prostu absurdem. W jaki sposób Stalin mógł poniechać tej zdobyczy, tak bogatej, a wyczerpanej i bezsilnej, po którą trzeba było tylko wyciągnąć rękę. Zresztą , raz tylko w czasie całej wojny były niewyraźne sondaże mające na celu nawiązanie kontaktu rosyjsko-niemieckiego. Inicjatorką była Rosja, a Niemcy odmówiły. Ten incydent dowodzi, że gdyby pokój separatystyczny był możliwy i leżał w interesie Stalina, nie zawahałby się on ani na chwilę by zdradzić Aliantów, ale pokój taki nie był możliwy.

A pomimo to Alianci tak się tego bali, że ich dyplomacja była tą obawą kompletnie sparaliżowana. Od chwili kiedy myśl o możliwości pokoju separatystycznego zaczęła ich niepokoić, jedyną polityką Aliantów była całkowita uległość woli Stalina. Niewątpliwie tej obawie aby nie urazić Moskwy zawdzięczamy zaniechanie jedynego płodnego planu strategicznego w tej wojnie, to jest uderzenia z południa, które Churchill nazywał „soft underbelly of Europe''. Proponując to posunięcie Churchill patrzył jasno i daleko, ale Roosevelt sprzeciwił się z powodów jakoby technicznych, w rzeczywistości dlatego aby nie narazić się Stalinowi zajęciem Bałkanów, które były sowieckim *chasse gardée*, a więc ciągle ze strachu przed pokojem separatystycznym.

Gdyby wojska alianckie znalazły się we Wschodniej Europie na tyłach armii rosyjskiej, siłą rzeczy Alianci zyskaliby na znaczeniu. Zaniechawszy tego decydującego działania Alianci nie

byli jeszcze całkowicie bezsilni, ale za takich się uważali, a z chwilą gdy w to uwierzyli stali się nimi rzeczywiście.

W taki to sposób myśl podziału Europy na zonę sowiecką i zonę wolną zagnieździła się w umyśle Aliantów i nie mogli się już od niej uwolnić. A przecież nie wszystko było jeszcze stracone. Nawet przed i w czasie Jałty Alianci byli w posiadaniu atutów, ale ich nie wykorzystali. Dlaczegóż bowiem tak hojnie odmierzali Rosjanom okupowane obszary? Dlaczego pozwolili wejść Rosjanom, pierwszym, do Berlina? Dlaczego zakreślili tak wąskie granice ofensywie Eisenhowera? Jest prawdą że w chwili Jałty wydawało się, że Rosjanie są w stanie posuwać się szybko naprzód podczas gdy alianci zachodni byli jeszcze za Renem. Powinni byli jednak wiedzieć, że wojna jest pełna niespodzianek i że ten kto dziś posuwa się szybko, jutro może być całkowicie powstrzymany, co zresztą stało się w rzeczywistości.

Podpisując układ *ne varietur* odnośnie stref okupacji, alianci zachodni pozbawili się wymiennej monety. Nie pozostawało im nic innego jak giąć się bez sprzeciwu przed moskiewskimi ukazami.

Aby uspokoić swoje sumienie i zapewnić alibi, Alianci, a specjalnie Churchill, wygłaszali piękne przemówienia, w których odwoływali się do *wielkoduszności* Stalina. Stalin jednak był nieczuły na dar wymowy i mało skłonny do wielkodusznych gestów.

Skoro już Aliantom zależało na wolnych wyborach, dlaczego nie zażądali wysłania wojsk anglo-amerykańskich do Polski, aby pilnować, łącznie z Sowietami, wolności tych wyborów? Pod koniec poprzedniej wojny były wszakże na Śląsku wojska międzyalianckie nadzorujące plebiscyt.

Możliwe, że Stalin nigdy by się na to nie zgodził, ale takie żądanie musiałoby go wprowadzić w zakłopotanie i nie jest wykluczone, że pewne wyniki byłyby do osiągnięcia. Rosjanie są trudnymi negocjatorami. Bez siły, bez charakteru, bez przebiegłości niczego się u nich nie wygra. Na nieszczęście zachodni Alianci w Jałcie byli słabi i tchórzliwi.

Z ostatecznej analizy wynika, że Alianci chcieli jeszcze wierzyć w istnienie sojuszu rosyjskiego i konieczność utrzymania międzyalianckiej solidarności. Nie znając całkowicie rzeczywistości rosyjskiej nie zdawali sobie nawet sprawy, że ten sojusz nigdy nie istniał w umyśle Stalina, że skoro tylko niebezpieczeństwo oddaliło się Stalin myślał tylko o jednym : o zagarnięciu wszystkiego co się da, że nie tylko Europa Wschodnia i Środkowa, ale także Europa Zachodnia była dla niego zdobyczą do upolowania. Wszystkie ustępstwa Aliantów nie przydały się na nic. Stalin je inkasował, ale wcale nie uważał, że należy je odwzajemniać. Dla trzeźwego dyplomaty kontury przyszłej zimnej wojny zarysowywały się już w Jałcie, wszystkie bowiem elementy były już gotowe. Jak można było sobie wyobrażać, że Stalin, którego wojska posunęły się tak daleko w kierunku Renu, nagle się zatrzyma, zaniecha całej późniejszej ekspansji, Ruhry, Lotaryngii, całego Zachodu? Ale żeby w roku 1945 dostrzec możliwości ekspansji

komunistycznej należało mieć oko wyćwiczonego dyplomaty. Niestety demokracje zachodnie miały żołnierzy, miały zapasy, uczonych, mówców, ale nie miały już więcej dyplomatów. Ten upadek dyplomacji w wolnym świecie jest w ostatecznym rozrachunku jedną z przyczyn wszystkich nieszczęść Europy. I ponieważ sztuka dyplomatyczna zaginęła, Europa i Ameryka nie mogły zapobiec wybuchowi wojny, ani zawrzeć zdrowego pokoju po jej wygraniu.

Anatol MUHLSTEIN

Kronika angielska

EMIGRACJA A KRAJ

Stosunek do Kraju jest zagadnieniem kluczowym Emigracji. Równocześnie w żadnej innej dziedzinie nie panuje takie zakłamanie.

Nasi przywódcy polityczni licytują się nawzajem w wiecowym optymiźmie obliczonym na krzepienie naiwnych serc i bezmyślnych głów. Gen. Sosnkowski oświadczył niedawno, „że obecne uchodźstwo ma większe widoki na powrót do Kraju aniżeli miały emigracje ubiegłego wieku". Dr Bielecki idzie znacznie dalej i na manifestacji trzeciomajowej w Leeds zapewnił swych słuchaczy, że „wrócimy z tułaczki do Kraju prędzej niż nam się zdaje".

W sumie, nie mamy żadnego ani poglądu ani polityki na Kraj — mamy tylko propagandę.

Na tym większą uwagę zasługuje każda próba zastąpienia sloganów propagandowych logicznie wypracowanym sądem. I z tych względów artykuł p. Juliusza Poniatowskiego w londyńskim „Dzienniku Polskim" nie powinien minąć bez echa.

Autor nie podziela optymizmu naszych oficjalnych przywódców politycznych i wyraża pogląd, że „utrata wolności przez nasz naród sięgnie zapewne poza okres życia jednego pokolenia".

Jeżeli wychodzimy z założenia, że obecny podział świata może — niestety — utrzymać się przez dłuższy okres czasu — to oczywiście obrona odrębności narodowej i zachowanie własnej kultury wysuwają się na czoło zagadnień.

> „Myśl emigracyjna" — pisze p. Poniatowski — „dostrzegła szybko, jak szczególne rodzą się dla niej obowiązki, jeżeli ma sprostać swemu zadaniu, to znaczy tworzeniu tej części kultury narodowej, która w Kraju budowana być nie może. Natomiast raczej pominięto milczeniem sprawę czy emigracja może bezpośrednio dopomóc Krajowi w jego walce przeciw wynarodowieniu".

Po wnikliwej analizie i porównaniu obecnej sytuacji z okresem zaborów autor dochodzi do następujących wniosków:

> „Losy zaboru pruskiego pouczają nas najdokładniej, że Kraj może nie ulec długotrwałemu procesowi wynarodowienia tylko wtedy,

gdy każde pokolenie doznaje afirmacji własnej wartości, gdy w dniu codziennym może utwierdzać swoją moralną przewagę, swoją wyższość nad zaborcą. Tak właśnie żyje, i bodaj długo będzie musiało żyć, nowe czynne w Polsce pokolenie. Jest ono zapewne nowym wydaniem pozytywizmu poklęskowego i stanowi zwartą grupę wiernych w kościele praktykowanej, powszedniej wyższości narodowej.

Wcześniej i powszechniej, niż wśród nas na emigracji, uświadomiono tam sobie, że wspomnienia Września, kampanii zachodniej, czy A.K., podobnie jak moralne zwycięstwa w więzieniach i obozach — karmią jeszcze siłą oporu swych byłych uczestników ale już dla synów niosą tylko zobowiązania, a nie są im tarczą obronną. Opancerzyć się można tylko własnym dorobkiem. Trzeba nań zasłużyć przed sobą i trzeba zdobyć dla niego afirmację innych".

Czy możemy tym ludziom pomóc ? — zapytuje autor. Zacytujmy dosłownie :

„Obchodzą nas ci, którzy trwają w wysiłku na wszystkich polach pracy narodowej, dziś dostępnej, którzy w codziennym zmaganiu z obcym naciskiem pragną utrzymać lub tworzyć odrębne formy tej pracy, by dźwignąć przez to jej poziom na szczebel naszych ambicji. Łatwo jest sobie wyobrazić, że ci właśnie muszą przeżywać nieraz ciężkie chwile rozterki. To im zwątpienie zagląda w oczy czy cena jaką płacić wypada za zdobycze i samodzielniejsze osiągnięcia nie jest zbyt wysoka, czy dobrze mierzą wagę pozyskań.

Toteż oni na pewno najbardziej gorzko reagują na krakanie emigracyjne — gdy wszystko w Kraju jest płonne, wysiłek daremny i jedyna słuszna rada zdaje się być zgodna z ukraińskim przysłowiem o tonącym : „Nie trat' kume syły, puskajsa na dno". Potrzebowaliby uznania i afirmacji.

Zdawałoby się przeto, że z naszej strony dojrzewa obowiązek, aby umieć dojrzeć, umieć ocenić i podtrzymać walczących o pewność siebie i o swoje poczucie wyższości nad zaborcą".

Na artykuł p. Juliusza Poniatowskiego odpowiedział na łamach „Dziennika Polskiego" p. Stefan Mękarski. Oto końcowe wnioski jego artykułu :

„Co bowiem oznacza postulat „uznania", „afirmacji", „podtrzymania", „ocenienia", „dostrzeżenia" przez emigrację tych w Kraju, którzy „walczą o pewność siebie i swoje poczucie wyższości". Jeżeli nie mają to być słowa bez pokrycia, to propozycje te mogą oznaczać na przykład : wyrażajmy „uznanie" i „afirmację" robotnikom i inżynierom Nowej Huty Tychy, Żerania, budowniczym nowych budynków szkolnych, architektom odnawiającym kościoły, wielu naukowcom w Akademii Nauk itd., itd."

A dlaczegóż nie można wyrazić uznania inżynierom i robotnikom Nowej Huty czy architektom odbudowującym zniszczone kościoły ?

Bo... „huty mają być narzędziem imperialistycznej polityki Moskwy". Odbudowa kościołów również nie raduje p. Mękarskiego bo... „z ambon odrestaurowanych kościołów mogą „księża patrioci" wzywać wiernych do służby komunistom".

Zgodnie z tego typu rozumowaniem należałoby się martwić z przyrostu naturalnego w Polsce bo niewątpliwie każde 10 tysięcy nowo-urodzonych Polaków stwarza możliwość że w przyszłości znajdzie się wśród nich 100 nowych agentów Bezpieki, która jest narzędziem imperializmu itd., itd.

Niestety „oficjalny" pogląd Emigracji na Kraj reprezentuje raczej p. Mękarski a nie p. Juliusz Poniatowski.

GENERAŁOWIE BRONI

Patrząc na polityczną scenę londyńską musi się dojść do wniosku, że potrzebny jest nowy mediator. Różnice zdań pomiędzy gen. Sosnkowskim, twórcą Aktu Zjednoczenia — a gen. Andersem, Radą Trzech i T.R.J.N. są tak poważne, że powinien się zjawić nowy generał czy admirał, który podjąłby się akcji mediacyjnej pomiędzy zjednoczycielem a... zjednoczonymi.

Gen. Sosnkowski rozczarował i zawiódł przede wszystkim tych polityków cywilnych i wojskowych, którzy domagali się od niego poparcia i pełnego uznania uchwały T.R.J.N. z 31 lipca 1954. Tymczasem gen. Sosnkowski nie uważa urzędu prezydenta za opróżniony i — jak dotąd — odmawia uznania Rady Trzech za organ zwierzchni w sensie konstytucyjnym.

Komu potrzebny jest nowy prezydent ?

4 sierpnia ubiegłego roku gen. Anders przestał uznawać p. Zaleskiego za prezydenta R.P. i zwierzchnika Sił Zbrojnych. Gdyby to wszystko działo się w Warszawie — gen. Anders byłby otoczył zamek wojskiem i zmusił prezydenta do abdykacji. Mielibyśmy nowego prezydenta i kryzys zostałby zażegnany.

W warunkach emigracyjnych gen. Anders mógł tylko napisać list. W odpowiedzi prezydent Zaleski zwolnił go ze stanowiska generalnego inspektora Sił Zbrojnych. W ten sposób zamach sierpniowy zawisł w próżni. Prezydent — mimo, że gen. Anders przestał go uznawać — nie abdykował.

Zamach stanu tylko wówczas staje się źródłem nowego porządku prawnego o ile jest przypieczętowany całkowitym zwycięstwem. Gdyby w okresie tzw. zamachu majowego wojsko opowiedziało się w większości za prezydentem i legalizmem — Józef Piłsudski musiałby albo uciekać z Kraju albo iść pod sąd. — Zwyciężył — a zwycięzca jest zawsze tym, który dyktuje prawo i ład. Można było być przeciwnikiem politycznym BBWR i całego porządku, który brał swe źródło z „zamachu majowego" — niemniej zarówno z punktu widzenia teorii jak i praktyki prawa państwowego ład pomajowy był w pełni legalny.

Obecny stan rzeczy na emigracji jest zamachem stanu w permanencji zamachem stanu nierozegranym. De facto trwa stan bezprawia. Zamachowcy odrzucili bowem legalizm reprezentowany przez p. Zaleskiego nie powołując na to miejsce nowego porządku prawnego.

Co stanowi istotę „zamachu stanu" gen. Andersa z dnia 4 sierpnia ubiegłego roku ?

Istotne, w publicznym wystąpieniu gen. Andersa, jest stwierdzenie, że p. Zaleski nie może wykonywać obowiązków prezydenta R.P. i w konsekwencji tego faktu Generał przestał uznawać p. Zaleskiego za prezy-

denta R.P. i zwierzchnika Sił Zbrojnych. Innymi słowy dla gen. Anders urząd prezydenta R.P. ,,vacat'' od 4. 8. ubiegłego roku.

O zwycięstwie gen. Andersa można by mówić tylko wówczas, gdyby wyciągnięto logiczny wniosek z sytuacji i opróżniony urząd prezydenta ob sadzono ponownie. Nowy prezydent zamianowałby wtedy gen. Andersa generalnym inspektorem Sił Zbrojnych a wojsko (jesteśmy wszyscy tylko bez terminowo ,,urlopowani'') odzyskałoby najwyższego zwierzchnika. Po dniu 4 sierpnia ubiegłego roku dla gen. Andersa nie ma innej drogi powrotu do legalizmu jak tylko i wyłącznie poprzez kancelarię nowego prezydenta R.P. Od osoby p. Zaleskiego gen. Anders odciął się definitywnie i raz na zawsze.

Pozycja gen. Sosnkowskiego jest zupełnie inna. Przede wszystkim nie dokonał żadnego zamachu stanu, nie wypowiedział posłuszeństwa, nie za trzasnął za sobą drzwi wiodących na pokoje zamkowe. Wszystkie jego wy powiedzi są bardzo ostrożne w formie i bardzo niezdecydowane w treści. Odrzucając metody ,,quasi rewolucyjne'' gen. Sosnkowski wypowiedział się przeciwko koncepcji kreowania nowego prezydenta. Oczywiście gen. Anders i jego zwolennicy w T.R.J.N. mogliby przystąpić do obsadzenia urzędu prezydenta bez względu na to co gen. Sosnkowski myśli o tej sprawie. W praktyce jednak jest rzeczą nie do pomyślenia by T.R.J.N. powstała w oparciu o Akt Zjednoczenia, którego twórcą jest gen. Sosnkowski — uznawała prezydenta Nr 2 — którego natomiast nie uznawałby za prezydenta R.P. gen. Sosnkowski.

Innymi słowy swoją polityką gen. Sosnkowski uniemożliwia zastąpienie Rady Trzech — prezydentem, a Egzekutywy — rządem. Uniemożliwia również gen. Andersowi wydobycie się z sytuacji zamachu stanu w permanencji. Przysięga wojskowa mówi o Konstytucji i prezydencie a nie o Radzie Trzech i T.R.J.N. Konstytucyjnym zwierzchnikiem Sił Zbrojnych może być tylko prezydent a nie Egzekutywa. Nic więc dziwnego, że ,,Orzeł Biały'' — pismo związane z osobą gen. Andersa — najenergiczniej z całej prasy emigracyjnej — domaga się zakończenia stanu przejściowego.

Z podobnymi żądaniami wystąpił również londyński ,,Dziennik Polski'', który w artykule pt. ,,Jak uratować legalizm od ruiny'' wystąpił ze zdumiewającą tezą... powrotu do roku 1947. Zdaniem pisma londyńskiego byłby to ,,powrót do naprawdę legalnego stanu rzeczy jaki panował w roku 1947, to jest w chwili kiedy umierał Prez. Raczkiewicz''.

Koncepcja cofania historii o osiem lat mogła się urodzić jedynie w klimacie emigracyjnym i jest klinicznym przykładem emigracyjnego braku poczucia rzeczywistości.

Jeżeli raz staniemy na stanowisku, że historię można cofać o osiem lat — to dlaczego nie moglibyśmy cofnąć się o 80 lat? Dlaczego mamy cofać się do daty śmierci Prez. Raczkiewicza? Z całkowicie tą samą logiką maniaków możemy się cofnąć do daty śmierci Stanisława Augusta lub zgoła Bolesława Krzywoustego.

Dla socjologa czy psychologa, który za temat pracy magisterskiej obrałby sobie analizę zjawiska degeneracji zmysłu rzeczywistości u emigrantów politycznych — teza cofania zegarów historii o osiem lat mogłaby się wydać interesująca. Natomiast przeciętny Polak i przeciętny konsument prasy zauważy tylko, że dostojni ratownicy legalizmu po prostu w piętkę gonią...

CYMBALISTÓW BYŁO WIELU

Każdą rocznicę, każde święto narodowe witamy powodzią ulotek, biuletynów, orędzi i apeli w których nie wiadomo co bardziej podziwiać — czy beznadziejną tromtadrację czy beznadziejną polszczyznę.

Oto leży przede mną ulotka wydana przez Komitet Organizacyjny Obchodu Święta Narodowego 3-go Maja w Glasgow. Trzy końcowe zdania ilustrują poziom tej patriotycznej prozy :

> „Prosimy o hojność. Niech raz jeszcze znana i wypróbowana ofiarność społeczeństwa polskiego pomoże wspólnej sprawie tym razem naszej własnej, glasgowskiej. Tysiąc Polaków zamieszkujących Glasgow na pewno stać na urządzenie i utrzymanie szkółki, w której młodzi Polacy uczyć się będą przeszłości a w przyszłość nieść wszystko co było dobre w naszej historii tysiącletniej, wszystko co szlachetne i wielkie z Konstytucją 3-go Maja na czele."

Tysiącletnio, bombastycznie i źle po polsku.

Przedstawicielstwo Polityczno-Społeczne we Francji — wydało komunikat Nr 1 w którym pustosłowie doprowadzono do wirtuozerii dostępnej jedynie zawodowcom.

Oto jak cytowani powyżej „przedstawiciele" konkretnie i rzeczowo określili swój cel, zadania i program :

> „Najważniejszym dziś zadaniem jest wzniesienie życia naszej emigracji na poziom godny narodu polskiego i takie zorganizowanie tego życia, by interesy polityczne narodu i potrzeby licznej rzeszy Polaków we Francji znalazły pełny wyraz i zaspokojenie".

Oto jest deklaracja ideowa. Nie byłoby łatwo zbudować zdania równie długiego, pompatycznego i podobnie wyciśniętego z jakiejkolwiek treści. Nie mają gentlemeni absolutnie nic do powiedzenia ale sądzą, że ich obowiązkiem jest wystąpić z orędziem do narodu.



W „Sprawozdaniu Głównej Komisji Rewizyjnej Skarbu Narodowego za rok 1954" — w ustępie piątym pt. „Wypłaty na budżet państwowy" — czytamy co następuje :

„W roku 1954 obowiązywały następujące budżety państwowe : budżet na okres 1. VII.53 do 30.VI.54 uchwalony przez Radę Narodową 19 czerwca 1953 (dekret Prezydenta R.P. z 22.VI.53), zmiany w tym budżecie wprowadzone dekretem Prezydenta z 19.XI.53 oraz budżet wydatków za okres 1.IX. do 31.XII.54 uchwalony przez Tymczasową Radę Jedności Narodowej".

Wyraźnie powiedziano : ...obowiązywały następujące budżety państwowe. Otóż z całą stanowczością należy stwierdzić, że Skarb Egzekutywy nie jest Skarbem Państwa a budżet uchwalony przez T.R.J.N. nie jest budżetem państwowym. Używanie „państwowej nomenklatury" jest równoznaczne z przypisywaniem Tymczasowej Radzie Jedności Narodowej statutu, którego nie posiada i który jej nie przysługuje. Tam gdzie nie ma rządu i prezydenta — tam nie ma państwa. Doprawdy trudno pojąć, że dorośli ludzie mogą mieć na ten temat jakieś wątpliwości.

LONDYŃCZYK

Przegląd niemiecki

Po dziesięciu latach

Trzech dni brakowało do dziesiątej rocznicy bezwarunkowej kapitulacji, gdy w Bonn przedstawiciele mocarstw zachodnich oficjalnie i uroczyście dokonywali aktu przyznania suwerenności i przyjęcia do wspólnoty narodów zachodnich Niemieckiej Republiki Związkowej. W nowej stolicy Niemiec zapanował nastrój podniosły, wyraźne było powszechne zrozumienie powagi chwili, lecz jednak... jednak wyczuwało się, że czegoś brak, że radości i entuzjazmu nie ma.

Przewodnikami moimi w Bonn byli dwa poważni wysiedleńcy, z Prus Zachodnich i Poznańskiego. Zagadnąłem : spodziewałem się weselszego nastroju, przecież dzieją się rzeczy wielkiej wagi i niezwykle pomyślne dla waszego kraju.

Oczywiście, bardzo pomyślne i bardzo wielkie. Wątpię czy przed dziesięciu laty był Niemiec, który choćby we śnie marzył, że taka chwila tak szybko nastąpi. Ale to co się teraz tu dzieje nie dotyczy całości narodu. Zna pan doskonale stosunki i warunki w tzw. DDR (skrót: Deutsche Demokratische Republik), a to DDR. oznacza 18 milionów moich ziomków ! Ich los nie wiele, albo i wcale nie różni się od losów pańskich rodaków pod rządami Rokossowskiego i Bieruta.

— A możliwości, choć mocno utrudniane, kontaktu z Zachodnimi Niemcami ? A stosunkowa łatwość ucieczek ?

— Tak, to poważna różnica... ale chyba jedyna. Poza tym jednakowe losy, jednakowa niedola. Czy Pan nie sądzi, że ta wspólna niedola z jednego źródła wypływająca, nie stanie się owym przysłowiowym szczęściem w nieszczęściu i nie przyniesie jakichś pomyślnych zmian ?

— Ma pan na myśli zapomnienie uraz i pojednanie, jako skutek działania wspólnej przemocy i jednakowej niemocy ?

— Tak, oczywiście !

— ?

Jesteśmy wszyscy trzej zaproszeni przez barona Georg'a Manteuffel-Szoege na obiad do restauracji w gmachu parlamentu. Z obecnym posłem do Bundestagu Manteuffel-Szoege, nawiązałem znajomość przed kilku laty, po ukazaniu się jego ciekawej książki o Polsce z okresu 1772-1914 (*). Obaj moi przewodnicy to jego dawni dobrzy znajomi. Spotykamy go w hallu przed jedną z sal obrad komisyjnych. Idziemy niekończącym się labiryntem sal i korytarzy w kierunku restauracji sejmowej. Sprawia mi dużą przyjemność słuchać jego poprawnej polszczyzny, właśnie tu, wśród bardzo ożywionego ruchu w kuluarach Bundestagu. Jakżeż trudno, po dziesięciu nawet latach, wyzbyć się kompleksów wojennych !

Przy obiedzie rozmowa toczy się wartko, tematy mijają, wracają, skaczą... suwerenne Niemcy Zachodnie, Austria, neutralizm, Rapallo, dwanaście dywizyj, układ w sprawie Saary... Tak, porozumienie francusko-niemieckie, to bardzo ważne ! Mój rozmówca wyraźnie zapala się tym zagadnieniem : — Widzi pan, można przy obustronnej dobrej woli najdrażliwszą sprawę załatwić pokojowo !

Tematy skaczą dalej... sowietyzacja w DDR, w Polsce, wreszcie : pobyt generała Sosnkowskiego w Londynie ? Co tu odpowiedzieć. Tego co czuję na ten temat — sam sobie wstydzę się mówić, a cóż dopiero przedstawicielom innego narodu. Bronię się, jak umiem :

— Panowie wiedzą, że nie reprezentuję żadnej partii czy ugrupowania politycznego. Rozmawiam tylko w swoim imieniu i jako korespondent ,,Kultury'', a ,,Kultura'' też nie jest związana z żadną partią, czy stronnictwem. Poza tym poruszona sprawa jest natury jak najbardziej politycznej, choć mniejszego kalibru, bo tycząca tylko wewnętrznych sporów emigracyjnych. Naszym zdaniem — w życiu politycznym istnieje zawsze największa płynność i niestałość, w przeciwieństwie do trwałości zjawisk kulturalnych. Jeżeli więc naszą rozmowę zechcemy zakończyć nie tylko jako miłą pogawędkę, to proponuję : zatrzymajmy się tylko przy tych ,,trwałych zjawiskach''.

Rozmówcy moi nie nalegają na rzucone poprzednio pytanie, a nasza platforma wywołuje ożywioną dyskusję i spotyka się z całkowitym uznaniem. Wszyscy czterej wreszcie zgadzamy się, że kontakty i rozmowy prowadzone przez przedstawicieli nauki, literatury, sztuki i publicystyki obu narodów, nie mogą grozić żadnymi komplikacjami, natomiast mogą przynieść wzajemne ko-

(*) Georg Paron Manteuffel-Szoege : ,,Geschichte des polnischen Volkes während seiner Unfreiheit 1772-1914''. Przedmowę do tej książki, wydanej w 1950 roku, autor tak rozpoczął : ,,Ta praca była gotowa do druku 1939 roku, lecz ówczesne władze zabroniły jej ukazania się. Obecnie, poza kilkoma poprawkami bez znaczenia, autor nie znalazł potrzeby dodać lub skreślić w niej cośkolwiek.''.

rzyści. Zastanawiamy się przy tym jakby ułatwić tłumaczenia naj celniejszych dzieł literackich i naukowych ostatnich czasów z pol skiego na niemiecki i odwrotnie.

Znów wracamy do zdezawuowanej przed godziną polityki: zjednoczenie Niemiec, łączność tej sprawy z losami całej środ kowo-wschodniej Europy. Wreszcie Manteuffel-Szoege oświad cza : Kontakt z „Kulturą" jest tak interesujący, że choć zastrzegł pan tak wyraźnie jej apolityczność, proponuję, abyśmy poprosi posła Kiesingera, przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicz nych Bundestagu, aby zechciał wyrazić swe poglądy w najcie kawszych zagadnieniach, przez nas tu poruszonych.

Ustalamy szczegóły. Za pół godziny Manteuffel-Szoege bę dzie na zebraniu komisji, gdzie spotka posła Kiesingera. Komisja potrwa najwyżej godzinę. Za dwie godziny więc mamy już we trzech zjawić się w gabinecie Kiesingera. W międzyczasie usta lamy zwięzłą relację z naszych rozmów i precyzujemy kilka py tań.

W oznaczonym czasie wita nas poseł Georg Kurt Kiesinger. Moi dotychczasowi rozmówcy referują po krótce cie kawsze momenty naszych dyskusyj i stawiam pytanie :

— Czy możemy prosić o wyrażenie poglądu, jaki teren uważa pan poseł za najodpowiedniejszy do rozpoczęcia rozmów niemiecko-polskich ?

W odpowiedzi poseł Kisienger najpierw zastrzega, że nie traktuje naszej rozmowy jako wywiadu prasowego, lecz uważa ją za dalszy ciąg naszej poprzedniej dyskusji. Jednakowoż zgadza się, aby ‚Kultura" opublikowała następujące oświadczenie :

„Jestem zdania, że nadszedł już czas abyśmy zapomnie o przeszłości, wyciągnąwszy z niej jednak wszelkie nauki. Myśl że jest konieczne do wzajemnego zrozumienia, aby oba narody dokonawszy każdy z osobna tak wielu ważnych wkładów do kul tury zachodniej, poznawały wzajemnie dalsze osiągnięcia kultu ralne i aby przystąpiły do wymiany wzajemnych poglądów. Chęt nie powitałbym rozpoczęcie niemiecko-polskich rozmów na tym właśnie terenie" (*).

Przechodzimy do następnego tematu. Stwierdzam, że wśród Polaków szeroko rozpowszechnione są obawy, że Niemcy mog nawiązać współpracę z Rosją kosztem narodów środkowej Euro py. W publicystyce zachodniej też stale spotyka się pytani czy Niemcy oprą swą politykę na Zachodzie, czy na Wschodzie czy też wybiorą drogę tak wiele dziś dyskutowanego „neutra lizmu".

(*) „Ich bin der Auffassung dass es an der Zeit ist, die Vergange heit zu vergessen, aber aus ihr zu lernen. Ich glaube, dass es zum gege seitigen Verständnis notwendig ist, dass beide Völker die beide einen wichtigen Beitrag für die abendländische Kultur geleistet haben ihre ku turellen Leistungen kennenlernen und in den Gadankenaustausch darüb treten. Ich würde es begrüssen, wenn auf diesem Gebiet deutsch-polnisc Gespräche aufgenommen würden".

Rozmówca nasz swą pro-zachodnią orientację podkreśla wy-
raźnie ostrą negacją dwóch pozostałych koncepcyj, stwierdzając
osłownie :

,,Taka polityka byłaby rzeczywiście samobójstwem. Niemie-
ka polityka powojenna nie dała nigdy powodów do obaw tego
odzaju. Nie ma też żadnej grupy opozycyjnej, która głosiłaby
ego rodzaju koncepcje. Rząd Niemiec Zachodnich, popierany
rzez dużą większość narodu, odrzuca także i neutralizm. Jeżeli
v Niemczech spotyka się neutralistyczne projekty, dzieje się to
awsze z jednoczesnym podkreśleniem przynależności Niemiec
lo świata zachodniego (*).

Kończymy naszą krótką rozmowę, gdyż na naszego roz-
nówcę oczekuje już następne posiedzenie komisyjne.
— Kwestia zjednoczenia Niemiec wywołuje na Zachodzie
bawy, że może pociągnąć wielkie niebezpieczeństwa i ryzyka
arówno politycznej, jak i gospodarczej natury. Narody wschod-
io-europejskie też widzą te ryzyka i niebezpieczeństwa, lecz ro-
umieją, że bez zjednoczenia Niemiec nie może być mowy o uwol-
nieniu ich krajów. Ale aby zjednoczenie Niemiec popierać — na-
rody te muszą nabrać zaufania i przekonania, że do regulacji
wszelkich spraw spornych Niemcy nie użyją przemocy. Czy pan
widzi możliwość wzbudzenia takiego zaufania?

Odpowiedź : ,,W ciągu ostatnich lat — przez swoją politykę
stanowczej pokojowości i współpracy z europejskimi sąsiadami
— Niemcy zabiegały o takie zaufanie. Tu idzie o sprawę wiel-
kiej europejskiej federacji, przez którą powinny być zakończone
onure tradycje bratobójczych wojen europejczyków'' (**).

Żegnamy się, obiecując sobie wzajemnie, że dzisiejsza roz-
nowa była tylko krótkim wstępem. Już na korytarzu ustalam
z mymi przewodnikami termin i miejsce następnego spotkania.
Opuszczam w zamyśleniu gmach Bundestagu. W głowie mam
chaos wypowiadanych i słyszanych myśli, tez, oświadczeń i nie-
określonych tonów, lecz najuporczywiej dźwięczy mi w pamięci
zawsze spokojny głos Pawła Hostowca.

(*) ,,Eine solche Politik waere tatsaetlich Selbstmord. Die deutsche
Nachkriegs-Politik hat niemals Anlass zu einer solchen Sorge geben. Es
gibt auch keine oppositionelle Grupe, die derartige Gedankengaenge geaeussert
hat. Der Neutralismus wird von der deutschen Regierung, die von der
grossen Mehrheit des Volkes gestützt wird, abgelehnt. Soweit in Deutsch-
land neutralistische Gedankengaenge vertreten werden, geschieht dieses immer
mit der entscheidenden Betonung der Zugehoerigkeit Deutschlands zur west-
lichen Welt''.

(**) ,,Deutschland hat sich in den vergangenen Jahren durch seine
beharrliche Politik des Friedens und der Zusammenarbeit mit den europaei-
schen Nachbaren um dieses Vertrauen bemüht. Es tritt für eine grosse
europaeische Foederation ein, durch die die verhaengnisvolle Tradition der
europaeischen Bruderkriege beendet werden soll.

— Znajomość Niemiec współczesnych w świecie zewnętr nym jest dziś niedostateczna, nie odpowiadająca ani ich ro w Europie, ani wadze zagadnień z nimi związanych. Istnieją da do dokonania wspólnego wysiłku w celu oderwania się od ma dla obu stron zadowolającej przeszłości i zapoczątkowania jaki goś nowego, bardziej obiecującego rozdziału stosunków polsk niemieckich.

Bonn, 6 maja 1955.

Stefan W. KOZŁOWSKI



Ze względów technicznych nie możemy zamieścić dokończenia pra Jana Kowalika pt. Polska w bibliografii powojennych Niemiec 1945-195 *Praca ta ukaże się w najbliższym czasie w osobnej broszurze, którą moż już zamawiać w Administracji pisma. Cena. egzemplarza* 125 *franków.*

Droga do Urzędowa

OPARY

(*) *Są to fragmenty rozdziału V-go powieści „Droga do Urzędowa", która jest w druku. Nazwiska, z wyjątkiem historycznych, są fikcyjne, fakty — prawdziwe.*

◆

Lubrzykowski, radca w Atenach, zwolniony tuż przed wojną ze służby za nieodpowiednią interpretację przepisów o dietach, w drodze powrotnej do macierzy wolał się zatrzymać w Bukareszcie. Kiedy na konsulat lunął napór uchodźców i personel nie wydążał, fachowy emeszetowiec, ofiarujący bezpłatną koleżeńską pomoc, okazał się jak znalazł.

Radcą miotały uczucia niepewności. W karierze dotychczasowej stale mówił o Piłsudskim „Komendant"; teraz począł podejrzewać, że ta przygoda z kasą może być wstępem do nowej kariery. Ale nie był całkiem pewien. Z Francji jeszcze nie wiele było słychać, Lubrzykowski jeszcze nie złapał wiatru.

Obejrzawszy się po przydzielonym gabinecie, długo stał w zadumie przed portretami Piłsudskiego, Mościckiego i Śmigłego-Rydza. W pierwszym impecie zdjął je wszystkie ze ściany; nagle strach go ogarnął, obejrzawszy się skonstatował, że nikt tego nie widział, co prędzej powiesił z powrotem prezydenta. Po chwili wahania wrócił na dawne miejsce Piłsudski. Wreszcie — niech tam — Śmigły. Ostatecznie nikt nie może od niego wymagać zwracania uwagi na to, co za nim wisi, kiedy ma taki nawał pracy.

Po południu przyszedł dla uzgodnienia attaché wojskowy, płk. Termopilski.

Pułkownik Termopilski był legionistą i sanatorem. Jego to inicjatywie należało zawdzięczać burzenie cerkwi na Chełmszczyźnie. Po roku 1926 ubolewał, że przebył historyczną chwilę

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

w przymusowej bezczynności w prowincjonalnym garnizonie; te-raz poczynało mu świtać, czy tej bezczynności nie dałoby się ubronzowić. Zaryzykował wzmiankować Lubrzykowskiemu, że on już nie uznaje Śmigłego-Rydza (z klapą bezpieczeństwa: dla względów formalno-prawnych).

Lubrzykowski zdjął ponownie portret; poszło gładko.

Ostrożnie macając każdą piędź brodu, przez który postano-wił przeprawić się na nowe lądy, brnął coraz śmielej. Po dwuch-dniach już, zapytany przez kogoś z „petentów" co się dzieje z marszałkiem Śmigłym-Rydzem, zaryzykował dowcip:

— Jaki Śmigły-Rydz? Owszem przebiegł do Rumunii, ale Śmigły-Zając.

Dni niepewności jednak trwały, a tu przybył ten Hauke z Ja-giełłą po wizę do Francji. Lubrzykowski domyślał się, że autor dowcipów o Liberałach Chrześcijańskich nie będzie teraz *persona grata*, ale siedząc na placówce, nie bardzo się w tym wyznawał. Wobec czego, zarzuciwszy Haukego komplementami, kazał mu wraz z Jagiełłą przyjść za kilka dni.

W Haukem pyrkotało jak w garnku; zaciągnął Jagiełłę do jakiejś kawiarnię.

— Cóż to za kurwidołek? — zdziwił się. Kawiarnia była lokalem szachistów i orientalnych kokot.

Haukemu w atmosferze kawiarni wróciła zdolność peroro-wania przed byle kim i Achilles został uraczony wykładem o mię-dzynarodówce kundli.

— Widział pan? Już Lubrzykowski i Termopilski szlusują. A cóż to za nos mają te kundle!... Jeden drugiego o milę roz-pozna. Polska — to największa chyba wylęgarnia kundli. Stanu mieszczańskiego nie ma — skok z chłopa bezpośrednio w kul-turę poszlachecką za duży. Taki Drystal, uważasz pan (bo to jest przedlegionowe nazwisko Termopilskiego) kiedy pasał kro-wy, był całkiem do rzeczy i zostałby człowiekiem do rzeczy. Ale jak tylko nałożył krawat, to jakby obrożę na kundla. Jak tylko siadł z tamtej strony okienka — adiu Fruziu — bez kija nie przystępuj: fumy, frazeologia, życie nad stan, przekonanie, że w nowej pozycji czerpie się soki z przywileju.

Kelner postawił mleko zsiadłe. Hauke na emigracji znalazł się bez chętnych do płacenia podskakiewiczów, co go przypra-wiało o zły humor.

— Polska mogłaby produkować człowieka jak złoto, ale w ostatnim wykańczającym stadium zanurza go w *czanie* poszla-checkiej kultury, na którą materiał okazuje się najmniej oporny. Co jest, u Boga Ojca, że ten dół po różnych Urzędowach jest pierwsza klasa, a ta góra?...

— No, dół też nerwowy — podtrzymał Achilles rozmowę —

Hauke zatknął się: skończył swoje zsiadłe mleko, był głod-ny, pasował się ze sobą, czy zamówić jeszcze jedną porcję.

Napisałem felieton o lotnikach, chwaliłem; a tymczasem lotnicy szukają mnie po Bukareszcie, żeby obić.

Hauke nie miał wątpliwości, że bez akceptacji z Paryża Lubrzykowski wizy nie da; pobyt zapowiadał się na dłużej. Następnego dnia przeprowadził się do pokoiku na przedmieściu, w wieczorem wybrał się do kurwidołku, do którego z premedy-acją namówił księdza-szachistę. Przyszedł wreszcie po zawzię-ej kłótni z doktorem.

Skusiło ich na sowiecki dodatek filmowy — w tych dniach edyne wiadomości o Polsce czerpał świat z prasy i filmów nie-nieckich i rosyjskich.

W dzienniku filmowym obejrzeli sobie szalejące ze szczęścia tłumy w Żółkwi, witające wkroczenie wojsk bolszewickich, po czym następowała krótkometrażówka z życia przedwojennego Polski. Przed kolejkę po chleb, dozorowaną przez policję z pał-kami zajechał w lśniącej limuzynie pułkownik z dwoma hrabi-nami, trójka pasażerów weszła *biez oczeredi* (bez kolejki) do piekarni i po chwili wyszła obładowana bochnami chleba, wyda-nymi dla nich ponad miarę.

Właściwy obraz był poświęcony Iwanowi Susaninowi, chło-pu-patriocie, który, wskazawszy mylną drogę polskim siepaczom, ratuje życie prawosławnemu carowi i ginie pod razami zezwierzę-conych „panów". Kiedy zawiódł i truciciel nasłany przez nun-cjusza, rozgoryczony hetman Żółkiewski kazał husarii spalić Moskwę. Husarze w pełnej zbroi, w skórach lamparcich i z me-trowymi skrzydłami orlimi u ramion póty biegają z zapalonymi kwaczami po zaułkach Moskwy, aż zniecierpliwione kobiety przepędzają ich wałkami od ciasta.

— *Ad impossibilia nemo tenetur* — rozstawiał ksiądz ręce na tę lawinę klęsk.

Achilles nie przyszedł.



Okazało się, że szofer bankiera Rosensteina odprowadzał do Paryża Packarda i Achilles zabrał się z nim wraz z Estellą Stock, byłą recenzentką filmową, wice-Boyem w spódnicy.

Lubrzykowski tłumaczył się Haukemu, że musiał tej parze udzielić wizy, bo rząd emigracyjny mobilizuje przede wszystkim propagandę, „mistrz zaś he.... he... — jest do wyższych celów".

Tak jednak podśmiechując się przypochlebnie pewny całkiem nie był, czy aby głupstwa jakowego nie robi; pokazywano mu kiedyś Haukego przy jednym stoliku ze Stellą. „Jednak trochę racji mieli w centrali, że pobyt na placówkach ekspatriuje" — westchnął na jeszcze jeden z węzełeczków gordyjskich. Nie na-leży palić mostów z Haukem, nim Estella nie puści farby w Pa-ryżu.

W Bukareszcie znalazł się mecenas Stefan Szpinalski, wice-prezes Stronnictwa Chrześcijańskich Liberałów i w Paryżu po-wstał jubel : projektowana Rada Narodowa „poszerzy wachlarz".

Równocześnie z poleceniem niezwłocznego wyekspediowania me
cenasa, Lubrzykowski otrzymał poufny liścik od Pyździa Skwir
czyńskiego. Pyździo, który już się zagetrzył w Angers, sygnali
zował, że Szpinalski jest typowany jako języczek u wagi. Presti
digitator ateński miał serdecznie dosyć ,,pracy z pobudek kole
żeńskich i ideowych'', balansowanie na ,,zwrocie efektywnyc
wydatków'' mogłoby się zakończyć i tym razem rewizją prze
jakiegoś chama nie mającego wyczucia potrzeb służby dyploma
tycznej. Skwapliwie więc wyprawiał obiad ku czci Szpinalskiego
na którym miał mu wykazać swoje rozgałęzione stosunki z kor
pusem dyplomatycznym, ,,czucie'' czy tam ,,łączność'' z krajen
(terminologia jeszcze była na słabych nóżkach) i kooperację z wła
dzami wojskowymi.

Za korpus dyplomatyczny będzie biegać ten nieoceniony kon
sul portugalski — jedyny, po prawdzie, stosunek dyplomatycz
ny Lubrzykowskiego; za kraj — da się parę typków, które si
najostatniej z Polski przemknęły; dobrze by było, żeby jak ra
zdarzyli się jacy hrabiowie, demokratyczny prezes nigdy by ni
zapomniał Lubrzykowskiemu, jeśli pod jego dachem przejdzi
na ty z jakim hrabią ; wojsko będzie odstawiał Termopilski
niestety, z tą swoją babą... To dwa nakrycia; Portugalczyk z żo
ną, jeśli nie przywlecze siostrzenicy — cztery; państwo dom
— sześć. Lunia ostrzega, że nie może sadzać więcej jak dwa
naście osób. Lubrzykowski liczył : Szpinalski, ktoś z ambasad
na ubezpieczenie, może uda się bez żony, wtedy niech by nawe
trzy typki z Polski — żonglował w myśli talerzami — jeden ta
lerz zostaje. Lubrzykowski, który w dziedzinie lingwistyki roz
pracował raczej dziedzinę restauracyjną, pomyślał, że dobrze bę
dzie mieć kogoś dla bawienia Portugalów i zaprosił Haukego



Na obiedzie, jak karbunkuł pierwszej wody błyszczała ogni
sta bródka Portugalczyka. Konsul Fortunato Maria Jebjeras Al
lerano y Cortera był entuzjastą Polski, nawet brał lekcje polskie
go i recytował — według informacji Lubrzykowskiego —
,,wieszczów polskich całymi stronami''. Zainicjował Komitet Po
mocy Uchodźcom Polskim wśród pań korpusu dyplomatyczneg
udzielał noclegu w swoim domu żołnierzom zbiegłym z obozów
Ci tak haniebnie upraszczali jego nazwisko, że postanowion
konsula nazywać, po prostu, Alerańskim. Alerański był chodzą
cym dowodem, jak atrakcyjna jest polska kultura, jeśli obc
zechce się do niej zbliżyć.

Dziś jednak świetność Portugalczyka i jego bródki gasł
przy pokutniczej szarości Szpinalskiego, podcelebrowywan
przez jegomościa i jejmość z Polski. Jegomość reprezentow
,,wolę kraju'' o dwa dni bardziej zleżałą, przyjechał bowiem n
dwa dni przed Szpinalskim, pomazanie zaś jejmości całkie
mierzchło : biedula była w stanie stwierdzić autorytatywnie jak
była cena na jaja i słoninę w Śniatyniu przed sześciu dniami i z

zgrozą myślała, że już pojutrze pocznie się lekceważące: ,,ach, to pani już przed dwoma tygodniami opuściła Polskę''.

Przez pierwsze więc pół obiadu Szpinalski niepodzielnie władał uwagą zebranych. Z Zaleszczyk pyrgnął w zabity kąt pod Kołomyją, wreszcie się wystraszył i hycnął wczoraj przez Czeremosz, znalazł się więc na stole u Lubrzykowskiego ,,prosto z wody'' i autorytatywnie informował co kraj potępia i czego oczekuje. W tym względzie poglądy kraju zbiegały się ze stanowiskiem demokratów-liberałów, które miało swoich zwolenników (jak państwo wiecie) we wszystkich częściach Polski.

— Jak w arce Noego — przytaknął Hauke — po parze.

Lubrzykowski się zatrzepotał i obwieścił, że ma miłą niespodziankę: mianowicie nieoceniony przyjaciel Polski, pan konsul, przywiózł ze sobą na ten obiad dwie butelki Madery, która dochodzi stu lat. Wobec czego rozlewając po naparstku, a przydygując, a przywąchując, wzywał zebranych do wzniesienia toastu na cześć hm... (zawahał się — toast na cześć prezydenta Portugalii mógł prowokować toast na cześć prezydenta Polski, którego portret Lubrzykowski zdjął już definitywnie) — na cześć jego szlachetnej ojczyzny.

Teraz nadszedł moment Alerańskiego. Kochał te przemówienia i uważał, że każde z nich warte było dwóch butelek tego starego, ale wyjątkowo złej renomy rocznika, który za bezcen hurtowo zakupił.

— Uwaga! — szepnął sekretarz ambasady z wąsikami à la Menjou — teraz będzie o 1064-ym roku.

— Panie i panowie! — rozpoczął po polsku don Fortunato, po czym, przeszedłszy na francuski, przypomniał, że kiedy w roku 1064 Portugalia ostatecznie przepędziła Maurów, Polacy też odpierali najazdy niemieckie jak i teraz.

Nie bardzo wiadomo było czy owo ,,też'' odnosiło się do Portugalczyków wtedy czy do czasów obecnych teraz, ale konsul, władając francuskim równie kiepsko jak i słuchacze, mówił bardzo wzruszająco. Lubrzykowski, dobrnąwszy do koniaku, biegał wkoło z butelką, więc rozczulenie rosło, osiągając zenit kiedy mówca zakończył po polsku: ,,Niech żyje neszmertelny i bohaterrrrsky narut polszki''.

Wobec czego jejmość, oceniając, że jeszcze ze dwa dni może biegać za autentyczną reprezentantkę bohaterstwa, zabrała głos, zapowiadając, że wszyscy spotkają się niebawem w wolnej Polsce, bo na wiosnę wojna skończyć się musi.

Jegomość, którego bezczelna baba ubiegła, chociaż on o dwa dni dłużej od niej był w kraju, skarcił ten ,,niebezpieczny optymizm'' i wyłożył swoją tezę. On też uważa, że wiosną 1940 roku potęga niemiecka zostanie rozgromiona, ale pierwszeństwo powrotu będą miały eszelony wojskowe.

Pułkownik więc Termopilski zabrał głos i zaraz można było poznać zimny umysł sztabowca; zasypał obecnych cyframi, które miały ich przygotować na najgorszą okoliczność — powrót do kraju na wiosnę 1941 roku.

— No, panowie sztabowcy lubicie epatować laików — załagodził dobrotliwie Szpinalski.

Hauke, jednym uchem słuchając, rozmawiał z konsulową :

— Podziwiam czynną sympatię męża pani dla Polaków.

— Ach ! — zaśmiała się. — Fortunato ma zawsze jakieś hobby, które go pasjonuje bez reszty. Przed wojną szalał kolekcjonując pudełka od zapałek.

Towarzystwo przeszło do salonu.

Rozmowa poczęła się rozklejać, bo każdy ciągnął w swoją stronę : gospodyni więc zrobiła dywersję, zapaliła główną lampę i sprezentowała narzędzie tortury : sztambuch.

Podirytowany Hauke postanowił się pomścić na pierwotniakach i zahuczał, że to będzie świetnie, jeśli w księdze gości każdy z nich uwieczni wygłoszony prognostyk.

Lunia Lubrzykowska (dla najbliższych Lu-Lu) wypielęgnowana, w świetnej ateńskiej sukni, stanowiła wymakijowany futerał na kobietę, w której kobieta mogła być, mogła nie być. Futerał zaklaskał :

Nieoceniony Hauke, biorąc za dobrą monetę uśmiechy ponurej wściekłości, odkleił sekretarza od koniaku co prawda po niewczasie, ale w sam czas od Termopilskiej.

— Panie Henryku, niech pan zapisuje. Prosimy, panie pułkowniku — dyskontował swoją odsiecz u zagrożonego — niech pan jako ekspert otworzy zapisy.

Termopilski się wydął i począł dyktować :

— Jako Polak i chrześcijanin wierzę w zwycięstwo sprawiedliwości...

— Stop !... — huknął Hauke ku sekretarzowi — my wszyscy też... Ale po prostu : szanpan przewiduje powrót na wiosnę 1941 roku ? Wszak tak ? Zapisz pan, panie Henryku.

Powyłuskiwał tak głupstwa kolejno z niemożliwie poobrażanego towarzystwa i wręczając sztambuch futerałowi zatopił jej rączkę w brodzie. Wtedy zerwał się protest :

— A pan ?

— Mieliśmy tylko zaprotokółować dyskusję, w której nie brałem udziału.

Hauke wyczuł groźny nastrój. Obudziło się w nim wielkopaństwo.

— Pisz pan — rzucił do sekretarza ambasady, zupełnie jakby to był skryba oczekujący z gęsim piórem. Odwalił się (dzięby temu brzuchowi i tej brodzie) i podyktował jakby wnosił zapis do grodu :

P u n k t p i e r w s z y : *Wojna będzie trwała sześć lat.*

Atmosfera z punktu się rozrzedziła. Sześć lat ? epatowanie paradoksami. Poroniony kandydat na polskiego Bernarda Shaw

I pozostałych punktów słuchano z rozbawieniem :

P u n k t d r u g i : *Nie będzie zwycięzców ; można pancerkami wjechać do Berlina, ale to nie jest równoznaczne z możliwością urządzania powojennego świata.*

P u n k t t r z e c i : *Preponderencja Rosji zaraz po wojnie*

P u n k t   c z w a r t y : *Po czym rozpocznie się 25-letnia anarchia, która zburzy wszystko, zmiele świat na pył drobniutkich cząsteczek. Po 25 latach te cząsteczki zaczną się zrastać nie wedle jakiegokolwiek z góry wyznaczonego planu, tylko biologicznie, jak odrasta stratowana trawa.*

Lubrzykowska spostrzegła, że temat poczyna nudzić :

— Czy wiecie państwo, że Rasińska przyjechała z Polski, a tu tymczasem Rasiński drapnął do Paryża z Basińską ?

Towarzystwo rzuciło się na ofiarowaną kość.



Hauke wrócił do swojej dziury na St. Apostoli z paką gazet, które mu pożyczył Lubrzykowski. Niemka transylwańska, u której odnajmował pokoik, właśnie po pokazie filmowym w ambasadzie niemieckiej opowiedziała mu co widziała ,,na własne oczy'' : dzieci niemieckie w Bydgoszczy za długim stołem z rączkami poprzybijanymi do blatu przez polskich oprawców.

W gazetach francuskich już odpłynął temat polski, zwykle reprezentowany przez *Pauvre Pologne* w wywiadach z sentymentalnymi fordancerkami, które goreją ogniem patriotycznym. Opisujący ich cierpienia dziennikarze zwykle powoływali się na ,,Madame Waleski'' i dawali z lekka do zrozumienia, że i im było dane wstąpić w ślady Napoleona. Teraz cierpienia fordancerek wyparły niesłychane cierpienia żołnierzy na linii Maginota, których jedyną rozrywką jest gra w piłkę nożną. Wojna to ciężka rzecz, sprawozdawca znał pułkownika, który przez dziewiętnaście dni nie otrzymał listu od żony.

Do prasy rosyjskiej napływały wiadomości z terenu Polski. Korespondent w Kopyczyńcach widział Ukraińca, któremu policjant szablą (!) wyciął na ciele drobny deseń w jaki są haftowane koszule ukraińskie — za karę, że ten Ukrainiec odważył się nałożyć taką antypolską koszulę. Korespondent z Czortkowa mówił z kobietami, które wreszcie odważyły się wychodzić na ulice, co za polskich czasów było niepodobieństwem, bo rozwydrzeni oficerowie faszystowscy robili sport z cięcia żyletkami okryć damskich.

Korespondent z Białowieży umieścił dokumentalny reportaż z wizyty w pałacu hrabiów Siwłowskich (?), który miał stać w puszczy, nosząc na frontonie dumną dewizę rodową : ,,Mnie lub nikomu !''... Kiedy zbliżyły się wyzwolicielskie wojska sowieckie, stary hrabia Siwłowski, używając jak i policjant w Kopyczyńcach szabli zamiast, po prostu, scyzoryka, pociął ,,bezcenne Rubensy, Van Dycki i Rafaele'' nie mając czasu ich zapakować; ale natomiast miał czas starannie wykaligrafować na każdym swoją dewizę : ,,Mnie albo nikomu !''... Korespondent stwierdził, że stary Rabczuk, chłop niepiśmienny, z własnej inicjatywy skleja te bezcenne Rubensy klejem stolarskim ,,dla przyszłego ludowego muzeum''. Rabczuk pokazał mu stryczek na którym graf Siwłowski kazał hajdukom (!) powiesić przed trze-

ma laty brata Rabczuka, kiedy ten, ratując chore dziecko od zamarznięcia, ośmielił się wziąć z hrabiowskiego lasu uschłą gałąź.

Prasa niemiecka, podając przemówienie gen. Sikorskiego, stwierdzające, że ,,to co się stało, było wyłącznie z naszej winy", dziwiła się jak ,,państwo, którego bezwartościowość stwierdza własny premier, mogło stać się powodem wojny".

Prasa polska była jednak krępowana. ,,Głos Polski" w Paryżu żalił się na francuską cenzurę, która powstrzymuje zbyt krytyczne pisanie o kampanii wrześniowej, w czym ,,Głos Polski" widzi u Francuzów ze zgorszeniem ,,chęć zdjęcia z nas odpowiedzialności za tragiczny bieg wypadków".

Antoni Słonimski drukował wiersz o ,,Pętaku". Jest to były minister, którego, wyorderowanego, pan Słonimski wyciąga z rynsztoka ulicy paryskiej, daje mu z łaski jeść i poucza ,,pętaka" o demokracji.

List rzekomej piętnastoletniej dziewczynki z kraju donosił koleżance na emigracji o wykrytej korupcji przedwrześniowej.

— Taka mała dziewczynka, a taka duża świnia — sapnął Hauke i zgasił światło.

Ale nie mógł spać. Kapele kundli nie dawały zasnąć. Diabli-ż nadali, że wylazł w świat. Przeszła mu przez mózg refleksja, że nie tylko wojna tu zawiniła, że już przedtem wyciągnęli go Sfinks z Wodanem. Trzeba to odrobić. Jutro ściągnie stertę książek, zawali się na sen zimowy. Odczuwał silne ciągoty do poczytania raz jeszcze Gibbona o upadku Państwa Rzymskiego. Nie będzie chodził wieczorami do *Café Elisabeth,* gdzie zbierał się ,,polski parlament". Tylko w południe wpadnie co dzień na godzinkę na szachy do kurwidołku, bo tam nie zatrzęśli się jeszcze Polacy.

Co prawda, jakże tu czytać na tym materacu domnuli Freiberg o wygniecionych sprężynach, jakże tu czytać bez kawusi ze śmietanką w zapieczonym garnuszku, którą rano wnosi służący stąpający na filcowych podeszwach?

Hauke nie mógł spać. Karaluchy robiły chrzęst nieznośny w skrzynce na śmieci, w której leżał papier po szynce jeszcze z wczorajszego śniadania. Hauke zapalił światło, zobaczył wielkie czarne odwłoki szurgające między skrzynką a dziurką w ścianie. Siadł na krześle z parasolem i przygważdżał owady przesuwające się wzdłuż obszarpanego dołu pustej tapety.

Bijąc tak karaluchy, smakował sobie, że ponownie wczyta się w epitafium jakie Gibbon wystawił upadającemu Imperium Rzymskiemu : ,,Opisałem triumf barbarzyństwa i religii". Któż teraz zatriumfuje nad światem grającym w football nad liniami Maginota? Barbarzyńcy już jego, Haukego, rejestrowali. Żądali ustalenia jaki jest fach człowieka czytającego książki pod pierzyną. A gdzież jest siła odrębna od nich, a wspólnie z nimi rozwalająca epokę? Przecie już nie chrystianizm, skoro to była epoka chrześcijańska?

Hauke obiecywał sobie przeczytać przede wszystkim rozdziały XV i XVI. Łudził się, jak łudzi się chory, że mu coś będzie smakować.



Zasnął za jasna i kiedy go rano zbudziło szkrabanie do drzwi, spotkał je z ponurym hurkotem.

We drzwiach ukazał się drobny chłopak w zrudziałej za obszernej kurcie. Niemrawo jakoś, bokiem, przepchnął się przez drzwi i stanął niepewnie widząc rozjuszonego Hansa.

— Zamykaj pan drzwi, do cholery, zimna nie napuszczaj. — o co chodzi?

— Rzewnicki jestem... Podchorąży...

— Więc co z tego, że Rzewnicki i że podchorąży?

Chłopak splątał się do reszty. Coś tłumaczył, że to on dał Haukemu konserwy na szosie pod Chełmem.

Hauke, pół rozbudzony, siedział w rozchełstanej piżamie, czochrał się w brodę i śmierdział tytoniem. Wszystko razem wyrażało skrajną niechęć, na skutek czego Rzewnicki począł już rzucać słowa całkiem bez składu: że przeszedł Prut... że poszedł po koszulę do Komitetu Opieki, ale zamknięte...

— Więc co, przyszedł pan, abym dał koszulę za te konserwy?...

I nagle spostrzegł, że prawa ręka Rzewnickiego jest na temblaku.

— Kiedy? — wskazał ręką.

— W zeszłą środę... W bitwie pod Kockiem.

Hauke wyskoczył z łóżka, podsunął chłopcu stołek, zapalał prymus.

Milczeli.

— W bitwie? Przed sześciu dniami? — tkał przed chłopca herbatę, masło, ser. — Jedz najprzód — przeszedł na „ty".

Okazało się, że podchorąży Witek Rzewnicki był w walkach od pierwszego dnia, od samej granicy śląskiej. Wzięty do niewoli z plutonem pionierów pod Nowym Korczynem, kiedy wysadzali przed samym nosem Niemców most na Nidzie, uciekł. Wtedy, kiedy spotkał „pana redaktora", to już znów się zaciągnął do tworzącej się w Chełmie grupy formowanej przez płk. Szalewicza, dowódcę piechoty 13 dywizji. Kiedy pan redaktor pojechał, oni uderzyli na Łaszów, odbili go; kiedy wchodzili do miasteczka trupy Niemców leżały ułożone jak sągi na człowieka wysoko... Ale pod Tomaszowem ich okrążyli, znów wzięli do niewoli, znów uciekł. Szedł szukać ponownie walczących oddziałów. Wielu było takich, złączyli się w oddział. Pod Hrubieszowem jakieś aeroplany zrzucały ulotki.

Wyciągnął niezdarnie lewą ręką ulotkę.

Hauke czytał:

Rzołnierze Armji Polskiej,
Pańsko burżuazyjne rząd polski, wciągnąwszy was

w awanturystyczną wojnę, pozornie (1) przewaliło się. Ono okazało się bezsilnym rządzić krajem i zorganizować obronu.

Armja polska pocierpieła surową porażkę, od której ona nie oprawić w stanie się. Wam, waszym żonam, dzieciam, braciam ugraża głodna smierć.

Dalej podpisany „Komandarm Drugiej Rangi, Michał Kowalew" wzywał do poddawania się. Istotnie, otoczyły ich czołgi sowieckie. Szeregowych po rozbrojeniu zwolniono. Znowu szukali — gdzie się biją.

Pod Włodawą — to już był pierwszy październik — trafili na dwie dywizje pod gen. Klebergiem, które szły na odsiecz Warszawie.

— Poddała się poprzedniego dnia — mruknął Hauke.

Ale oni nie wiedzieli o tym. Wysiekli bolszewików pod Parczewem, poszli na Kock, Niemcy zastąpili im drogę pod Syrokomlą, Witek został zastępcą dowódcy plutonu. Trzy razy Syrokomla przechodziła z rąk do rąk , to był trzeci październik, a czwartego... Czwartego października wycofali jego pluton dla odpoczynku — mówi z nabożeństwem Witek i zawiesza głos. Tego — nie miał przez całą kampanię.

Piątego października, wypoczęci, odżywieni, są w natarciu trzy razy. Ginie dowódca plutonu, Witek otrzymuje rozkaz plutonem obsadzić lizjerę lasu. Wyoliwili, odczyścili cekaem.. A rano... Rano przyszedł rozkaz poddania się, zaprzestania ognia. Jechały ku nim ciężarówki niemieckie zabierać ich do niewoli i wtedy... on dowódca... udał, że nie widzi, jak cekaemiarz przypadł do maszynki, udał, że nie słyszy skamlących prośby idących spod jego stóp. Na bliski dystans poszła seria po ciężarówkach. Wtedy został ranny w rękę. Nadjechał motocyklem polski kapitan, chciał aresztować, mówił, że Witek zhańbił mundur polski.

Spojrzał pytająco.

Żal przejął Haukego — świat nie stawia wymagań honorowych wiarołomcom w dyplomatycznych mundurach, tylko Witkom.

— I znowu uciekłeś? — uśmiechnął się.

Chłopcu przybyło otuchy. Tak, mówili, że zagranicą będą się bić. Tylko ręka się rozbolała, do doktora chciał, ale koszula brudna i w strzępach, pokazali drogę do Komitetu, ale w Komitecie przyjmują od trzeciej. Miał już tak do ambulansu iść, ale zaszedł herbaty się napić, a w kawiarni siedzieli Polacy i mówili, że wszyscy kradli i że Beckowa przewiozła w spódnicach do Szwecji dwa miliony złotych w złocie.

— Chłopcze, chłopcze — mruczał Hauke — toż nie pomyślałeś, że spódnica by się jej urwała.

— Ale kiedy różne rzeczy mówili — doszukiwał się Witek — że generałowie wyprzedali aeroplany i pepance zagranicę, b

(1) „*Pozorno*" — haniebnie.

mieli od tego prowizję, że dowódca naszego lotnictwa był niemieckim agentem, że dowódca armii Witka jest teraz gościem w myśliwskim pałacyku Goeringa. Witek miał adres Haukego, ale nie śmiał przyjść. Po tym co posłyszał, to zamiast do ambulatorium, prosto tu go poniosło.

Podniósł na Haukego oczy dziecka, pełne zaufania i rozpaczy :

— Proszę pana, przecież my... walczyliśmy...



Tegoż dnia wieczorem Hauke parł do *Café Elisabeth* jak rozsrożony odyniec. ,,Parlament'' był w pełnym toku debat :

— Ostatecznie nie wiele się zmieniło pod rządami SS. Dawniej też rządziły dwa S : Siuchta i Sitwa.

Rozochocili się :

— Nawet trzy — bo i sanatorzy.

— Nawet cztery — bo i świnie.

Hauke zwykle nie reagował na te dowcipne kalambury. Siadywał w kawiarni z długoletnim nawykiem, że jest to miejsce w którym można pytlować co się komu żywnie podoba. Ośmielone chrunie coraz bliżej go podchodziły i nachodziły, trącały ryjami — i nic.

Propaganda obcych, podlenie się swoich, podkopały kawiarniany eklektyzm. Hauke czuł na sobie oczy rannego, którego Niemcy nie dostrzelili, ale usiłowali dotruć rodacy. I storczyk kawiarniany przemienił się w lwa, który szuka kogo by pożreć.

Siedzący naprzeciwko niego przystojny młody człowiek zarzekał się, że raczej w Rumunii doczeka powrotu, niżby miał jechać do Francji, bo nie będzie śmiał oczu podnieść na Francuzów.

I nagle Hauke strzelił mu w pysk :

— Gówno psie !...

Zrobiła się nagła cisza. *Ne quid nimis* — burknął ksiądz Wróbel. ,,Nu, pies nie jest trefne zwierzę'' — usiłował dosyć beznadziejnie dr Lewin załagodzić dowcipem.

Tymczasem w oczach zelżonego zapaliło się coś jakby błysk wdzięczności :

— Pan redaktor, istotnie, sądzi, że powinniśmy jechać do Francji ?

Hauke, zaskoczony, pokrył rękę pytającego swoją wielką dłonią :

— Tak jest, tak sądzę. I pan też.

Dokonany został zabieg kręgarski, w którym mocnym uderzeniem naprostowuje się skrzywiony kręgosłup. I w młodym Polaku, tak jak w zbyt podchlebnym rotmistrzu, wdzięczność za wyzwolenie z kompleksu wzięła górę nad obrazą.

Tak naląg się w Haukem odczyt pt. ,,Inna twarz Polski''. Słowo miało opuścić kawiarnie i stać się ciałem.

Hauke szedł z odczytu do *Café Elisabeth* parując wysiłek. Po drodze przyplątał się do niego człowieczek ze śpiczastą bródką i żądał rozmowy z ,,mistrzem''. Hauke szedł nieco nieprzytomnie, człowiek z bródką niecierpliwił się więc i powtarzał z naciskiem, że jest Nowakowskim, Marianem Nowakowskim. Marianem Antonim Nowakowskim.

Coś wraz z tym nazwiskiem przedarło się do świadomości Haukego:

Mińsk jesienią 1917 roku. Oddziałki Polaków wydzielających się z rozpadającej się armii rosyjskiej, rozbijane po drodze, miasto rojące się uciekinierami tych rozbitych oddziałów. I na tle tego wszystkiego — M.A. Nowakowski.

M.A. Nowakowski mówi tu, mówi tam, zawiązuje Koło Polek na Zacharzewskiej, inicjuje szycie bielizny na Złotej Górce, przewodniczy pieczeniu ciast na Gubernatorskiej.

— Trzeba coś zrobić z tym M.A. Nowakowskim — troszczą się rzeczywiści prezesi, autentyczni działacze — zakłada Koła Polek imienia Księcia Józefa Poniatowskiego, każe członkiniom przysięgać na bezwzględne posłuszeństwo Księciu Józefowi.

Ale stosy napieczonego chleba rosną, tysiące żołnierzy otrzymują dach nad głową. Śmieszny człowieczek z kozią bródką, przemawiający do mieszczek patetycznym stylem, ma w palcach talent organizacyjny.

Kiedy zasiedli przy stole ,,parlamentu'', Hauke wraz z kawą odzyskał przytomność i począł słuchać opowieści Nowakowskiego. Mimo pięćdziesiątki udało mu się, został zmobilizowany, pełnił funkcję sierżanta-szefa gospodarczego. Teraz jest w obozie w Magaraszti. I właśnie ten obóz w Magaraszti... Są kłopoty. Chciał założyć Koło Rycerzy Orła Białego, ale kapitan, polski dowódca obozu, mówi że w wojsku żadnych stowarzyszeń zakładać nie można. Więc tylko założył świetlicę. Sami ją umeblowali, upiększyli. Odczyty mówią oficerowie z pamięci, ale fachowych prelegentów nie ma. A po za tym — Rumuni mają wyłączyć oficerów, przenieść do innego obozu. Więc czytaniem by zapchnął brak odczytowców, ale nie ma co czytać. YMCA wydała trzy zeszyty ,,Krzyżaków'', to je czyta żołnierzom na głos. Po jednym zeszycie na tydzień. Żeby starczyło. Trochę pomaga, ale ot, tylko trochę. I żeby Hauke ze swoim odczytem przyjechał.

Hauke poczuł, że leci z karaluchów domnuli Freiberg w niewiadome kręgi.

A potem pytał się M.A. Nowakowskiego, gdzie u diaska podziewał się przez te lat dwadzieścia. M.A. Nowakowski był kooperatystą. Ale właściwie wszystkim u nich w miasteczku. Co za straż ogniową mieli, jaki chór!... Brali konkursy. Jaką zrobił kasę pożyczkową!... Gdyby nie wojna, to już mieli budować boisko w Urzędowie.

— Gdzie?...

— W Urzędowie — potwierdził z godnością M.A. Nowa-
wski.

◆

Nie na darmo M.A. Nowakowski wzywał pomocy Haukego. ołnierzy, od których miano zażądać krwi, uczono zawzięcie po-ory, bicia się w piersi. Na obóz się strzęsły niewprawne nowo-reowane dwójkarze, węszące, czy nie powstają sanacyjne spi-i. Żołnierzom, którym udawało się wydostać do Francji, wła-ze polskie na granicy wręczały instrukcje nakazujące, żeby nie pominali, że ich państwo zostało pobite, że powinni mieć do-ć pokory wobec Francji. Wieloletnia przyjaciółka Polski, Rose ailly, starała się temu przeciwdziałać: „Moi przyjaciele" — sała, — „macie coś więcej do czynienia, niż poniżać Polskę. odnieście wysoko głowy, synowie kraju najwaleczniejszego najchwalebniejszego. Nie obawiajcie się patrzyć nam prosto oczy. Pomyślcie, że sami zbijacie Francuzów z tropu".

Valgodescu pytał ze współczuciem polskiego komendanta bozu, dypl. kpt. Pietkiewicza: „Widzicie jak walczy Finlandia. Vy byście też tak mogli — dlaczego nie zaprosiliście naszych ztabowców?"

„Dziennik Żołnierza" który począł wychodzić w Paryżu, wy-czając niezliczone ilości bitew polskich, od 1109 roku, od bitwy od Głogowem poczynając, z całej wojny światowej wymienił ylko potyczkę pod Kaniowem gen. Hallera, którego protego-vali Chrześcijańscy Liberałowie.

Cóż mógł przeciwstawić temu M.A. Nowakowski? Spokoj-e jego chwyty spółdzielcy nie nastarczały.

— Panu redaktorowi podobają się cygarniczki, które nasi hłopcy robią? — pytał, witając Haukego w świetlicy.

I M.A. Nowakowski, Jan Chrzciciel, torujący drogę praw-zie, stawiał na pulpicie szklankę z wodą.

A Hauke — kostyk i cynik, kalamburzysta i paradoksiarz, piarz i sprzeka — odwalał taką „Obronę Częstochowy", że ozia bródka Nowakowskiego nie potrzebowała podrywać się o śpiewania „Roty"; grzmiało i huczało aż próchno się sypało zmurszałych baraków.

Po jednym takim odczycie obóz stawał na nogi; po prostu toś przyszedł i powiedział, że można myśleć o Polsce tak, jak o mają w głębi duszy.

◆

Mecenas Szpinalski, mianowany niezwłocznie po przybyciu o Francji członkiem Rady Narodowej, zabłysnął świetnym *expo-*, w którym nie tylko wyłożył wolę kraju, ale i zaalarmował ewelacjami o zawiązanym w Rumunii spisku sanatorów. Re-elacje, zestawione przez Lubrzykowskiego, wskazywały, mię-zy innymi, na bobrowanie po obozach Haukego, znanego z prze-

siadywania w kawiarni z Wieniawą. Lubrzykowski z upodoba niem wkleił ten passus, doszły bowiem do niego wieści, że za wdzięcza Haukemu przydomek Alcybiades. Zajrzawszy do Ency klopedii z irytacją dowiedział się, że ten reżymowiec został rów nież przepędzony z Aten za kawały z Hermesem.

Za ten gęgot uprzedzający o wdzieraniu się ozonowców na Kapitol Chrześcijańskich Liberałów oraz Demokratów-Libe rałów Alcybiades-Lubrzykowski powrócił do honorów jak jego grecki poprzednik. Radcostwo w ambasadzie kładło kres niebez piecznym manewrom ze zwrotem wydatków efektywnych. Nowy radca pozyskał zaufanie Rumunów, wijących się między polski mi fortelami i niemieckim naciskiem, wskazując na ,,trudnośc wywołane w obozach przez osoby nieautoryzowane''.

Po stabilizacji następowało kolejne stadium przewidziane roz kładem urzędowania jako rozgrywka o kompetencje.

— Drogi panie — lał patokę Lubrzykowski — co ja się nakłóciłem z Termopilskim o pana. Nic nie mogę poradzić — rozkładał ręce — to jest straszna rzecz ten wojskowy sposób my ślenia, nigdy nie będę w stanie go się nauczyć. W Polsce te jednak panowie legioniści — nie odmówił sobie — niechętnie wy dzieliście w wojsku cywilów.

Hauke, którego wice o radosnej twórczości pachniały *illo tempore* Berezą, wyawansowany na legionistę przez Lubrzykow skiego, który *illo tempore* mówił co drugie słowo ,,komendant'' — poszedł do legionisty Termopilskiego.

Termopilski, złożywszy szczegółowe *curriculum*, w którym wstąpienie do Legionów usprawiedliwiał młodym wiekiem, by już zweryfikowany, stabilizowany i pełen nadziei, że jak się tylko odetkną awanse, zostanie mu nagrodzone niezłomne trwanie w garnizonie podczas wypadków majowych.

Dochodziły wieści, że Szpinalski drze koty z Rosensteinem o którego zaczepił się Termopilski, może więc wesprzeć prze ciwko niemu podchody Lubrzykowskiego. Dlatego należało uła godzić Szpinalskiego, który wytykał, że przecież Termopilski miał sposobność w jego obecności stwierdzić defetyzm Hauke go. Sześć lat wojny !... Nie będzie zwycięzców !... Oto jakie ele menty są dopuszczane do naszych żołnierzy przez pupilków Ro sensteina.

Termopilski więc był spłoszony. Zapewniwszy Haukego ja wysoce sobie ceni jego odczyty, wyraził nadzieję, że ,,mistr który nigdy w wojsku nie był — wszak prawda ? — zechce zro zumieć jednak, że wojsko ma swoje wymogi. Jest tu w Rumun dużo oficerów oświatowców, do których należy to zadanie''.



Hauke ledwo odkrywszy tych ludzi, już został od nich o cięty przez lepki namuł kundli. Co mu tam Gibbon i Międz epoka — miał bliższą zagadkę przed sobą :

Behr, Rzewnicki, Pasik, Nowakowski, Ojrzycki, kpt. Pie

ewicz, ksiądz Wróbel — to byli Polacy, tak samo jak byli ni-
i Lubrzykowski, Termopilski, Szpinalski. Dlaczego Lubrzy-
owski, Termopilski, Szpinalski byli na górze? Czy tak się
żyło, że mieli wyższe kwalifikacje? A cóż za wyższe kwali-
acje od niego mieli Achilles, albo Estella Stock? Czy ta cała
ra taka? A może naprawdę Hitler miał rację, chwaląc w swo-
j mowie gdańskiej doły polskie i potępiając przywódców? Rze-
nicki i jego koledzy, podnosząc oczy pełne cierpienia, pytali
się stało, skoro oni walczyli? Dobijali się o rozwiązanie za-
adki ich ojczyzny. Hauke starał się mówić o warunkach geo-
olitycznych, o proporcji sił... Ale oni widzieli tylu oficerów ucie-
ających i nic z tego nie mogły wyjaśnić te mądre wywody. Co
a do układu geopolitycznego, że w najbardziej dramatycznych
wilach Lubrzykowski nie rzuca macherek finansowych, Termo-
ilski karierowiczostwa i Szpinalski intryg? Czyż można mówić,
 są oni przypadkowym produktem rządów w Angers? Prze-
ież równie dobrze pływali za sanacji?

Hauke przypomniał sobie, jak za czasów rewolucyjnych w
Mińsku, czekista badający oficerów rozbitej pod Zubcowem pol-
kiej „białogwardziejskiej" dywizji, rozpoznany przez jednego
oficerów jako były „ochrannik" (tajna carska policja), nie
mieszał się, tylko odpowiedział chełpliwie:

— A cóż wy myślicie? *My chodim za zwonkuju moniciu*
kursujemy jako waluta uniwersalna).

Przy wszystkich reżymach ten sam gatunek w warunkach
urazjatyckich robi karierę. Dlaczego w miękkości polskiej ten
am gatunek, kundli wiszących na przywileju, zawsze jest w gó-
ze? Lubrzykowski już podczas obiadu ze Szpinalskim lansował,
e za czasów premierostwa Witosa należał do ludowców (tu się
postrzegł: „grawitując do bardziej demokratycznych elementów
 stronnictwie"), tylko tak jakoś z zagranicy zapominało się
kładkę członkowską płacić, ale duchowo... naturalnie z korek-
ywą demokratyczną...

Co jest u Boga Ojca? Hauke nie mógł się wyznać między
ymi Polakami, zawsze w dziejach gotowymi na każdą ofiarę
 między tymi Polakami, którzy nimi rządzą.



Przyjechał nocą przed ponure gmaszysko *Hotel Ferdinand,*
nące w śniegach. Portier przekonany pięćdziesięciolejówką, że
wszem, znajdzie się wolny pokój, w tej ministerialnej kazama-
ie, wiódł go szerokimi, półoświetlonymi, pustymi jak bezna-
zieja korytarzami. Wielkie spękane płyty kamienne nie pokryte
ywanem przypominały wschodni karawanseraj. Pod wypaczo-
ymi drzwiami stały wypaczone buty dygnitarzy, ich połowic,
h kuzynek. Europejskie, mocno schodzone buty miały na tych
okruszonych flizach miny cierpiące, filozoficzne, niektóre dam-
kie pantofelki uroczo bezmyślne. Jakież sny śnią ci ludzie za
paczonymi drzwiami?

Hauke obudził się późno. Sięgnął ręką z łóżka do rolet: i pokój zalał ostry, słoneczny blask. Przed samym oknem jaka oszalała góra darła się w niebo i aż gryzła blaskiem śniegu Wykręcając mocno głowę, zobaczył gdzieś nad szczeliną międz górą a piętrami hotelu — błękitny skrawek nieba. Ubrał si szybko, bo była już dziesiąta. Mroźne powietrze, które buch nęło z okna, napełniło go rzeźką inicjatywą. Dobrze mu wojn zrobiła: mniej jadł, mniej czytał, więcej się ruszał, począł mie kłopoty, natknął się na ludzi. Spodnie na nim zwisały jak worel pomyśliwał czy by nie zgolić brody. Bał się jednak, że wraz z ni zniknie wszystko co jeszcze pozostawało z dawnego Haukego — zniknie na rzecz jakiejś nowowylęgłej larwy.

Otwierając drzwi zadał sobie pytanie: „Jak będzie wyglą dał pierwszy dygnitarz?"

— Kogo ja widzę, kogo?...

Witający tak kordialnie dygnitarz, aczkolwiek opuszczając Warszawę, upalnego piątego września, był ubrany jak na sezo w Chamonix: eleganckie futerko, pumpy, wełniane pończoch w skarpetkach wywiniętych na sportowe buty. I to radosn powitanie („I państwo zawitali na sezon? Co za urocze góry"...

Uroczy sezon tai w sobie jednak gryzącą tragedię. Spod na lotu pumpów i ptifurów i morel dla papugi — jak skała z któ rej ostry wiatr zwiał próchnicę, wyszła młoda twarda dusza lu dzi, którzy ongiś maszerowali z jednostrzałowymi Werndlam Nie wielu, nie wielu już ich tam było w tym rumuńskim kojcu a przecie jednak szlusowały do nich później narosłe ekipy.

Hauke ze swoją brodą był zaiste dzieckiem, przeleżał dwadzieścia lat niepodległości w łóżku. Jakże mógł spodziewa się, że ten rząd we Francji podniesie tych ludzi, postawi prze światem, powie: „Oni wyrażali wolę walki, którą podejmuj my". Oto pismo prezesa ministrów, gen. Sikorskiego n. og./Po -8/VI/39 skierowane w odpowiedzi na deklarację lojalności zło żoną nowemu gabinetowi przez ten dawny, na usiłowanie przeka zania tego co zostało, co wiedzą, czym mogą pomóc: aktywów ludzi.

„Wszelkie podnoszenie głosu przez rząd klęski narodow jest czymś nieoczekiwanym..." „Przebywające w Rumunii sfer rządowe w szerokim stopniu wykorzystały fundusze publiczne". „Będzie to przedmiotem specjalnych dochodzeń..."

Ci tak potraktowani ludzie zbierają się co dzień o 5-ej na t co z żartobliwym smutkiem nazywają „posiedzeniem Rady M nistrów". Prenumerują składkowo „Times'a" którego im tł maczy wiceminister Kwiatkowski. Analizują. Przypominają mogą przypomnieć, co może się jeszcze przydać. Dygnita w pumpach, który już znalazł możliwości wyniesienia się do B karesztu, mówi, że „oni" montują obronę rządów przedwrześni wych.

Premier tego eks-rządu stara się, całożyciowym nawykien zasunąć ręce za pas munduru. Ręce ślizgają się po kurcie, prz

robionej, dla taniości, z obciętego płaszcza, przemalowanej. Premier tego eks-rządu, któremu w tymże liście generała Sikorskiego zarzuca się nawet naruszenie zapasu wywiezionego złota, jest na pewno w tej swojej kurcie bliżej frantów obozowych przyszywających cywilne guziki i wymykających się by walczyć, niż tych pumpów przewidującego dygnitarza-turysty. I on chce walczyć, podaje się choćby za lekarza batalionowego. Jego następca mu odpowiada: ,,Nie mam tyle policji ani żandarmerii abym był w stanie uchronić Pana Generała przed zniewagami''.

Wobec czego — mogą myśleć o sobie. Może myśleć o sobie min. Świętosławski, na którego czeka katedra w Ameryce; żona została w kraju, już jej nie zobaczył, bo szła pieszo do Warszawy, nie chcąc jako prywatna osoba przyjąć benzyny i nie doszła. Jest to drugi biegun ,,Maciusia, który przyjechał z Warszawy''.

Odgrzebują zapomniane fachy. Potrząsają swymi teoretycznymi dyplomami prawnymi, lekarskimi. Jeden myśli o karierze w Hollywood dla ślicznego synka. Przewiedział się o najtańszy stateczek grecki z Pireusu, ale podczas kiedy już rozszalała się bezpłatna turystyka mas, nawet na ten stateczek nie staje pieniędzy. Fabricius, poseł niemiecki, już przebiera chciwymi paluchami, już ma tych ludzi, którzy stanęli wpoprzek niemieckiej woli. Będzie można ich skatować albo bezcześcić honorami.

Osiemnastu generałów mieszkających w trzystumetrowej uliczce, zamkniętej przez warty, nie ma swobody ruchów, więc odczyt Haukego w ich sali jadalnej zgromadził premiera, wicepremiera, ministrów, podsekretarzy stanu, dyrektorów departamentów i ich rodziny.

Przez okno w czasie odczytu bezczelnie zaglądali oficerowie rumuńscy. Zgasło światło. Hauke kontynuował przy migotaniu na prędce ustawionej świeczki. Wtedy ponownie zabłysło światło. Do sali wkroczył kapitan, adiutant dowódcy obozu i, nie meldując się nikomu, wezwał Haukego do pułkownika.

Hauke spojrzał na premiera, ale nic nie wyczytał w jego twarzy. Hauke chciał przystosować się do niepisanych praw, które wytwarza każde środowisko uwięzionych. Przeniósł wzrok na wicepremiera — pytał nim o instrukcję. Szedł wzrokiem kolejno po dygnitarzach — na próżno. Spuszczali kolejno wzrok — spojrzenie jego szło jak podmuch po świeczkach. Kiedy wzrok ostatniego zgasł, zrozumiał, że ma radzić sam.

Za czasów paryskiego Komitetu Narodowego popijał z Rumunami przybyłymi na zlot wersalski. Kiedy następnie król Ferdynand przybył do Polski z wizytą i posypał się grad orderów, Hauke był akurat na swym miesięcznym urlopie w Ziemiańskiej. Natknął się na adiutanta i otrzymał komandorię.

Wygrzebał ją teraz pośpiesznie z kieszonki na piersi i umieścił w klapie. Nie wiele to pomogło. Komendant, pułkownik powołany z rezerwy, nie przedstawiając się począł wrzeszczeć od progu, że bez jego zezwolenia nic można urządzać odczytów.

Powtórzyła się scena ze ,,wschodakami'' z traktu zaleszczyckiego. W Haukem zbudził się wielmoża z Korpusu Paziów. ,,Jak pan śmie'' — krzyczał. — ,,Czy pan rozumie, że ministrowie zaprzyjaźnionego państwa nie są więźniami? Co za bezczelność... Natychmiast zakomunikuję o tym w Bukareszcie...''

Kiedy wrócił i stanął za pulpitem, wszystkie oczy były wlepione z oczekiwaniem. Kiedy, zamiast wyjaśnień, począł kontynuować odczyt — rozległy się brawa.

,,Półwschodaki'' — przemknęło Haukemu (to ten Grunwald wszystkiego narobił).

Wieczorem przy obiedzie premier zamówił najmniejszą karafeczkę wina za dwanaście lei — równoważnik dwu centów. Wszystko co się zamawiało, płacił rząd rumuński; premiera to dławiło. ,,Kuchnia rumuńska jest tak ciężka'' tłumaczył — ,,że lampka czerwonego wina jest, po prostu, koniecznością. Był najszczęśliwszy, kiedy poszedł z rodziną do restauracyjki na najskromniejszy obiad za własny grosz, którego niemal nie miał. (,,Poważne sumy wypłacone dygnitarzom'' — pisał Sikorski...

— Ot co znaczy człowiek wolny — mówił do Haukego o perypetiach z odczytem. — Przyszedł i opanował sytuację.

Hauke pomyślał, że gdyby tu siedziały stare katorżniki — Piłsudski, Sławek, Prystor — nie przestawaliby się czuć wolni. W najcięższych więziennych warunkach narzucali swoim dozorcom niepisany status więźnia politycznego. Ale ta ekipa dawno już zeszła.

✦

Z rządu, który uniósł głowy do Rumunii palce niemieckie starannie wyłusknęły to co mogło być instrumentem dalszego oporu. I kiedy plebs sprzątnięto do Herculanum — naczelnego wodza i ministra spraw zagranicznych izolowano.

Beck siedział w złotej klatce luksusowego hotelu w Braszowa. Hauke go nie widział od czasów swego paryskiego lotu godowego w pierwszym roku niepodległości. Beck po kawiarniach nie siadywał, a czymże miał się legitymować Hauke? Dwudziestu latami wiców antypiłsudczykowskich? To jemu przypisywano wic o Sławku: bezrobotnemu, który nie był legionistą wskazuje krzaczek pod którym jest wyjątkowo smaczna trawka; to jemu przypisywano ukucie terminu ,,Trzecia Brygada'' na oznaczenie tych, co podszywają się pod legionistów; to jego były wice o radosnej twórczości, o pomylonych żonach dygnitarzy, o konwencji handlowej na mocy której wzamian za Curie-Skłodowską otrzymaliśmy od Francji Składkowską.

W recepcji hotelowej było aż trzech wygalonowanych portierów. Kartotekę prowadziła dziewczyna o szerokich ustach i szeroko rozstawionych oczach. Na wypełnionym formularzu portier bez żadnych uwag nad fałszywym nazwiskiem ,,Jan Hodur'' wpisał ,,Jan Hauke''.

Beck przyjął Haukego dobrze. W tym pół więzieniu był rzu-
ny w martwą ciszę. Jeśli jechał na wilię do znajomych Angli-
ów, to rząd rumuński nie pozwalał, by zostawał tam na noc;
śli wychodził na przechadzkę, szła za nim horda szpiclów nie-
ieckich, rumuńskich i sowieckich. Hauke w tych warunkach
awał się mikrofonem.

....

I teraz ten tu piłsudczyk niecierpliwi się na wzmiankę o linii
eneralnej. Hauke ocenił, że doszedł na strzał i ponownie za-
ytał:

— Czy pan minister liczył się z agresją niemiecką?

Minęła pierwsza po północy. Nie było innego sposobu spławić
iążliwego rozmówcy. Beck zatrzymał chodzenie po pokoju, sta-
ął przed Haukem i powiedział:

— Jeszcze na przełomie 1938 i 1939 sądziłem, że Hitler nie
a ostatecznej decyzji; że agresja niemiecka może pójść Duna-
m, na południowy-wschód Europy.



Płk. Cianciara, przyboczny lekarz marszałka Śmigłego-
ydza, zabrał się do badania Haukego. Kurcząc się pod doty-
iem zimnych słuchawek Hauke pytał, czy nie należałoby prze-
alić w piecu. Doktór tłumaczył oszczędnościami: Marszałek nie
odzi się, żeby Rumuni łożyli na jego utrzymanie, a należna,
edług konwencji haskiej, gaża jakoś jeszcze wciąż nie docho-
zi.

Rzecz działa się rankiem siąpliwego grudnia w górach pod
impolungiem w letniej tandetnej willi patriarchy Mirona, w któ-
ej trzymano Śmigłego. Dzięki łapówce doktór otrzymał zezwo-
nie przyjęcia swego byłego pacjenta.

Wszedł płk. Wenda prosząc na śniadanie. Herbata i chleb
masłem. Poszeptano — zjawił się ser, wyraźnie na intencję
ościa. Wenda mówi, że gdy raz kupili butelkę wina, które jest
Rumunii za bezcen, zrobiło to przykrość marszałkowi.

Po śniadaniu Hauke odbył rozmowę bez świadków.

Marszałek mówił z właściwym sobie ujmującym uśmiechem,
le Hauke wyczuł, że ten uśmiech schnie na ogniu. Mówił jak
o śmierci Piłsudskiego zastał stan mobilizacji grożący katastro-
ą, oparty na fikcji 46 dywizji, kiedy 30 dywizji było marzeniem
ie od spełnienia; nie było ani jednego działka przeciwlotniczego,
ni jednego pepanca z wyjątkiem gratów z 1920". „Jeszcze
czasie dni litewskich" — mówił „skóra na mnie cierpła".
osztorys najskromniejszych umocnień na zachodzie wynosił pół-
oraroczny całkowity budżet Polski. A przecież fortyfikowaliśmy
Vschód. Skromny plan dozbrojenia, niechby choć po sześć pe-
anców na pułk, puchł do trzech, czterech, wreszcie pięciu miliar-
ów. „Cóż miałem robić?" — podniósł na Haukego swoje wyra-
iste, pełne cierpienia oczy. — „Nie jestem fachowcem-ekonomi-
tą, Kwiatkowski mówił, że dalej iść nie możemy. Zebrałem

finansistów, orzekli, że nie nagrzebią więcej jak 180 milionów. Rzuciłem słowa, za które chcieli podawać się do dymisji...''

Marszałek, wzburzony, milknie. Za oknem po szybach ciekł nie brudna jesienna woda, za szybami stoi świat rozkisły i roz lazły, dostojnie tanie patriarsze fotele chłoną miarkowane prze mocą słowa, w których tai się krzyk.

Marszałek położył rękę na gazecie. Hauke przebiegł wzro kiem po tytułach : ,,Alianci dali jednorazowe zamówienie w Sta nach na sumę miliarda funtów''. To znaczy 25 miliardów zło tych Tyle co 25 lat naszych całkowitych budżetów wojennych! Wielki Boże !... Cóż tu pomóc mogło szarpanie się z bankie rami.

Marszałek znów zaczął mówić :

— Od wiosny częściowo mobilizowaliśmy, to jakże się bu rzono !... Jakie listy pisano do rodzin !... Trzeba znać nasz na ród : niecierpliwy, niewytrwały. Z grupy śląskiej miałem ponad tysiąc dezercji do Niemiec. Jak można było stale trzymać Polskę pod bronią ? I za jakie środki ? Przecież Niemcy mieli klucz sytuacji : właśnie wówczas by czekali, aż nas zje mobilizacja.

— Ale ją wstrzymano na dwa dni przed wybuchem wojny

— Bo sojusznicy drżeli, abyśmy nie zrobili czegokolwiek co by mogło być przez Niemców podane jako polska prowokacja

— A ich pomoc.

— Mieli uderzyć całą siłą.

— Gdyby nawet. Czyż nie liczyliśmy się, że broń pancerna nas zgniecie ?

— Muszę przyznać — mówi z prostotą marszałek, — : nie doceniałem aż tak dalece znaczenia broni pancernej. — P milczał : — Gdyby to taka wojna jak w 1920, to moglibyśmy się opierać.

— A Rosja ?

— Woroszyłow, po prostu narysował na mapie dwa szero kie korytarze, od północy z Wilnem, od południa odcinając nas od Węgier i Rumunii ; on mieli tam rządzić.

— Jakaż więc była koncepcja ?

— Jakąż koncepcję mieć można przy tym położeniu geopo litycznym ? Ale czy można było sączyć wątpliwości w naród który ma walczyć ?

— To łudzenie spowodowało dziką ewakuację.

— Za ewakuację odpowiadają władze cywilne.

— Oficerowie też ewakuowali się z żonami i betami.

— Oficerowie nie ewakuowali się z żonami i betami — mó z rozdrażnieniem.

— Oficer też nie był szkolony na to, że pozostanie w lin bez rozkazów.

— Rozkazy były do końca wydawane Hughesem i przez sa moloty.

Hauke, skonsternowany, zamilkł.

Wszedł mjr. Krzeczkowski prosząc na obiad. Menu iście żo nierskie : rosołek, kapusta faszerowana. Na niej — nie przyp

i przyłatał — leży parę kawałków mięsa. Zapewne podane *ad hoc* na intencję gościa, jak ten ser rano.

Jest zimno, willa cuchnie wyziewami. Nie ma nawet prymitywnej lokalnej kanalizacji.

Nic nie wiedzą, co się dzieje w świecie, nic nie wiedzą nawet o ocenach minionej kampanii. Kioski Rumunii są zawalone dziełem *Feldzug in Polen,* obficie dokumentowanym szkicami; w odległym o dwadzieścia kilometrów Kimpolungu, do którego jeżdżą kąpać się i do fryzjera, leżą te książki na wystawie — ale oni nic o tym nie wiedzą; w tymże Kimpolungu w kiosku sprzedaje się numer tygodnika niemieckiego „I.B." poświęcony tej kampanii, opatrzony 22 mapkami obrazującymi operacje dzień po dniu, ale i o tym numerze nie słyszeli; nie doszedł ich artykuł mjr. C.F. Eliot w *Life* (do nabycia w każdym kiosku rumuńskim), dający ocenę tej kampanii.

Wreszcie okazało się, że Śmigły nic nie słyszał o wywiadzie jakiego miał udzielić metropolicie w Czerniowcach. W tym wywiadzie naczelny wódz polski zeznawał, że postanowił skapitulować w drugim dniu wojny, ale mu na to nie zezwolili sojusznicy. Wywiad obleciał całą prasę, był też w *Bucarester Tageblatt*. Hauke gotów był przypuszczać, że, po prostu, ani marszałek, ani jego świta wolą o tym nie mówić. Ale wówczas Śmigły nie wzburzyłby się tak tą wiadomością.

Po obiedzie wszyscy przeszli na kawę i chałwę (najtańszy smakołyk rumuński). Tensja wynikła na skutek ujawnienia przez Haukego wywiadu emanowała z marszałka, udzielała się otoczeniu. Rozmowa szła jak po grudzie. Ponowny powiew przez ściany letniej willi przyniósł falę odoru z ustępu. Wymykali się jeden po drugim. Został tylko marszałek. Za pół godziny nadchodził samochód. Hauke, czując, że uchodzą ostatnie chwile, opuścił wzrok, skupiając się na najbardziej celowe pytania. W polu jego widzenia była jedynie dłoń marszałka. Dłoń ta, pokryta puchem gęstym jak futro, drżała zaciskając się kurczowo na rzeźbionej poręczy patriarszego fotela. Hauke podniósł wzrok i zobaczył twarz przeobrażoną, porytą cierpieniem.

Z ust marszałka wydobył się głos — drewniany, przeciskający się z trudem, jakby nie należący do niego. Ramiona pochyliły się, jakby na nie zadawał trzycentnarowy wór.

— Mówią... że jestem... tchórzem... że... uciekłem...

Haukemu pot skroplił czoło: przesilał się bezsilnie duchowo, by przyjść temu głosowi z pomocą.

— Mówią, że jestem tchórzem — Śmigły nabiera w siebie powietrza. — Miałem trzy rzeczy do wyboru — marszałek opanował głos — to było: walczyć, odebrać sobie życie, pójść do niewoli. Walczyć — nie miałem więcej jak pół kompanii, to znaczy skierować z pistoletami na czołgi sowieckie oficerów sztabowych, dorobek dwudziestolecia, teraz tak potrzebny. Odebrać życie — to znaczy stwierdzić przegraną. Lecieć do Warszawy?...

Wstrząsnął się:

— Za nic w świecie nie chciałbym dostać się do niewoli. Sądziłem, że wojska przejadą do Francji. Były nawiązane kontakty.

Ach ten nieszczęsny *Droit de Passage*...



Hauke siedział w poczekalni ambasadora.

Emigranci byli jakby na przetaku wojny — najprzód przepłynęli przez oka tego przetaku politycy, potem lotnicy, teraz szerokim chlustem, mimo wszystkich zastawek niemieckich — żołnierze. Zostawały fusy: ludzie starsi i piłsudczycy. Bo co do sanatorów — to był popyt na ich pewną kategorię. „Półwschodaki" szli „za zwonkuju monietu".

Włochy wypowiedziały wojnę, droga przez nie została odcięta, kombinowano inne i ludzie pozostali w saku rumuńskim poczęli się miotać jak ryby w odpływającej wodzie. Stąd i ponowny nacisk na ambasadę.

„Menjou" przyjął Haukego ozięble: po wizytach u ludzi Września nie można było mieć wątpliwości, że Hauke jest w samym oku spiskowego cyklonu zagrażającego Chrześcijańskim Liberałom. Przez poczekalnię biegli tam i z powrotem ci i owi do tego i owego, ale malarz, który przyszedł zaprosić ambasadora na szopkę, przestrzeżony przez „Menjou", że pan ambasador nie może mu udzielić więcej jak pięć minut — siedział już godzinę.

Hauke miał więc czas obmyślić dokładnie, jak skompresowanemu ambasadorowi wyłożyć sprawę w ciągu trzystu sekund, postawionych jako limit przez Menjou.

Książka spęczniała wielu rozdziałami, ale nie miał w Rumunii nikogo z broni pancernej, która przeszła na Węgry, ani z marynarki. Hauke, odcięty od informacji, starał się o wyjazd do Francji.

Kiedy wyjeżdżał z Dragoslavele, przed dom wyszedł za nim Śmigły, by jeszcze raz upewnić się, że Hauke rozmowy nie wykorzysta aż po wojnie. Wobec tego odpadała relacja i z rozmów z Beckiem i innymi ministrami. Hauke doznawał podświadomej ulgi, że okoliczności niezależne od niego pozwalają mu już tylko na „Obronę Częstochowy".

Bo i cóż znalazł w tych rozmowach? W Herculanum sporo kundlizmu, u Becka chciejstwo, a u Śmigłego?...

Hauke przecierał w palcach odbytą ze Śmigłym rozmowę. W dwa tygodnie po niej otrzymał od Marszałka obszerny list. Odsyłając rozdziały „Innej Twarzy Polski" wódz naczelny zdradzał wielką wrażliwość. Gorszył się, jeżeli oficer krytykował tchórzliwe zachowanie się wyższego wojskowego (nb. nie wymienionego z nazwiska), jeżeli inny oficer wzdychał, że im kazano bez strzału opuścić wypracowane pozycje itd. Wszędzie tam na marginesie widniały uwagi Śmigłego „to nie jego rzecz", a ustępy opisujące znużenie lub rozpraszanie się oddziałów obfi-

owały w zgorszone wykrzykniki i znaki zapytania. Zwykłe zdanie relacjonujące : ,,Gdzie dowódca armii przebywa, nie wiadomo, żadne rozkazy stamtąd nie nadchodzą'', uważał za ,,krzywdzącą insynuację''.

Z uwag tych przezierał żołnierz wysoko ceniący ,,morale'' wojska, ale całkiem zdawała się spływać obok niego świadomość tego, że istotnie Rzewniccy mieli prawo pytać ,,co się stało''.

Hauke, trawiony refleksjami, przestał repetować czekającą go rozmowę z ambasadorem. Tkwiła w nim myśl o samotniku z zimnej cuchnącej willi w Dragoslavele. Nie pchał się nigdzie — wywlekli go i ukrzyżowali. I teraz — kona samotnie.



— Pan ambasador prosi. Ale tylko na kilka minut — podleciał Menjou.

Z gabinetu wychodził właśnie malarz.

Ambasador był czarujący :

— Wie pan, zastanawiałem się, że styl pański, to jest rozlewność Victora Hugo wzięta w dyscyplinę wprost klasyczną Maupassant. A czy zna pan to wydanie ? — sięgnął do półki, ale nie znajdował.

Hauke skorzystał z chwilowego zamilknięcia dygnitarza i wpadł w zrobiony wyłom z przerepetowanym kawałkiem : że trzeba wydobyć z kampanii wrześniowej cały kapitał moralny; że, on, Hauke, nie zwraca się o żaden zasiłek... że ma wydawcę, który to puści i w obcych językach... Ale nie ma wielu potrzebnych źródeł... Uświadamia sobie, że go we Francji nie chcą ale mu trzy tygodnie tam wystarczy i wróci, choć nie ma co tu w Rumunii robić... Zobowiązuje się wrócić... O, niech pan ambasador patrzy (z uczuciem upokorzenia skonstatował, że ręce, którymi szukał w portfelu nieco się trzęsą), tutaj jest wiza powrotna, którą zdołał uzyskać od Rumunów, a u Francuzów można by zastrzec tylko wizę miesięczną, będzie więc wszelka gwarancja, że będzie musiał wrócić... Nie potrzebuje żadnych zasiłków na drogę.. I wróci...

Ambasador życzliwie położył mu rękę na kolanie :

— Drogi panie — pochylił się konfidencjonalnie — nie radzę panu tam jechać. Tych posadek jest we Francji tak mało... I tak marnie płatne !...



Duża sala poczekalni w prefekturze rumuńskiej. Ławy pod ścianami. Na ławach przetarty tłum ludzki : zapóźnieni żołnierze, ozdrowieńcy i ten ciągle odnawiający się młody zarybek przesiąkający z Polski. Przychodzą skamleć o wizę wyjazdową. Przetarte drogi do Francji zamknęły się. I ta ciecz ludzka w poczekalni prefektury stoi jak woda zaparta na nagle zamkniętych stawidłach.

Mknie czas na świecie, jakże mknie !... Dłuży się czas przed

zamkniętymi drzwiami do gabinetu prefekta, jakże się dłuży. I co mu powiedzą, temu prefektowi?

Fortunę zrobił pewien szofer garbusek, który stawał po wizę coraz to z papierami kogo innego. Kiedy już wreszcie się ,,spalił'' we wszystkich prefekturach Rumunii, poczęto sobie prokurować sztuczne garby. Ale i to się skończyło. Woźny prefektury macał garb, a wyczuwszy siano pytał: ,,Franca - bum... bum...?'' i wyrzucał za drzwi.

Szmery idą po ławach, ciche rozmowy, dzielenie się wieściami z kraju, pokazywanie sobie listów.

Te listy...

Pierwsze — to były karty do kraju, pisane sztywnym, kaligrafowanym pismem, by najmniej robić kłopotu panu cenzorowi, niewidzialnemu władcy, w którego ręku leży powiadomienie o życiu lub śmierci najbliższych. Zwykle po niemiecku: *Ich bin gesund...* och jakież brzemię odwalą te trzy słowa.

A potem przyszły wieści, że urzędy pocztowe rumuńskie są zawalone takimiż wyblakłymi kartkami z Polski, kartkami lakoniczniejszymi jak pozdrowienia z uzdrowisk, które niosły jednak w sobie dynamit.

Potem — pierwsze ośmieliły się dzieci. Mała Halinka pisała:

,,Mam dobry apetyt, byle flotki starczyło''. Matka dopisywała zmienionym pismem: ,,Ręce grabieją, nie mogę pisać''.

Listy nosiły po dwa, trzy, cztery numerki. Ludzie rozumieli, że przez tylu przeszły cenzorów, kurczyli się. Ale dochodziły wszystkie. Listy nosiły ślady maźnięcia odczynnikiem. Ludzie rozumieli, że cenzorzy poszukują tajnego pisma. Ale listy dochodziły wszystkie, serca się rwały. Aż chlusnął potok opowiadań, zwierzeń i zamierzeń, planów, zamiarów.

Początkowo ci z kraju ratowali się naiwnym kodem: *Unsere liebe Tante Akslop* (czytaj na odwrót) *wird noch gesund werden.* Okazywało się, że wszyscy Polacy mają znienawidzoną ciocię Gercię, którą chciejstwo widziało jako ciężko chorą i dwie umiłowane ciocie Anię i Franię, których oczekuje się z prezentami na wiosnę.

Geprüft geprüft, geprüft (*) stukały sinymi stęplami pieczęci cenzorów. Nie nastarczyli Volksdeutsche, poangażowano białych Rosjan, żywioł mniej zdyscyplinowany. Taki pan, zniecierpliwiony skargami jakiejś żony, że ,,tylko niekraszone kartofle jemy'', dopisywał ,,i kotlety'', a inny, na którymś tam tysiącznym liście donoszącym o chorobie Gerci, dopisał: ,,Gercia zdrowa i dobrze was za mordę trzyma''.

Nie wszystkie żony się skarżyły. Ta, która się podpisywała Dr. Z.O.Stan (zostań!...) wyrażała niezłomną wolę ogromnej większości.

Dla wiejskich chłopaków nie były dostępne arkana przemyślnych kodów. Na liście do jednego z żołnierzy, jego brat

(*) Zatwierdzone.

siemnastoletni osiłek, wywiódł niezdarnym pismem: ,,Tydzień temu rozpieprzyliśmy Szwabom ten mostek co podle Laskowa. ...le wkrótce to im się lepiej dostanie''. Następował podpis *pleno titulo* i dokładny adres. ,,Geprüft'' — pochwalał stempel cenzorski.



I wówczas zdarzyło się, że matka kuriera, który pojechał do kraju, otrzymała jedną z tych kartek, maźniętych odczynnikiem chemicznym, siniejących cenzorskim *geprüft;* u dołu tekstu stała maleńka cyferka 5.

Niepokój matczyny, wżerający się w bezmyślny zdawkowy sens, kazał wreszcie czytać co piąte słowo, z czego okazało się, że dwa opowiadania Haukego zostały wydane nielegalnie.

Hauke, dowiedziawszy się o tym, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Przedwojenne książki napisał tak jak gadał po kawiarniach. Storczyk kawiarniany nagle okazał się pożywką mas. Opowiadanie przeszmuglowane do kraju pisał już świadomie, szukając tego czytelnika z Urzędowa. I oto kartka przynosiła wiadomość, że po to, aby czytać to, co on Hauke, pisze, ludzie ryzykują życie. Jakto? — to więc jego pisanie jest potrzebne ponad chleb powszedni?

Roznosiło go, wpadł do Supera: że on już nie jedzie do USA. Amerykanin wzruszył ramionami. Niech robi co chce: wizę już ma, niech tylko pamięta, że wyekspiruje po czterech miesiącach.

Nie ukoił swego podniecenia u szlachetnego obcego człowieka. Mimo, że o tej porze było rojno w *Café Elisabeth,* poczuł się w pustyni.

Nagle zobaczył kościół i wszedł. Pusto było o tym czasie.

Kościół tonął w półcieniu. Hauke ukląkł na ławce i pochylił głowę. Tak go kiedyś uczyła matka, kiedy chłopczyk w świątecznym aksamitnym ubranku, z kryzą koronkową, klękał w kolatorskiej ławce. Wyobrażał sobie, że ręka matki delikatnie przesuwa mu się po włosach, że kościół wypełnia granie organów, że dosyć podnieść oczy, żeby zobaczyć tłum ludzki, tłum ludzki ten, którego nigdy nie znał, tych... z Urzędowa, z nudnych spółdzielni, przeraźliwie monotonnych śpichlerzy, z jałowiejących pól na których wiecznie coś tam nie obrodziło, z brudnych warsztatów, chropaciejących pordzewiałą blachą, ze sklepików, w których śmierdziały kwargle, z dróg rozkisłych, po których grzęzły skrzypiące wozy, bagienek kwaśnych, płachetków spiaszczonych, poszczerbionych garów, gnojówek za obejściem, wychodków w czynszowych obdrapańcach.

Na nich wszystkich spadł niemiecki gniot — i nagle jałowiejące pola rozzieleniły się pięknością marzenia; rdzewiejąca blacha błyszczeć poczęła; cuchnące wychodki owinęły marzanny, rumianki i ciemnozielone łopuchy, światło w nich grało przez wąską szparę, a w jego promyku ważyły się delikatne skrzydełka owadów; a drogi, drogi rozkisłe, wiodły w turkusowe hory-

zonty, w coraz otwierające się przestrzenie ojczyzny. Ludzie które w wyobraźni Haukego klęczeli i modlili się w ciemni kościoła, przeobrażali się w niej, jak i tamto wszystko, w ludzi wiernych, ludzi żarliwych, ludzi niezłomnych. Kiedy wyjdą z kościoła, podejdzie do nich ten blady chłopak, który matkę zostawił w Rumunii i podawać będzie, kolejno... jego broszurę Haukego, który pisał ją dla nich mając sześćdziesiąt lat życia. A oni z nabożeństwem brać będą sękatymi palcami te jego słowa jak rzecz poświęconą.

Hauke pochylił głowę i modlił się bez słów. Podniósł oczy na postać Chrystusa. Figura Chrystusa była z pomalowanego gipsu, ale esteta, cynik, agnostyk patrzył na rozdarty bok Zbawiciela i modlił się z szeroką ławą duchów.



Było daleko po północy. Hauke zesunął *Völkischer Beobachter* z kołdry na ziemię i zgasił naftową lampę. Nie mógł zasnąć.

Mieszkał we wsi rumuńskiej w bagnach Dunaju. Zsunął się na zasiłek, wypłacany przez Rumunów tylko mieszkającym na prowincji.

Matka bladego chłopca, który te opowiadania poniósł do kraju i tajnie drukował, napisała Haukemu, że syn jej został ujęty przy składaniu trzeciego opowiadania i powieszony na Pawiaku. List był rzeczowy i krótki i Hauke nie wiedział z tych równo biegnących liter, czy był wysłany jako oskarżenie, czy podparcie.

Te różne bodźce w pustce rumuńskiej wsi działały na Haukego, jak tryby działającej maszyny, które nie przenoszą energii, bo z maszyny zdarto transmisję. Na podłodze wraz z numerem *Völkischer Beobachter* zsunął się obszerny reportaż z życia ośmiopiętrowej kamienicy w Niemczech. Reporter organu hitlerowskiego, obchodząc ją od suteryn do poddasza, a więc niejako przez przekrój warstw o różnej stopie życia, wszędzie stwierdzał wytężony, celowy i zorganizowany wysiłek pracy dla zwycięstwa. Zwycięski naród nie zaniedbywał żadnej kruszyny ludzkiej. Hauke z upokorzeniem myślał, że mu ręce drżały, kiedy prezentował ambasadorowi rumuńską wizę powrotną, mając gwarantować, że nie wkluczy się do polskiego wysiłku, z ciężkim sercem przypominał plączące się słowa, mające w ciągu zastrzeżonych pięciu minut wyjaśnić, że o bilet nie prosi, że o zasiłek nie prosi, że jest niczym — pyłem, puchem, powietrzem, byle mu pozwolili pójść po odpowiedź dla Rzewnickich, po materiał dla bladego chłopca, obsługującego zakonspirowaną pedałówkę.

Pies wył gdzieś w rozlanym błocie ulicy i noc ciągnęła się długo do beznadziejnego dnia.

Melchior WAŃKOWICZ

Książki

Początki Rosji

Po przeszło stu latach rozkwitu, historycyzm europejski zdaje się należeć dziś do przeszłości. Mimo wzrostu liczby czytających, od dawna już żaden historyk nie posiada tak licznego i chłonnego audytorium, jakie miał Gibbon lub chociażby Mommsen. Już pierwsza wojna światowa odwróciła zainteresowania szerszej publiczności od badań historycznych. Wiele ośrodków badań i niezbędnych do nich wydawnictw nie podniosło się z upadku spowodowanego przez wojnę. Szersza publiczność zadawala się odtąd namiastkami : stylizowanymi życiorysami, zbiorami anegdot i mniej lub więcej spekulatywnymi ,,filozofiami'' lub ,,bilansami'' historii.

Powolny zmierzch historycyzmu nie jest tylko powierzchowną zmianą gustów i zainteresowań. Znaczenie tego zjawiska uświadomimy sobie, biorąc pod uwagę wpływ, jaki badania historyczne, socjologiczne i biologiczne wywarły na formację umysłową ubiegłego stulecia. Badania te ukazywały powolny i złożony charakter zmian jakim ulegał człowiek, będący produktem długotrwałych procesów przystosowania i eliminacji, powolnych zmian pojęć i obyczajów, a wreszcie zawiłych procesów historycznych. Projekty szybkiego naprawienia czy przerobienia człowieka przy pomocy przymusu wydawały się ludziom XIX wieku, wychowanym w tych dyscyplinach, mało przekonywujące i nie znajdowały wiary niezbędnej dla ich wprowadzenia w czyn. Dlatego też, mimo ostrości konfliktów i liczebności fanatyków różnego rodzaju, wiek ten minął na ogół w Europie bez masowych egzekucji, bez obozów koncentracyjnych i innych plag naszego stulecia. Historycyzm odegrał wybitną rolę w kształtowaniu się obyczajów epoki liberalnej i Europejczycy zawdzięczali mu jakąś nieuchwytną zapewne statystycznie lecz istotną część swego komfortu i *douceur de vivre*.

Mimo utraty znacznej części swej popularności, badania historyczne nie zostały zaniedbane. Całe nieznane przedtem roz-

działy przeszłości zostały wydobyte na światło dzienne, wiele utartych poglądów uległo rewizji. Cała ta praca dokonywa się w niewielkim stosunkowo kręgu wtajemniczonych i, co za tym idzie, bez bliższego związku z innymi dyscyplinami wiedzy i bez większego wpływu na pojęcia ogólne żyjących obecnie pokoleń. Sam jednak upór, z jakim historycy pracują nadal „bez świata oklasków", świadczy że historycyzm europejski nie jest jeszcze pogrzebany ostatecznie. Kto wie czy nie jest tylko śpiącą królewną? Z tym większym zainteresowaniem bierzemy do rąk każdą nową książkę historyczną mogącą wyjść poza krąg specjalistów i zostawić dobroczynny ślad na formacji umysłowej naszych współczesnych.



Do książek tych zaliczyć należy, ogłoszoną w połowie ubiegłego roku po angielsku, podstawową pracę prof. Henryka Paszkiewicza o początkach Rosji (1). Dzieło to obejmuje dzieje obszaru leżącego między Wisłą i Wołgą z jednej, a między Morzem Bałtyckim i Czarnym z drugiej strony, od IX do XIV wieku. Kośćcem jego są zagadnienia związane z początkami organizacji państwowej w Kijowie i Moskwie. Nieco szerzej, lecz w granicach konstrukcji ogólnej, potraktowane są w nim stosunki Polski z tym obszarem i początki Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Książka prof. Paszkiewicza skorzysta zapewne z aktualności, jaką posiadają w tej chwili na Zachodzie wszystkie sprawy rosyjskie. Z pochlebnych recenzji prasy angielskiej można wnosić, że ma szanse przeniknięcia także poza obręb czytelników zainteresowanych zawodowo słowiańskim średniowieczem. Do zdobycia szerszego koła czytelników dzieło to posiada kilka ważnych tytułów.

Obejmując w jednym tomie, poświęconych w dwuch piątych przypisom i indeksom, bardzo rozległy temat, autor daje nam obraz będący przeciwieństwem modnych od czasów Spenglera spekulatywnych panoram i bilansów historycznych. Historia nie posiada metody pozwalającej na schematyzowanie i uogólnienia; oddalając się od swego konkretnego tworzywa, od dokumentów i pomników, nawet w rękach utalentowanych autorów traci swą substancję i, zbliżając się niebezpiecznie do dywagacji i majaczenia, zostawia po sobie uczucie niedosytu i pustki. W odróżnieniu od tych wielkopostnych wzorów, książka prof. Paszkiewicza jest historią z krwi i kości, utkaną z niezwykle zwartego i bogatego materiału. Autor nie oddala się od swej dokumentacji, prowadząc nas krok za krokiem przez gęstwinę tekstów. Czytelnik ma złudzenia odbywania prawdziwej podróży w głąb wieków średnich, oglądania na własne oczy i dotykania ręką pozostałych po nich pamiątek. Lektura taka jest przygodą zostawiającą po sobie trwałe wspomnienie.

---

(1) *The Origin of Russia* by Henryk Paszkiewicz. London, George Allen and Unwin, 1954. Str. XII + 556 + dwie mapy. Cena 63 s.

The Origin of Russia ofiarowuje nadto czytelnikowi pewien stopień wtajemniczenia w arkana rzemiosła historycznego. Znaczna część tej pracy poświęcona jest odczytaniu na nowo tekstów średniowiecznych. Prof. Paszkiewicz robi to po mistrzowsku, a nawet z pewnym odcieniem wirtuozerii. W oczach czytelnika teksty na pozór mgliste zaczynają mówić językiem prostym i klarownym. Czytelnik jest tu w wysokiej szkole, z której wyniesie pewną umiejętność obchodzenia się z tekstami historycznymi i czytania krytycznego w ogóle.

Książka prof. Paszkiewicza posiada wreszcie wartość prawdziwej encyklopedii średniowiecza słowiańskiego, zawiera bowiem przegląd wszystkich źródeł i, jak mi się zdaje, najkompletniejszą bibliografię traktowanego przedmiotu. Doświadczeni czytelnicy znają wartość takich rzeczy, dodam więc tylko, że ten dział książki, obejmujący koło stu stronic, może być wzorem dla tego rodzaju publikacji. Poza bibliografią ogólną znajdujemy w nim skorowidz cytowanych źródeł oraz skorowidze cytowanych autorów, nazwisk, a wreszcie miejscowości i nazw etnograficznych. Z jakiegokolwiek powodu interesowalibyśmy się średniowieczem tej części Europy, książka prof. Paszkiewicza dostarczy nam w ciągu kilku minut poszukiwanej wiadomości lub wskaże najpewniejszą drogę do dalszych poszukiwań.

Streszczenie dzieła tak zwartego jak *The Origin of Russia* wymagałoby napisania nowej książki. Ograniczam się więc do jej opisu zewnętrznego.

Składają się nań część ciągła, obejmująca koło 330 stronic i 13 rozpraw luźnych, oświetlających poszczególne zagadnienia i wynoszących razem koło 120 stronic.

Część ciągła podzielona jest na 13 rozdziałów tworzących 4 grupy. W pierwszej autor omawia znaczenia słowa ,,Ruś'', nazwy i terytoria szczepów wschodnio-słowiańskich i ich stosunki z Polską. W drugiej omawia rolę Normanów w Europie Wschodniej. Trzecią poświęca wczesnej historii Litwy oraz porównaniu roli Litwinów i Normanów na terenie wschodniej Słowiańszczyzny. W czwartej wreszcie omawia historię szczepów fińskich osiadłych nad górną Wołgą i powstanie tam Wielkiego Księstwa Moskiewskiego.

Wyjątkowa rozległość i pewność wiedzy, szerokie wyzyskanie źródeł i przede wszystkim odczytanie ich na nowo dają autorowi możność oświetlenia wielu zagadnień dotąd nieprzejrzystych i zajęcia stanowiska w sprawach będących przedmiotem sporów

Do najpiękniejszych trofeów prof. Paszkiewicza należy wyjaśnienie znaczenia słowa ,,Ruś'', będącego kluczem do zrozumienia podstawowych dla tego okresu tekstów. Słowo ,,Ruś'' będące początkowo nazwą Normanów, używane było potem jako nazwa opanowanego przez nich terenu i oznaczała wówczas obszar Kijowa, Czernihowa i Perejasławla, a wreszcie używane było dla oznaczenia ogółu wiernych obrządku słowiańskiego. Różnorodność znaczeń, w jakich używano tego samego wyrazu, za-

ciemniała wiele tekstów średniowiecznych. Wyświetlenie tej spra wy przez prof. Paszkiewicza jest w swoim rodzaju arcydziełem analizy.

Autor poświęca wiele miejsca sprawom religijnym i ich wpły wowi na kształtowanie się oblicza kulturalnego i politycznego ludów Europy Wschodniej. Dowiadujemy się np., że Wielki Księstwo Moskiewskie powstało na terytorium szczepów fińskich których mowa znikła zupełnie z biegiem czasu. Język kościoła i dworu wypierały powoli inne języki.

Szczegółowo omówiona jest sprawa zasięgu obrządku sło wiańskiego. Do Polski obrządek ten przenikł z obszaru wielko morawskiego. Jedną z rozpraw umieszczonych na końcu książki prof. Paszkiewicz poświęca mało znanej sprawie metropolii ob rządku słowiańskiego, istniejącej w Polsce za Bolesława Chrobre go, Kazimierza Odnowiciela i Bolesława Śmiałego. Konflikt tego ostatniego z biskupem krakowskim ukazuje się tu w nowym świetle.

Jednym z głównych wątków książki jest sprawa normandz kiego pochodzenia Rurykowiczów oraz rola Normanów w naj wcześniejszej historii Rusi. Prof. Paszkiewicz zebrał tu ogromn materiały i przytłacza „antynormanistów" tak wielką masą wia domości i argumentów, że trudno im będzie wrócić do głosu.

W tym miejscu nie mogę się powstrzymać od pewnej uwag sceptycznej. Mam mianowicie wątpliwości czy istnieli kiedykol wiek prawdziwi „antynormaniści". Prof. Paszkiewicz cytuj wprawdzie ich całą listę, przytaczając ich pewne siebie i niecier pliwe głosy. O co tu jednak chodzi? Normandzkie pochodzeni książąt i carów zaczęło wydawać się niestosowne z chwilą gd Rosja stała się mocarstwem pretendującym do roli Trzecieg Rzymu; obce pochodzenie założycieli późniejszego imperium zda wało się pomniejszać zasługi i zdolności narodu wielkorosyjskie go, i usłużni badacze usiłowali naprawić ten *Schönheitsfehle* historii. Historiografia europejska jest jednak pełna takich inte resownych retuszów. W epoce wybujałych nacjonalizmów każd historyk musiał w jakiejś mierze przyczynić się do wyzłoceni przeszłości swego szczepu, do zamazania szpecących ją rzeko mo plam lub przynajmniej do wykazania bezpodstawności pre tensji do sławy szczepu sąsiedniego. Próżność ludów jest równi groteskowa, jak próżność dawnych arystokratów, wywodzącyc swój ród od Juliusza Cezara. Znający się na żartach czytelnic mieli jednak z historykami niepisaną umowę, w myśl której mog nie czytać rozdziałów poświęconych retuszom kosmetycznym a książki zbyt nimi obciążone mogli bez dalszej dyskusji wyrzu cać na śmietnik. Drażnienie próżności ludu nie popłaca nigdzi i może stać się rzeczą wręcz niebezpieczną w warunkach, w ja kich pracują historycy sowieccy, liczący w swych szeregach na zagorzalszych „antynormanistów". Kto jednak wie, co ci ostatn myślą na własny użytek? Jeżeli ich wywody wydają się pro Paszkiewiczowi tak mało przekonywujące, skąd wiadomo, ż potrafiły przekonać ich własnych autorów? Wątpliwości teg

›dzaju niemało zapewne przyczyniły się do niepopularności ksią-
:k historycznych u szerszej publiczności, nie rozumiejącej się na
ırtach i nie lubiącej na ogół ulegać mistyfikacjom. Osobiście
ajchętniej czytam historyków świata antycznego, którego dzieje
ają najmniej powodów do retuszów kosmetycznych.

Inną kwestią sporną, którą zajmuje się prof. Paszkiewicz
:st autentyczność *Słowa o pułku Igora*. Poświęca on jej jedną
luźnych rozpraw na końcu książki, wypowiadając się za apo-
ryficznością tego utworu.

Nie będziemy nigdy dość ostrożni w wyciąganiu wniosków
faktów historycznych, które są na to zbyt luźno między sobą
owiązane. Każdy np. wie, że wojny napoleońskie miały naj-
onioślejsze następstwa, dziś jednak, po upływie półtora wieku,
ikt nie potrafi powiedzieć, jakie współczesne nam fakty można
y uważać za odległe chociażby skutki tych wojen. Fakty histo-
yczne tłumaczą jedne drugie tylko na krótką metę i w ograni-
zonym zasięgu. Raz jednak ustalone, chociażby błędnie, żyją
ieskończenie długo w naszej pamięci, w aluzjach mowy potocz-
ıej, w metaforach poetów i stanowią wolny od rekwizycji kapitał
vyobraźni, do którego słusznym tytułem jesteśmy wszyscy mniej
ub więcej przywiązani. Bogaty materiał zebrany przez profesora
Paszkiewicza dostarcza niezliczonych przedmiotów porównań,
zestawień, zbliżeń i refleksji.

Oto np. opis Kijowa z 1018 roku, wyjęty z kroniki Thiet-
mara z Mereseburga : ,,To wielkie miasto i stolica kraju, o nie-
zliczonych tłumach ludu, opiera się dotąd razem z całą prowincją
zwaśnionym między sobą Pieczyngom, dzięki wysiłkom zbiegłych
niewolników, napływających tu ze wszystkich stron, i dzięki
szybkości Duńczyków''. Miasto opierające się jeszcze, wypełnio-
ne różnojęzycznym tłumem uchodźców napływających ze wszyst-
kich stron — tak samo, wyjąwszy Normanów, wyglądał Kijów
w 900 lat później, a być może i za wszystkich czasów.

Położenie Rurykowiczów w XIII i XIV wieku, między obcą
m ludnością miejscową i nienasyconą w swych wymaganiach
Złotą Ordą, pobudza również do różnych refleksji. Obce pocho-
dzenie książąt podkreśla ich *virtù,* jak by powiedział Machia-
velli, i dramatyczność sytuacji. Mimo że nie składające się z Wa-
regów, w takim samym położeniu znajdują się dziś rządy demo-
kracji ludowych, między niechętną ludnością i wymaganiami no-
wej Złotej Ordy. Historia się nie powtarza, ale sytuacje histo-
ryczne są wciąż do siebie podobne i czekają na nowego Floren-
tyńczyka, który z tych podobieństw i zbliżeń wyciągnie naukę.

W zakończeniu pragnąłbym dodać, że książka profesora
Paszkiewicza posiada szczególnie ujmującą szatę słowną. Według
tradycji średniowiecznej, duchy złe można było odróżnić od
dobrych przez to, że pierwsze mówiły *obscure et captiose*, dru-
gie zaś *clare et disctincte*. Wiele dokumentów średniowiecznych
przemawia do nas jak sam *Dagome judex,* językiem dwuznacz-

nym i ciemnym, wiodącym na manowce. Z codziennego trud odcyfrowywania tej gwary złych duchów i unikania ukrytyc w niej zasadzek, prof. Paszkiewicz wyniósł język o niezrówna nej prostocie i jasności, płynący tak łatwo i klarownie, że prze czytanie 450-ciu stronic jego książki nie wymaga żadnego wy siłku.

Paweł HOSTOWIEC

Dwie obrony kapitalizmu

Zagadnienie moralnego oblicza kapitalizmu było wielokrotnie poruszan w literaturze światowej, zwłaszcza po wojnie. Publikacje te wiążą się w ca łość z walką polityczną dwóch światów: kapitalistycznego, który ulega ewo łucji, coraz bardziej oddalającej go od treści dziewiętnastego stulecia, i ko munistycznego, który zastygł w formach „leninowsko-stalinowskich" i — p za Jugosławią, której ewolucji nie należy zresztą przeceniać — broni stat quo mimo oczywistych niepowodzeń w dziedzinie podniesienia stopy życio wej ludności bloku sowieckiego. Poniżej — kilka słów o dwóch książkach stanowiących obronę systemu kapitalistycznego.

Zbiorowa praca pod tytułem *Capitalism and the Historians* (Kapitaliz i Historycy) stała się wielkim wydarzeniem w światowej literaturze ekono micznej. Opracowana została przez pięciu wybitnych autorów. Ich nazwiska Hayek, Ashton, Hacker, Hutt, Bertrand de Jouvenal. Redaktorem całoś jest pierwszy spośród nich. Jest to praca historyczna, usiłująca rzucić świat na zaranie współczesnego kapitalizmu od strony pytania: czy było ono złe społecznym, za jakie je przedstawiają przeciwnicy kapitalizmu. Konkretn mówiąc, autorzy starają się wyjaśnić, czy słuszne jest szeroko rozpowszechnion przekonanie, że u kolebki kapitalizmu stoi straszliwie niska stopa życiowa r botnika, będąca punktem wyjścia moralnej dyskwalifikacji ustroju prywatn własności środków produkcji. Na pytanie to autorzy dają odpowiedź zdecydo wanie negatywną.

Twierdzą oni, że większość zarzutów, wysuwanych przeciwko wczesnem kapitalizmowi, powinna być kierowana pod adresem stosunków przedkapitali tycznych oraz że krytyka laiser-faire'yzmu jest niesprawiedliwa gdyż właściw „zło" kapitalizmu wynika z interwencji państwa i monopolu gospodarczeg Książka zmierza do udowodnienia że opinia, jakoby wprowadzenie kapitali tycznych form produkcji pogorszyło dolę robotników — opinia, datująca s z owych czasów — jest z gruntu fałszywa i bezzasadnie dziś, zdaniem pro Hayeka, powtarzana. Prawda polega bowiem na tym, że w stosunku d okresu przedkapitalistycznego stopa życiowa robotnika podniosła się. Autorz książki kwestionują również źródło atmosfery anty-kapitalistycznej. Zdanie ich bynajmniej nie robotnicy, lecz radykalni intelektualiści sfabrykowali lege

tę o ciemnej nocy, w jaką świat pracy został pogrążony w połowie dziewiętnastego stulecia.

Gdy czytelnik wnika w tok rozumowania autorów, sprzeczne myśli przychodzą mu do głowy w sprawie oceny książki. Pomijając to, że zawiera ona argumenty o bardzo różnej wartości dowodowej, uderza jej koloryt, miejscami niemal propagandowy, niezupełnie zrozumiały u autorów w profesorskich togach. Chodzi im o rehabilitację kapitalizmu w oczach współczesności. Ale jeżeli *trzeba* go rehabilitować, to nasuwa się pytanie, czy metodą prof. Hayeka *można* go rehabilitować ?

Że w początkach rewolucji przemysłowej warunki w przemyśle nie mogły być gorsze od warunków np. w rolnictwie, to rzecz jasna. Gdyby były gorsze, to nie miałby miejsca fakt przepływu siły roboczej z rolnictwa do przemysłu. Można twierdzić, że robotnik przemysłowy więcej zarabiał niż rolny. O ile jednak chodzi o przechodzenie pracowników rzemiosła do przemysłu, to sprawa nie jest tak prosta. Okoliczność komplikującą stanowi fakt, że proces upadania produkcji rzemieślniczej, pod wpływem konkurencji fabrycznej, zmuszał do opuszczania rzemiosła, a więc sam fakt przechodzenia do fabryk nie jest jeszcze dowodem, że zarobki w przemyśle były wyższe niż w rzemiośle. Nie jest również prawdą, że, jak twierdzą autorzy, narzekania na złą stopę życiową robotnika w okresie wczesnego kapitalizmu wychodzą z obozu ,,radykalnych intelektualistów'', jako ze źródła głównego. Inteligencja z pewnością odegrała wybitną rolę w szturmie na kapitalizm : ani Marx, ani Engels, ani Lenin, ani Stalin nie byli robotnikami. Niemniej jednak faktem jest, że w samej klasie robotniczej, nawet w tej jej części, która nie ulegała wpływom socjalizmu, rozlegały się na przestrzeni dziesiątków lat głosy daleko idących skarg na stopę życiową; nie mówiąc już o tym, że głosy te znalazły swój dramatyczny wyraz w tzw. ,,Niebieskiej Ankiecie'' przeprowadzonej przez parlament angielski. Rewolucja przemysłowa, rzecz prosta, *musiała* zapłacić cenę społeczną za osiągnięty postęp techniczny : jest to jedno z nieuchronnych praw, rządzących postępem gospodarczym. Problem rewolucji polega jednak na tym, aby cena jej opłacała się w rachunku historycznym. Nie może być wątpliwości, że w omawianym wypadku ta długofalowa opłacalność społeczno-gospodarcza istniała, mimo, że nędza całych pokoleń robotników w nowym ustroju była faktem niezaprzeczalnym. To była właśnie cena rewolucji. Toteż niezrozumiała jest atmosfera tej książki, wybielającej sprawę w taki sposób, jakoby *żadna* w ogóle cena społeczna zapłacona nie została. Jest rzeczą znamienną, że uczeni obrońcy kapitalizmu dali mu w rezultacie tak małą sumę poparcia historyczno-moralnego. Książka ta była pomyślana jako rehabilitacja początków kapitalizmu. Nie jest nią. Jest to nieprzekonywująca obrona, jaką nieraz się widzi w wystąpieniach obrońców z urzędu.

O wiele mądrzejsza jest książka pod tytułem *Big enterprise in a competitive system* (Wielkie przedsiębiorstwo w systemie wolno-konkurencyjnym), której autorem jest amerykański ekonomista *A.D.H. Kaplan*. Przeprowadził on długoletnie badania nad wielkimi przedsiębiorstwami amerykańskimi i ogłosił bardzo interesujące dane, które ,,oczyszczają'' kapitalizm z zarzutu antyspołecznej koncentracji kapitału, i to wbrew rozpowszechnionej opinii, która, właśnie w Ameryce, tym kraju olbrzymich zbiorników kapitałowych, upatruje uosobienie zła systemu kapitalistycznego.

Dowiadujemy się z tej książki, że przed pół wiekiem były w Stanach

Zjednoczonych cztery przemysłowe spółki akcyjne z aktywami ponad 200 milionów dolarów, a w roku 1951 było 15 spółek z kapitałem przeszło miliard dolarów, było też więcej niż dwa razy tyle spółek z kapitałem ponad pół miliarda. Cyfry te wskazują, że choć kapitały rosły, to jednak nie skupiały się w jednych rękach, a przeciwnie: rosła ilość posiadaczy wielkich kapitałów. A przy tym, i to równocześnie z powyższym procesem, ogólna ilość przedsiębiorstw rosła szybciej niż ludność, wzrastając z 15.4 do 17 przedsiębiorstw na 1.000 ludności. Cyfry te oznaczają, że przedsiębiorczość przemysłowa upowszechnia się w Stanach Zjednoczonych. Zmienia się też miejsce, które poszczególne wielkie przedsiębiorstwa zajmują w ogólnej hierarchii przedsiębiorstw. Tak np. z liczby 100 gigantów przemysłowych z roku 1909 po 40-tu latach tylko 36 zachowało swe dawne miejsce: jedne poszły ,,w górę'', inne ,,w dół''. Znaczy to że siła kapitałowa wielkiego przemysłu stale fluktuuje i nie koncentruje się w jednym ośrodku, a więc żaden poszczególny ośrodek nie może dominować nad życiem gospodarczym kraju. Autor stwierdza też, że dochód owych 100 gigantów w stosunku do ogólnego dochodu wszystkich przedsiębiorstw w ich dziedzinie produkcji wynosił 43.4 % w roku 1929 zaś tylko 30.1 % w roku 1948. Dane te świadczą, że ,,wampiry kapitalistyczne'' nie pożerały mniejszych przedsiębiorstw przemysłowych, jak to nieraz wysuwa się w nieścisłych twierdzeniach. W ten sposób zasadniczy zarzut, że wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe w U.S.A. zbliżają się do pozycji monopolistycznej, traci podstawę.

Do powyższych danych Kaplana dodamy tu jeszcze informację, zaczerpniętą z amerykańskiego pisma *Time* co do urzeczywistniania w U.S.A. zasady udziału pracowników najemnych w zyskach przedsiębiorstw kapitalistycznych. Przed 40-tu laty tylko 60 przedsiębiorstw amerykańskich dopuszczało swych pracowników do udziału w zyskach. Pod koniec 1954 roku takich przedsiębiorstw było już 8.000, a co miesiąc przybywa ich 200. Np. firma *Eastman Kodak* przeznaczyła niedawno 28 milionów dolarów jako dywidendę dla swych pracowników czyli ponad 500 dolarów dla każdego z nich. Oprócz tego widzimy w U.S.A. proces upowszechniania się własności przemysłowej poprzez nabywanie drobnych akcji przez świat pracy.

Powyższe dane niewątpliwie świadczą o istotnych zmianach, które zachodzą w charakterze amerykańskiego kapitalizmu. Zmiany te zaznaczają się w Stanach Zjednoczonych już od początków 20-go stulecia. W książce pod tytułem *The Big Change* (Wielka przemiana) *Frederick Lewis Allen* przedstawia proces i treść doniosłej transformacji gospodarczej, jaka zaszła w okresie 1900-1950. Proces ten trwa i coraz bardziej pogłębia się. Nie ulega kwestii, że olbrzymiemu postępowi technicznemu Ameryki towarzyszy poważny proces stopniowego przekształcania się jej struktury socjalno-gospodarczej.

Stanisław ZARZEWSKI

Chyba jednak ku pokrzepieniu serc...

Opisując bitwy, po obiedzie, emerytowani pułkownicy zwykli posługiwać się wykałaczkami. Tu my, tam nieprzyjaciel, a ten widelec to artyleria. Uczestnikom obiadu wszystko wydaje się jasne. Inaczej bywa z uczestnikami bitwy. Czym jest Waterloo dla Fabrizia Del Dongo? Kolorowym zamieszaniem, niezrozumiałym wirem, w którym przestaje on rozpoznawać wiarusów z Gwardii od pruskich Dragonów. Skłaniałem się zawsze ku teorii że bitwy w ostatecznej postaci (strategia, składane mapy z kwadracikami i czerwonymi strzałkami) są wymysłem sztabów, które po ogólnym chaosie chybcikiem przygotowują materiał dla historyków. Stąd dwie wersje bitwy: nasza i nieprzyjacielska.

Janusz Jasieńczyk wybrał kompromis: w ,,Słowie o Bitwie'' trzyma się zarazem metody Stendhala i metody sztabu operacyjnego. Po bitwie pod El Ain, w której Karpatczycy rozpoznają Gazalę ,,Jasieńczyk'' (narrator występuje pod nazwiskiem autora) znajduje się w szpitalu. Jest tu dowódca jego plutonu podporucznik Bylicki, jest malarz Turkułł, jest Białorusin, podchorąży Janka Miłkojć, jest kmicicowy Darski z kariersów, jest pianista Norden, jest kilku inteligentnych ,,mecenasów'' z podchorążym Lasockim na czele, jest wielu innych. Jest także ,,sztabowe oko'' autora, dziennikarz Szubert, który widział całą bitwę dokładnie z P.O. dowódcy baonu. Wszyscy opowiadają, Jasieńczyk słucha:

,,Zamknąłem oczy. Zbudzone opowieściami kolegów, wstaje we mnie El Ain. Poszczególne fragmenty, znane przedtem i usłyszane dzisiaj szczegóły, wycinki akcji, migawki z różnych miejsc i czasów — układają się w głowie, splatają jak dzikie wino wokół łączącej je w całość kolumny: relacji Szuberta''.

Szpital — opowieści rannych — jest terenem na którym wyrasta i odtwarza się bitwa. Z kolei bitwa — wspomnienia, dygresje jej uczestników — jest terenem na którym wyrasta i odtwarza się przedwojenna Polska. Jasieńczyk żywo i przejrzyście operuje swoją metodą. Bitwę pod El Ain widzimy jak w skomplikowanym, ale świetnie wyreżyserowanym filmie. I, jak w filmie, raz po raz rozpływa się we mgle głowa żołnierza który właśnie opatrzył ranę: a z mgły wyłania się wieś białoruska, warszawska redakcja, drewniany meczet w Dowbuciszkach.

Najlepsza powieść o wojsku polskim na zachodzie w ostatniej wojnie — oczywiście. Ale to jeszcze niewiele. ,,Śladem Bosej Nogi'' przeszedłem zaledwie kilka stron, wnet przygwożdżony nudą i irytacją. Powieść kochanego Mietka Eizenmana, w której bodaj figuruję obok innych kolegów z I Dywizji Pancernej była rodzajem ,,private joke'': pierwszy podkpiwał z niej sam autor. Jakże ubogi plon z sześciu lat, z dziesięciu bodaj krajów, z sześciu bodaj frontów!

Przy tym ,,Słowo o Bitwie'' jest mi bardzo bliskie, ,,sympatyczne''. Nie ma chyba opinii Jasieńczyka w tej książce z którą bym się w takiej czy innej formie nie zgodził kiedy służyłem w wojsku. Mamy tu pewną sumę opinii ,,politycznych'', stosunku do wojska, swoistych przesądów nawet, które łączyły od Coëtquidan do Narwiku i Tobruku i od Szkocji do Falaise i Wilhelmshaven pewien gatunek ,,liberalnych'' podchorążych, cenzusowców, młodszych oficerów rezerwy. A więc nienawiść do polskiego ,,kołtuństwa'' i płynąca stąd niechęć do endeków. Obrzydzenie do sanacyjnego i ozonowego ,,tromtadractwa'' i palący wstyd na wspomnienie Berezy i ,,mocarstwowości''. Wstręt do endeckiej i sanacyjnej polityki mniejszościowej i stąd nieokreślona życzliwość do Białorusinów, Ukraińców, Litwinów. Chciałbym móc powiedzieć ,,do Żydów'', ale ta, mimo hitlerowskich rzezi, była niestety rzadsza. Martwi mnie, że Żydem w powieści Jasieńczyka jest łaps Czartkiewicz (choć mamy też sympatycznego Mechela). Bo w tej ,,podchorążackiej'' wizji świata dużo miejsca zajmowała pogarda dla ,,łapsów''. Idźmy dalej : niechęć do zawodowych oficerów z pewnymi wyjątkami dla inteligentnych i nowoczesnych dowódców (stąd w tej grupie popularność generałów Kopańskiego i Maczka). Oczywista i bardziej niesprawiedliwa pogarda dla ,,zupaków''.

Jasne że tego rodzaju światopogląd jest na pozór dość daleki od tego ,,polrealizmu'', który Józef Mackiewicz tak słusznie zestawia z socrealizmem. A jednak, jeśli zawiodła mnie książka Jasieńczyka, to właśnie dlatego, że jest w niej za dużo sentymentalizmu, zą dużo nut dydaktycznych, zbyt duże przywiązanie do własnego odbicia w lustrze historii. Ten niemiecki oprawca, w dziecinnie psychoanalitycznej wersji spoliczkowany przez piękną Polkę (chyba ,,Panią Sapowską'')... Ci bohaterzy pozytywni i negatywni... Nie chciałbym być źle zrozumiany. Jasieńczyk jest oczywiście inteligentnym i uczciwym pisarzem. Nie mamy tu do czynienia z żadną prymitywną ,,sztancą''. Nawet obrzydliwy eks-legionista Cios — De Chitry ma w sobie resztki szlachetności. Nawet łaps Obcas — przynajmniej w ramionach Wandzi — ma podrygi człowieczeństwa. Jeśli jest w powieści Jasieńczyka pewien ekwiwalent socrealizmu — to już po dobrej odwilży. No i odcień dydaktyczny jest ostatecznie osobisty, na niczyją komendę, to dość zasadnicza różnica. Nie ma w tym konformizmu (chyba że konformizmem nazwiemy pewien społecznie łatwy do przełknięcia antykonformizm).

Jasieńczyk poświęca swą powieść Józefowi Wittlinowi, ,,autorowi Powieści o Cierpliwym Piechurze''. Jestem pewien że ,,Sól Ziemi'' jest mu równie bliska jak mnie. Ale nie odnajduję w ,,Słowie o Bitwie'' tego uniwersalizmu, tego równego ludzkiego oddechu, który odkryłem niedawno na nowo odczytując Wittlina. W tak szerokim fresku nie ma oczywiście miejsca na głębokie odtworzenie pojedyńczego człowieka (choć Jasieńczyk daje szereg bystrych psychologicznych szkiców). Nie chodzi tu też przecież chyba o reportaż z bitwy, o jej ,,vie romancée'', o powtórzenie na mniejszą skalę i z techniką powieściową wańkowiczowskiego ,,Monte Cassino''. Mieliśmy wobec tego prawo oczekiwać od Jasieńczyka, że potrafi wydobyć sens — czy bezsens — pewnej historycznej sytuacji. Udział wojska polskiego w ostatniej wojnie na frontach zachodnich, dał sytuację historyczno-psychologiczną niezmiernie złożoną. Wiele tu kontrastów, sprzeczności, fałszywych haseł, samozakłamania. Stąd u tych żołnierzy mieszanina idealizmu i cynizmu. Wstępowały do wojska często ,,lwowskie orlęta'', kończyli wojnę zmęczeni

-echnicy broni pancernej. Jasieńczyk wyczuwa tę atmosferę, daje nam pewne jej elementy. Ale nie wyciąga ostatecznych wniosków, nie szuka sedna tragedii. Mimo jego świadomego stosunku do polskości, „Słowu o Bitwie" hadał patronują Skrzetuski, Wołodyjowski, Pan Longinus... Rozterka ta ma atalne skutki: wypływa z niej najsłabsza, ostatnia część książki, niepotrzebna i abstrakcyjna gawęda o bohaterstwie, nadająca się do felietonu w „Orle Białym", a nie do powieści o podobnie żywym zacięciu. Bo, że „bohater" to nie tylko waleczny żołnierz, ale i Edward Jenner i Ojciec Beyzym i wielu nieznanych, skromnych ludzi — o tym wie już choćby z „Serca" De Amicisa nawet Cios-De Chitry, nawet chorąży Obcas.

Jasieńczyk nie tylko wydał ale napisał swą książkę dzięki subskrypcji. Zapewna część emigracyjnych czytelników wiedziała z góry, że od autora „Waltera 7.65" można oczekiwać w każdym razie powieści żywej i zajmującej. Sam fakt jest jednak znamienny i pocieszający, zwłaszcza wobec narzekań na emigracji i „Schadenfreudy" pewnych reżymowych publicystów na temat naszej sytuacji wydawniczej. Tym bardziej, że przeszło połowa subskrybentów, którzy podali autorowi swój zawód — to robotnicy i rzemieślnicy.

KAJ

"Listy o ludziach"

Polska jest odcięta od zachodniej kultury, trzeba nieść do Polski zachodnią kulturę, jesteśmy krajem zachodniej kultury, uchodźca będzie ambasadorem zachodniej kultury: powtarzają się te slogany do znudzenia w przemówieniach emigracyjnych ministrów. uchwałach komitetów, artykułach w emigracyjnej prasie. I rzeczywiście pisujemy o Eliocie i Mauriacu, o Malraux i Hemingwayu. Czasem wydaje mi się że ta „zachodnia kultura" jest jakby przedłużeniem dobrego wychowania. Rybę je się widelcem, do baroneta mówi się „Sir John", najlepsza bouillabaisse'a u Pruniera, koszule na miarę na Jermyn Street, „Brideshead Revisited" to śliczna książka. Kultura zdobi, mebluje, zastępuje osobowość, jest dekoracją jak Polonia Restituta, tytuł hrabiowski czy dobrze skrojone ubranie. Czy i jak myśl ludzka zmienia obraz świata, co wydobywa z mroków, jakie zakorzenione w nas iluzje odrzuca — pisze się o tym na emigracji niemal równie mało jak w Polsce. Sięgamy najwyżej do Bertranda Russella i Arnolda Toynbee: dziwnym zbiegiem okoliczności ci dwaj uczeni, których tak mało łączy, stali się patronami polskiego intelektu na obczyźnie.

W *Listach o Ludziach* (nakładem „Myśli Polskiej", Londyn, 1955), Wojciech Wasiutyński wykracza poza utarty szlak „kulturalnej lektury". Jest to zbiór szkiców, drukowanych w „Myśli Polskiej". W każdym z nich punktem wyjścia jest „nowa" książka (wydana po drugiej wojnie światowej). Ale autor stosuje też głębsze kryterium „nowości". Interesują go pisarze którzy zmieniają nasze pojęcie o świecie i o człowieku, którzy wykraczają poza przekazany nam przez XIX wiek utarty schemat w którym materializm,

idealistyczna konwencja i formalny moralizm współistnieją na różnych poziomach, powodując rozbicie wewnętrzne świadomości. Wasiutyński obserwuje z ciekawością i z nadzieją rozwój „neohumanizmu" który ostatnio na tak różnych polach zadaje kłam banalnemu twierdzeniu, że współczesna cywilizacja sprowadza się do kultu techniki z jednoczesnym zaniedbaniem człowieka. Jako katolik. stara się on oczywiście włączyć te nowe sformułowania do wizji świata zgodnej z doktryną Kościoła. Katolicyzm jest zresztą nie na próżno synonimem uniwersalizmu: żadna chyba doktryna religijna nie jest — na najwyższym poziomie — równie otwarta i równie chłonna. Już przez to samo wiele „pozytywnych" wniosków Wasiutyńskiego budzi we mnie oczywiście sprzeciw. Z szeregiem jego interpretacji nie mógłbym się zgodzić. Ale każdy z jego szkiców coś wnosi, coś obala, czymś wzbogaca. Widać z samego układu książki (człowiek „sam w sobie", człowiek w historii, człowiek w społeczeństwie i człowiek wobec wszechświata i bytu) jak te szkice, drukowane w czasopiśmie, układają się w zrównoważoną i logiczną całość. Wasiutyński wybrał formę „listu": odpowiada ona doskonale jego żywemu stylowi, bystrej inteligencji (która nieraz najciekawsze uwagi wprowadza „nawiasem") i intencji dydaktycznej — oto rzadki pisarz który chce i potrafi być zrozumiały dla wszystkich swoich czytelników, nie upraszczając zbytnio problemów i nigdy ich nie zniekształcając. Do najciekawszych „listów" należą, moim zdaniem, te które Wasiutyński poświęcił problemom antropologicznym: w nowej antropologii widzi on słusznie jeden z głównych kluczy do poznania człowieka. Ale także i socjologia, ekonomia, biologia, filozofia, parapsychologia, fizyka, filozofia są dziedzinami po których spaceruje Wasiutyński z Huizinga, Kinseyem. Julianem i Aldousem Huxleyami, Jensem, T.H. Marshallem, Thibonem, Tyrrellem, Trillingiem... Bogata, ciekawa i potrzebna książka.

KAJ

Notatki wydawnicze

Mało książek, w ciągu ostatnich trzydziestu lat, otoczonych jest podobną aurą prestiżu i tajemnicy jak „The Mint" T.E. Lawrence'a. Wiadomo było że płk. Lawrence, po wstąpieniu do brytyjskiego lotnictwa w roku 1922 jako zwykły żołnierz pod przybranym nazwiskiem John Hume Ross, nie przestał pisać. Powierzył on rękopis wstrząsającego, podobno, pamiętnika ze swej służby wojskowej swemu dawnemu wydawcy. W roku 1928 pisał do swego przyjaciela Forstera, autora „The Passage to India", że wzdraga się przed wydaniem pamiętnika z powodu „zgrozy którą odczuliby ci którzy służą ze mną w lotnictwie gdyż 'zdradzam' ich kiedy nie mają się na baczności... „The Mint" nie ukaże się przed rokiem 1950. Po śmierci Lawrence'a wydano „The Mint" w kilku zaledwie egzemplarzach, w Ameryce, w roku 1936. Do szerokiej publiczności dotarła ta książka dopiero po wojnie. Ukazuje się teraz po francusku w świetnym tłumaczeniu Etiemble'a (*La Matrice*, Gallimard, 1955).

,,The Mint'' — to mennica. ,,To mint'' — to bić monetę. Z różnych ludzi, jak z różnych metali, wojsko stwarza podobnych do siebie, wymiennych żołnierzy. W samym tytule swej książki Lawrence wprowadza nas w sedno swego problemu.

Wielki awanturnik i wielki pisarz, człowiek czynu i introspekcji, Lawrence, jest po dziś dzień przedmiotem zażartych kłótni. Bohater i patriota? Ostatni wielki romantyk? Mitoman? Mazochista? Prorok faszyzmu? Mistyk? ,,The Mint'' dostarczy argumentów zwolennikom szeregu z tych tez. Anonim bohatera po ciężkim przejściu: Manfred, Lara. Piewca wspólnej myśli, wspólnego czucia, który daje szereg, oddział, marsz: faszysta. Upodobanie w najbardziej bestialskiej mustrze, w najbardziej ogłupiających czynnościach: mazochista. A głębiej może, potrzeba wyjścia z samego siebie, porzucenia osobowości poprzez tę ascezę: a więc jednak może mistyk.

,,The Mint'' jest wielką książką, może właśnie dlatego, że nie znajdujemy w niej ostatecznej odpowiedzi na te pytania. Lawrence opisuje szczerze, prosto, brutalnie, ale bez cienia pozy, codzienną rutynę baraku. Dramat wewnętrzny autora pozostaje tajemnicą. Ale nadaje dziwny blask i dziwną wymowę każdemu szczegółowi. Trudno tę książkę ,,ocenić'' i ,,zrozumieć''. Ale jestem pewien że można ją ,,przeżyć'' mimo że czuję się w tym wypadku dziwnie nieodpowiednim aparatem odbiorczym.



Raymond Aron należy do najinteligentniejszych i najtrzeźwiejszych analityków współczesnych zagadnień społecznych. Filozof, historyk i ekonomista, umysł równie subtelny i wnikliwy jak Sartre, z którym założył po wojnie ,,Les Temps Modernes'', Aron różni się od Sartre'a cechą rzadką u intelektualisty: zdrowym rozsądkiem. *Polémiques* (Gallimard, 1955), to zbiór szkiców Arona poświęconych trzem centralnym zagadnieniom: bankructwa rewolucji społecznych; ekonomicznych i społecznych realiów, dających obraz świata odmienny od tego który chcemy widzieć poprzez pryzmat ideologicznych schematów; i wreszcie wielkiej schizmy ,,progresywnych'' intelektualistów. Ten ,,antykomunista'' demaskuje największe zakłamanie historii nie deklamując żadnych banałów o ,,ideałach wolności'', ,,wolnym świecie'' i ,,chrześcijańskiej cywilizacji''. Aron jest sceptykiem i pesymistą. Wierzy w konieczność wyboru mniejszego zła. Nie ma książki która by była równie przykra dla sympatyków komunizmu: Aron jest wolny od nienawiści i tylko z nieubłaganą logiką wylicza sprzeczności, nonsensy, przeprowadza analizę psychicznych kompleksów i intelektualnych snobizmów przeciwnika. Ale jednocześnie, ta ,,polemika'' może oddać prawdziwą usługę ciasnym ,,antykomunistom'': choćby pozwalając im zrozumieć motywy przeciwnika.



,,Pastiche'' bywa zwykle tylko popisem zręczności. W najwyższej formie (jak u Prousta) może być lekcją literatury. W *Les Morot-Chandonneur* (Plon 1955), Philippe Jullian i Bernard Minoret połączyli dowcip i literacką erudycję z socjologicznym rzutem oka na francuską burżuazję. Od Stendhala do Marcel Aymé, trzydziestu trzech francuskich pisarzy, spastiszowanych przez Julliana i Minoreta opisuje wzrost, wielkość i upadek jednej z ,,dwustu

rodzin". Nie znam książki która równie trafnie wprowadza cudzoziemca, mimo karykatury, w sedno zmiennego i nieuchwytnego klimatu, na który składają się alianse, moda, obyczaje, kursy giełdowe i ideologiczne snobizmy, klimatu niesłusznie lekceważonego przez pewnych historyków, gdyż ma on nie mniejszy wpływ na losy kraju od iewolucji i konstytucji.

Od Abbé Morot, który wyrósł na Wielkiej Rewolucji i umarł jako hrabia Pierwszego Cesarstwa, poprzez jego wnuka, założyciela „Crédit Arabe" aż po ambasadora Morot-Chandonneur, członka Akademii, męża pięknej aktorki Gaby Forsaix i jego syna, który w roku 1943 zmienia nazwisko na „Moreau" i wstępuje do partii komunistycznej, historia tej rodziny odzwierciadla się w najbardziej różnorodnej formie: tyradzie historycznej Micheleta, sztuce Feydeau, świetnym liście Prousta, jadowitym „hołdzie" Mauriaca w „Figaro" po śmierci ambasadora, przedmowie Malraux do wystawy współczesnych obrazów z kolekcji panny Blanche Morot-Chandonneur...

Philippe Jullian, jeden z autorów, jest także świetnym rysownikiem: ilustruje on dzieje tej rodziny pastiche'ami portretów malowanych przez Vigée Lebrun, Ingresa, Maneta, aż po Dali i Dubuffeta. Książka która zabawiłaby Boya!



Wspomnienia z dzieciństwa są materiałem literatury najłatwiejszym i najtrudniejszym. Najłatwiejszym — bo niemal każdy może z nich wydobyć tę świeżość spojrzenia, którą niszczy dopiero skorupa społecznego banału. Najtrudniejszą, bo zbyt często w grę wchodzi sentymentalizm, pępowina łącząca dorosłego z dzieckiem którym był kiedyś. W *Virginales* (Julliard, 1955) — swej pierwszej powieści — Maurice Pons daje nowele o dzieciństwie magicznym i zmysłowym. Dzieciństwo jest swoistym krajem, odrębną epoką, wykracza poza geografię i historię. Ci synowie, te córki bogatych kolaborujących „bourgeois" z okresu ostatniej niemieckiej okupacji Francji mają dużo wspólnego z miłoszowym Tomaszem. A jedna z nowel jest mniej tragiczną wersją „Nauczyciela" Iwaszkiewicza.

(j)



„Złytoptak", Roger Peyrefitte, kala drugie „własne gniazdo" z kolei. Były dyplomata poświęcił „Karierze" dwie złośliwe książki. Były wychowanek jezuitów stosuje w *Les Clés de Saint-Pierre* (Flammarion 1955) tę samą metodę do Kościoła Katolickiego. Ściślej mówiąc, do Watykanu i Kurii Rzymskiej. Tę samą metodę, nie tylko mieszając bez chwili wahania fakty i fikcje, nie tylko przypisując prawdziwym kardynałom — jak w „Ambasadach" prawdziwym ambasadorom — rozmowy z wymyślonymi przez siebie bohaterami reportażowej powieści. Peyrefitte okazał się wobec Watykanu równie perfidny jak wobec Quai d'Orsay. Lubię i szanuję dyplomację kocham jej tradycje — wydawał się mówić w „Ambasadach" — cóż z tego że tyle w niej draniów i osłów? Podobnie, w „Kluczach Św. Piotra" autor co krok zapewnia czytelnika o swym szacunku dla Kościoła, dla jego tradycji, niemalże o swoim przywiązaniu do religii... Dlatego właśnie książka Peyrefitte'a na pewno zirytuje monsignorów. Ataki nienawistne, ataki wolteriańskie, oszczerstwa komunistów, kpiny masonów, drwi-

ny protestantów — to dla Kościoła chleb powszedni. Niestety książka Peyrefitte'a do złudzenia przypomina — z lekka tylko przeciągając strunę — rozmowy bardziej sceptycznych i śmiałych rzymskich prałatów, czy członków papieskiego „Domu". Łatwo sobie wyobrazić wrażenie. To tak jakby niezbyt kochająca się rodzina rozstrząsała przy stole sprawy niepokrytego wekslu wujaszka, skandalu z ciocią, a nazajutrz przy śniadaniu czyta to samo w gazecie... Peyrefitte przez kilka lat cierpliwie wyławiał wszystkie rzymskie plotki. Na obiadach u „czarnych" księżnych, na śniadaniach z sekretarzami ambasad przy Stolicy Apostolskiej, czy pijąc „caffé espresso" z młodymi monsignorami z Kurii można się wiele dowiedzieć. I Peyrefitte niczego nie oszczędza ani Kurii ani czytelnikom. Skandal Cippico, skandal Montesi, finanse i banki, Suor Pasqualina, wewnętrzne intrygi — nic w tym specjalnie nowego dla kogoś kto zna Rzym, oprócz tego właśnie że może się to wszystko ukazać w książce... Autor mało zresztą ryzykuje: Kościół nigdy jeszcze nie wytoczył procesu o zniesławienie. Stąd złośliwe apokryfy protokółów z zebrań Kongregacji, stąd zadziwiające powiedzenia przypisane kardynałom Tisserand i Canali: autor i wydawca nie czują się najwidoczniej zagrożeni żadną „law of libel".

Obok monotonnych już manii Peyrefitte'a w zakresie „obyczajów", obok piekielnie złośliwych karykatur kilku Książąt Kościoła, obok bezczelnych drwin (pod leciutkim pokostem „szacunku") z samego papieża *Les Clés de Saint-Pierre* zawierają kilka bystrych stron na temat polityki światowej Watykanu.

Książka Peyrefitte'a wywoła oburzenie. Zapomniano już dziś że „paszkwil" urodził się w Rzymie, że pochodzi od „Pasquina" — posągu z obtrąconym nosem koło Piazza Navona, na którym Rzymianie Odrodzenia wieszali pogróżki, obelgi i jadowite pamflety skierowane nieraz przeciw kardynałom i papieżom. Literacko, *Les Clés de Saint-Pierre* należą do tego właśnie rodzaju. „Succès de scandale" „Ambasad" i „Nowych Ambasad" skierował Peyrefitte'a na drogę tej formy reportażu, w której nic, prócz poprawnej francuszczyzny nie przypomina autora świetnej książki, jaką była „La Mort d'une Mère".

Krajowa prasa literacka

Z KRAJOWEJ PRASY LITERACKIEJ

„Nowa Kultura" od dłuższego czasu ogłasza odpowiedzi na ankietę „Pisarze wobec Dziesięciolecia" Rozpoczęta w atmosferze szkolnych sprawozdań ankieta zaczyna się robić interesująca. Niewątpliwie najciekawszą, najbardziej szczerą odpowiedź nadesłał Jan Kott, jeden z najinteligentniejszych polskich krytyków literackich, który podczas wojny stał się marksistą, zaraz po wojnie ogłosił ciekawy zbiór szkiców „Mitologia i Realizm" i należał do pierwszej ekipy „Kuźnicy". Warto zacytować szereg ustępów z odpowiedzi Kotta. Po warszawskim zjeździe pisarzy w roku 1950 Kott prze-

stał zajmować się krytyką literacką i znalazł schronienie w pracy nad Trembeckim. Gdyby nie podkreślenie niezachwianego przywiązania do ,,partii" i gdyby nie końcowa nuta nadziei, którą Kott przywiązuje do nowego ,,liberalnego" kursu, byłaby to spowiedź z rozczarowania godna ,,Zniewolonego Umysłu" Miłosza. W Polsce oczywiście nie można powiedzieć że objawy które się potępia są nieodłączną częścią samego systemu. Przypisuje się zawsze winę ludziom. Może zresztą nie można by żyć nie łudząc się że coś się może rzeczywiście odmienić na lepsze. Ale postawie tej przeczy sama nadzieja. Bo jeśli winni są ,,młodzi" czy ,,lizusy", czy ,,karierowicze", to czyż zmiana partyjnej linii może odmienić ich charaktery? Presja może się rozluźnić. Szantaże i donosy mogą się na krótko stać mniej groźne. Ale przecież system musi pozostać zawsze uwikłany w tragedię absolutnej władzy i jej konsekwencji: strachu, korupcji, hipokryzji i apatii. Dlatego wypowiedź Kotta jest — być może — odważnym i niemal tragicznym krokiem: czy nie chodzi mu o to żeby móc zaznaczyć swoje stanowisko, korzystając z chwilowej koniunktury, i zdając sobie w pełni sprawę z konsekwencji którą mogłaby pociągnąć za sobą ta wypowiedź w razie zmiany kursu?

Oto obszerne ustępy z wypowiedzi Kotta:

,,Bardzo długo nie chciałem na tę ankietę odpowiadać. Zmuszała mnie do rozważań gorzkich i drażliwych, które czasem znajdują ujście w rozmowie przyjaciół, czasem nawet wyrwą się jednym zdaniem w publicznej dyskusji, ale bardzo rzadko przeznacza się je do druku. Krótko mówiąc, ankieta zmuszała mnie do odpowiedzi na pytanie: dlaczego przestałem być krytykiem literackim? Oczywiście nie przestałem nigdy pisać. Narosła mi w ciągu dziesięciolecia półka z książkami i skłamałbym, gdybym powiedział, że jestem z tych książek niezadowolony. Ale skłamałbym również, gdybym powiedział, że mi te książki wystarczają, że nie wolałbym zamiast odległych aluzji historycznych i literackich metafor mieć więcej książek wprost mówiących o współczesności, i to nawet nie o literaturze, ale o moralności i obyczajach, o prawdzie i załganiu, o wewnętrznych, nieraz dramatycznych konfliktach członka partii, o tym o czym się mówi w każdej prawdziwej rozmowie...

Zacząłem ,,Mitologię i realizm". Do żadnej z moich książek nie mam tak osobistego stosunku. Nie tylko dlatego że była to moja pierwsza książka, jaka wyszła po wojnie. Napisałem w niej prawie wszystko co wiedziałem i co myślałem w tych latach. Nie była dla mnie nigdy paroma rozdziałami z historii literatury. Pisałem o ludziach i o książkach, których zacząłem nienawidzieć zanim jeszcze zdołałem się całkowicie uwolnić spod ich uroku. Pisałem ją przeciw sobie. Była to książka zawiedzionych miłości. Może dlatego jest często niesprawiedliwa i tak wiele jest w niej z goryczy.

Pisałem o Gide'ie, Prouście i nadrealistach, o katastrofistach, o Conradzie i Malraux. Teraz może dziwić Conrad. Ale wtedy i jeszcze parę lat po wyzwoleniu Conrad był żyjącym pisarzem akowców, i to najlepszych, najuczciwszych wewnętrznie spośród akowców. Odnajdowali w nim obronę honoru, który każe nie opuszczać aż do końca straconej pozycji, odnajdywali w nim rozkochanie w wewnętrznym dramacie i uzasadnienie duchowego samotnictwa z całą pogardą dla wszystkich społecznych wartości. Odczytywali w Conradzie obronę moralnego prawa jednostki, która stoi przed i poza historią...

Zaczął się heroiczny okres ,,Kuźnicy".

Byliśmy wszyscy tak nabici przymusowym milczeniem tylu lat że wystarczało dotknąć, aby błysnęła wielka publicystyka. Pisałem wtedy trzy, cztery, czasem pięć artykułów tygodniowo. Nie ja jeden. We wtorki układało się numer. W czwartek każdy przychodził z rękopisem.

Słowo ,,pasja" nie było jeszcze wtedy modne i nie deklinowało się

bez przerwy na każdym zebraniu. Ale nie pamiętam w moim życiu okresu nasyconego tak, aż po brzegi, wewnętrzną pasją. Nie chcę pisać apologii pierwszego okresu „Kuźnicy". Robiliśmy wiele błędów: byliśmy bardzo niedoświadczeni, ale dla każdego z nas jest to okres najpełniejszego życia ideowego.

Dzieliliśmy się i własnymi doświadczeniami. Nasza droga — pisałem już — do marksizmu i partii była pokrętna i długa. Apollinaire prowadził zeraz do Rimbauda, i Rimbaud uczył dopiero rozumieć Majakowskiego. W nadrealizmie sam szukałem ucieczki przed potworną płaskością naturalistów...

Ale doświadczenia te były nie do przekazania. Nawet w tym, ile każdemu z nas pomogły. Nie były potrzebne. Zwłaszcza nie były potrzebne młodym. Droga ich do partii i do marksizmu również nie była lekka, ale na pewno była prostsza od naszej. I zupełnie inna. Już w drugim roku „Kuźnicy" zaczęły się jątrzyć nasze stosunki z młodzieżą literacką. Uczciwie pisał o tych sprawach Braun w swojej odpowiedzi na ankietę. Mądrze i z wielką troską o prawdę — Wiktor Woroszylski w swojej „spowiedzi dziecięcia wieku", jaką stała się jego przedmowa do Pism Borowskiego.

Każdy z nas z lat faszyzmu, wojny i okupacji wychodził z jakimś garbem i długo wlókł go za sobą. Ale garby nasze i garby młodzieży były bardzo do siebie niepodobne. Cudzy garb jest często o wiele bardziej widoczny od własnego. Byliśmy dla młodych „inteligenccy" i wkładali oni w to słowo całą pogardę jaką określenie to miało do tak niedawna. Później, w okresie zamętu i wzrastającej nieufności, uważali wielu z nas za podejrzanych politycznie. Na pewno niektórzy myśleli, i to zupełnie szczerze, że jesteśmy zamaskowanymi wrogami. To było bardzo ciężkie. Nam wydawali się młodzi zarażeni faszyzmem w najgłębszych pokładach życia osobistego...

Byliśmy grupą, w której mówiło się to co się myśli. Przynajmniej przez wiele lat. Szczerość ceniliśmy na równi z ideowością i uczciwością. Łączyła nas przyjaźń. ...Mógł z tego wyrosnąć i nurt literacki i kierunek artystyczny. Stało się inaczej.

Młodzi przeciwstawiali nam swoją bezkompromisowość. Polegała ona między innymi na wyciąganiu różnych spraw życia osobistego jako argumentu w dyskusji ideowej i na cytowaniu publicznie prywatnych rozmów. Uważaliśmy to za kaniebne. Ale nie chcę być niesprawiedliwy. Niewątpliwie dla wielu bezkompromisowość była tylko wygodnym frazesem, byli całkowicie cyniczni, choć nawet nie mieli dość odwagi, aby to sobie samemu w najgłębszej nocy powiedzieć. Nie o nich jednak chcę pisać. Najuczciwsi łamali się ze swą bezkompromisowością jak umieli i jak mogli. Była bardoz abstrakcyjna, za trudna na młodość lat powojennych. Czasem, kiedy gwałtownie starła się z życiem, żałoba okrywała całą polską literaturę. ...

Podziwialiśmy wszyscy opowiadania Adolfa Rudnickiego i wybaczaliśmy mu nawet, że przy każdym chce umieścić swoją fotografię prawie naturalnej wielkości Ale już wtedy my sami próbowaliśmy go skłonić, aby szukał innej tematyki. Jakby wyniszczenie całego narodu to był za mało współczesny temat dla pisarza. ... Ileż trzeba było wtedy gorzkich słów powiedzieć o sobie, o całej krytyce i o samym Rudnickim, który coraz bardziej grzęznął w smutnym rozkochaniu nie tyle nawet we własnej sztuce, ile w samotniczej pozie niedocenionego artysty. A przecież naprawdę został zapędzony w ślepy zaułek pisarz, którego utwory pozostaną jednym z niezłicznych świadectw współczesności. I to nie tylko zagłady Żydów, ale również dramatycznej walki o ludzką szlachetność. I to szlachetność czystą laicką. ...

Pisał niezbyt dawno Andrzej Braun w „Nowej Kulturze", że tak długo wojowałem o realizm, póki nie powstały pierwsze realistyczne książki,

potem już tylko obrzydziwszy po drodze Conrada, miałem jedynie zachwa-łać *Robinsona i Gulliwera* i śmiać się po cichu z produkcyjniaków. Jest w tym jakaś prawda. Zaczynało się właśnie moje rozminięcie z tzw. literaturą współczesną, a przynajmniej z jej ogromną częścią.

Na warszawskim zjeździe pisarzy w roku 1950 mówiłem o potrzebie szacunku dla Marii Dąbrowskiej; o tym, że przełomu nie stworzą trzy repor-taże napisane przez studentów. Przełom został uchwalony i wszyscy mówcy odcięli się ode mnie. Wystąpienie moje zostało potępione. Tow. Sokorsk nazwał mnie największą przeszkodą na drodze do realizmu socjalistycznego. Miły Boże ! Jakżebym chciał, żeby tak było naprawdę. Niestety, nie ja byłem największą przeszkodą.

Nie chcę, aby z tych wspomnień wyglądało, że zostałem skrzywdzony. Wprost przeciwnie. Już w roku następnym dostałem nagrodę państwową za działalność naukową w Instytucie Badań Literackich. Pisma żądały ciągle ode mnie artykułów, należałem do prawie wszystkich kolegiów literackich i artystycznych przyznających, dyskutujących, orzekających. Byłem równie często chwalony jak mieszany z błotem. A jednak wyszedłem ze zjazdu po trzaskany wewnętrznie i coraz trudniej przychodziło mi pisać.

Są różnego rodzaju zarzuty. Nie należę do pisarzy łagodnych, umiem sam być złośliwy i dotknąć boleśnie. Cenię grę na ostro. Ale są zarzuty, które zamykają usta. Jest to zarzut antypartyjności. Ten zarzut wtedy padł. Po raz pierwszy w życiu, wtedy na zjeździe warszawskim, zobaczyłem, że moja opinia rozminęła się z opinią partyjną, i to w sprawie, która mi naj bardziej leżała na sercu, która była niejako moim zawodem; w ocenie drog rozwoju literatury. Była to chwila bardzo ciężka.

Wiele razy sam siebie pytałem, czy naprawdę mam rację ? Przecież byłem za przełomem, przecież sam się o niego biłem. Przywoływałem przy-kłady ideowego nowatorstwa tylokrotnie w historii literatury okupionego ar-tystyczną lichotą. Choćby dramaty Diderota, tak nieudolne a przecież pro-wadzące do Lessinga i Schillera. Ale przecież nie szło mi o to, że nasze książki są niedobrze napisane; szło mi o to, że kłamią o życiu.

W pisaniu o literaturze najważniejszy był dla mnie sąd i wyrażeni osobistego stosunku. Zawsze mi mniej zależało na aptekarskim wyważeni zalet i wad. Jakże mogłem dobrze pisać o książkach, które według mni nie mówiły prawdy o życiu albo dawały parę prawd tak ogólnych, że brzmiały zupełnie pusto. Coraz jaśniej zdawałem sobie sprawę, że moj sądy odbiegają od jednobrzmiących recenzji w pismach literackich, od wy-powiedzi oficjalnych, od sankcji nagród państwowych. Miałem obrzydzeni do pisania półprawdy i do tego typu recenzji, gdzie jest wszystko pró tego co autor myśli o samej książce. ... Ale coraz ciężej w tych latac obracało mi się pióro w rękach, coraz częściej zdania gubiły swoją drapież-ność, jasność i ostrość, więcej jeszcze, przyznam się ze wstydem, łapałe się na tym, że nie myślę o temacie i czytelniku, ale o tym, czego się do czyta w moich zdaniach *x*, *y* i *z*.

Ciężko jest pisać, kiedy trzeba liczyć się z każdym zdaniem. Częs przechylałem, jak się to mówi pałkę. Trudno jest nawoływać ludzi do gasze-nia pożaru i tłumaczyć im jednocześnie, że ogień jest wielkim dobrodziej-stwem. Nigdy tego nie umiałem i nie chciałem. A przecież paraliżuje pisarz kiedy wiesz, że każde twoje słowo wezmą pod światło i zaczną patrze czy się nie „wychyliłeś".

„Wychylił się" — to powiedzenie jest jedną ze smutnych zdobycz obrad sekcji twórczych w Związku Literatów. Atmosfera panowała tam z i ciężka. Zbyt wiele tam było maleńkich Torquemadów z duszyczką Smie-diakowa. Leon Pasternak powiedział kiedyś słusznie, że *szczujność* zast-piła tutaj *czujność*. Nie byli temu winni ani politycy, ani działacze. Odpo-wiadamy za to my sami. Pisarze i tylko pisarze.

Obiegło już parokrotnie prasę powiedzenie Pawła Hertza na XI sesji Rady Kultury, że „jeżeli tow. Putrament każe mi skoczyć z okna i ja skoczę, to winny będzie nie tylko on, winni będziemy obaj". Nie miałem ochoty skakać przez okno i bardzo rzadko przychodziłem do Związku. Dość jednak często, aby zbrzydzić sobie kapralskie metody wychowawcze i zagłuszanie każdej dyskusji krzykiem. Nie była to dobra atmosfera i musiała odbić się niszcząco na pracy kół młodych. Nie była to również dobra atmosfera dla samych pisarzy. Nie była też dobra dla krytyki. ...

Jednomyślność intelektualna jest zawsze objawem niebezpiecznym, kiedy osiąga się ją za zbyt łatwą cenę. Nawet jednomyślność w krytyce rzeczy łych. Zmianę przekonań politycznych traktujemy poważnie i żądamy uzasadnień. Zmianę przekonań artystycznych przestaliśmy już zauważać. Przestała nas dziwić nawet wtedy, kiedy następuje z dnia na dzień, albo raczej z artykułu do artykułu. O sztampie, nudzie i schemacie napisano już tak wiele, że żenujące jest przyłączać się do chóru. Tak samo żenujące jest, kiedy minister musi zachęcać do odwagi i z prezydium padają do sali wołania o szczerość. ...

Pamiętam bardzo poważną naradę literacką, kiedy zupełnie serio dyskutowano, czy krytyk ma prawo do błędu ? Nikomu wtedy nie wpadło nawet do głowy się zapytać, czy błąd ten można zawsze określić i jakim sposobem. Wielu prawdopodobnie uważało, dobrodusznie i naiwnie, że od oceny błędu jest po prostu wydział propagandy i agitacji.

Na tej samej naradzie również bardzo poważnie dyskutowano, jaka powinna być forma krytyki. Że ma pomagać i być wychowawcza, że ma być cierpliwa i oczywiście zawsze sprawiedliwa, i że czasem, ale to już w wyjątkowych wypadkach, może być jednostronna. Nikt nawet przez chwilę nie pomyślał, że krytyka albo jest twórczością, albo jej nie ma, że krytyka albo jest literaturą albo nie istnieje. Powtarzanie cudzych zdań rzadko kiedy bywa nazywane krytyką nawet wtedy, kiedy zadanie to staje się szczególnie trudne, kiedy nie można po prostu powtórzyć czyjegoś zdania, kiedy trzeba cudze zdanie podsłuchać albo się go domyśleć.

Nie, takim krytykiem nie chciałem i nie mogłem być. Wolałem już być filologiem. Ale myślę, że przez następne trzy lata nie będę już zbierał i kolacjonował tekstów nawet tak świetnego poety, jak Trembecki.

(j)

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze !

W swych ,,Polemikach poetyckich" (,,Kultura" Nr 5/91) Józef Łobodowski poddał krytyce mój artykuł sprzed dwóch lat pt. ,,Pogrążeni w przeszłości". Wypowiedzi Łobodowskiego są pod wielu względami bardzo interesujące ale zakradło się do nich sporo nieporozumień.

Wbrew temu co pisze Łobodowski, wcale nie stawiałem postulatu, aby poeci mieli używać języka potocznego. Napisałem wprawdzie, że jego mowa jest przemyślnie stylizowana i często archaizowana, bliższa prozy poetyckiej Żeromskiego, niż naszej mowy potocznej, ale nie robiłem mu z tego powodu zarzutów. Przeciwnie. Wyraziłem obawę, że ponieślibyśmy nieodżałowaną szkodę, gdyby Łobodowski przeszedł na chudy język dziennikarski.

Łobodowski twierdzi, jakoby w recenzji ze ,,Złotej Hramoty" (,,Ostatnie Wiadomości") ,,zżymnął się nieco na takie regionalizmy, jak duszehubka czy tytułowa hramota". Nie. Te regionalizmy bardzo mi się podobają. Zrobiłem jedynie uwagę — i to pod adresem wydawcy, nie poety — że do takich słów, jak duszehubka, szypszyna, neczujwiter, a także hramota, przydałyby się objaśnienia, gdyż nie każdy czytelnik jest dostatecznie obyty ze sprawami ukraińskimi i nie każdy zna słownictwo Kresów Wschodnich.

,,Ma do mnie pretensje — pisze o mnie Łobodowski — że nie włączyłem do żadnego wiersza lokomobili..." Nie. Pretensji nie miałem i nigdzie jej nie wyraziłem.

W ogóle w całym tym artykule unikałem zarzutów czy postulatów, usiłowałem tylko dowieść, że Baliński, Lechoń, Łobodowski i Wierzyński pogrążają się w przeszłości, następnie postawiłem sobie pytanie, jakie są tego przyczyny, wreszcie spróbowałem wysunąć pewną hipotezę — nie tezę ! — zastrzegając się, że właściwie ,, na pytania moje odpowiedzieć nie umiem i nie śmiem" i że ,,najchętniej zwróciłbym się z nimi do samych poetów". Ale w tej, dalibóg, nieśmiałej i ostrożnej hipotezie Łobodowski dopatrzył się od razu ,,aktu oskarżenia" a mnie nazwał ,,prokuratorem". Dlaczego ?

Hipoteza mówiła między innymi o wpływie romantyzmu na dzisiejszych poetów, na co Łobodowski oświadczył, że ,,oskarżenie należałoby rozszerzyć", bo ,,jeśli romantyzm jest dziś anachronizmem, to poezja polska dzieli winę z całym narodem, który w minionej katastrofie zachował się właśnie po romantycznemu". I zdawałoby się, że Łobodowski wykrył w mych wywodach wielką dziurę, że złapał mnie na przeoczeniu romantycznych nastrojów w narodzie. Ale dziury nie ma. Ja sam pisałem, że ,,w Polsce Odrodzonej uchowała się w szczególny sposób atmosfera romantyzmu i społeczeństwo, z natury uczuciowe, zadawalało się twórczością Skamandrytów". Sam pisałem, że dziś poeta intelektualny ,,nie znalazłby oddźwięku w społeczeństwie, które na skutek wychowania i przyzwyczajenia uznaje wyłącznie poezję romantyczną". Zabawne, że Łobodowski cytuje te słowa, ale o sześć stronic dalej, przy omawianiu innej sprawy.

Łobodowski poucza mnie, jak wielką wagę dla teraźniejszości ma oglądanie się na ,,dawno minionych ludzi i sprawy", a także wyraża obawę, że traktuję ,,zjawisko obcowania ze zmarłymi w sposób zbyt mechaniczny". A przecież wśród dzieł, które uważam za całkowicie zestrojone ze swą epoką wymieniłem takie utwory o minionych ludziach i sprawach, jak ,,Konrada Wallenroda", ,,Cyda" i ,,Balladynę", wymieniłem też utwory zawierające sceny obcowania ze zmarłymi : ,Dziady", ,,Wesele" i ,,Noc listopadową".

Nie dziwota, że w oparciu o tego rodzaju nieporozumienia Łobodowski

[u]znał mój artykuł za „zbyt uproszczony i jednostronny", nie dziwota, że do-[st]rzegł rozbieżność między mymi poglądami a zamiłowaniem do Lorki.

Łączę wyrazy poważania

Jan WINCZAKIEWICZ

◆

Drogi Redaktorze,

Jeżeli teraz piszę ten list, który dawno powinien był być napisany, [is]tnieją tego opóźnienia powody. Nie jest na ogół łatwo uświadomić sobie [ż]e coś co nam wydaje się naturalne przedstawia się oczom innych ludzi [d]okładnie na odwrót. Trzeba czasu żeby dojść do wniosku, że sami [m]ogliśmy się do pomyłki przyczynić, zbyt ufając subiektywnie pojętej oczy-[w]istości. Poza tym tego rodzaju listy są kłopotliwe bo niejeden czytelnik [s]kłonny jest przypisywać sprostowania urazom osobistym. Żeby wszystko [b]yło jasne, stwierdzam: nie ma mowy o najmniejszych nawet zatargach. Mój stosunek do „Kultury" nie uległ żadnej zmianie i mam nadzieję [ż]e to co powiem nie narazi mnie na posądzenia o nieprzyjaźń.

Chodzi o rzecz następującą. Drukuję u pana od czterech z górą lat i co-[r]az częściej spotykam się ze zdaniem, że program pisma na pewno kształtuje [s]ię nie bez mego udziału. Tymczasem jak wygląda stan faktyczny? Po [p]ierwsze nie należę do Zespołu „Kultury". Po drugie nie mam wpływu [n]a dobór materiałów. Po trzecie treść każdego numeru jest dla mnie taką [s]amą niespodzianką jak dla prenumeratora z innego kontynentu, chociaż od [s]iedziby „Kultury" dzieli mnie zaledwie 40 kilometrów paryskich przed-mieść. I ta sytuacja odpowiada mi w zupełności. Współpracuję z panem, jak pan wie, na prawach gościa, nie wnikając w politykę redakcji.

Zadowolony z takiego rozgraniczenia kompetencji, biorąc odpowiedzial-ność tylko za własne prace, czy nie powinienem jednak wyraźnie powiedzieć jak jest? Stawiam to pytanie i spodziewam się że odpowiedź jest prosta. W przeciwnym wypadku albo musiałbym polemizować z każdym artykułem czy oświadczeniem z którym się nie zgadzam, albo dawać powód do przy-[p]uszczeń że przez milczącą zgodę udzielam aprobaty. W warunkach „dias-[p]ory" wydawnictwa muszą grupować autorów o krańcowo rozbieżnych ten-dencjach i współpraca nie powinna polegać, moim zdaniem, na zacieraniu [r]óżnic. Przeciwnie, prawo do różnienia się powinno być obwarowane sta-[r]annie, tak żeby czytelnikowi oszczędzić błędów wynikających z niedo-mówień.

Najważniejszym może doświadczeniem każdego literata są te maski [k]tóre wkłada mu, jedne po drugich, opinia publiczna, aż patrzy on w lustro [z]e zdumieniem, nie poznając własnej twarzy. Iluż to ludzi pióra nigdy nie [z]dołało pozbyć się masek. Przez przynależność do grupy literackiej, do [ś]rodowiska, przez druk w takim czy innym miesięczniku, zarabiali na epitet, [k]tóry do nich miał przylgnąć na zawsze. Żyć to, sądzę, starać się żeby [s]kóra naszej twarzy wyjrzała spod gipsowych policzków i nosów. Obawiam [s]ię że przemilczając prawdę o mojej skromnej roli w „Kulturze" pracował-[b]ym na gipsowy nos — kto wie, może bardzo ładny, ale nie mój.

Więc indywidualistyczna troska o „własne oblicze"? Nie, nie tylko. [N]igdy nie ukrywałem, że dzieli nas coś więcej niż pogląd na tę czy inną [s]prawę i że choć zgadzamy się nieraz, występujemy jako reprezentanci od-[m]iennych postaw. Ścieranie się takich postaw decyduje o ruchu i postępie. [N]ie tu miejsce na opis zasadniczego przeciwieństwa. Kilka zdań zamiast [c]oś wyjaśnić czytelnikom nabrałoby cech dyskusji politycznej i wtedy nie [c]zułbym się dobrze, bo politykę uważam za wynik pewnych założeń, a roz-[m]owa o wnioskach bez sięgnięcia do przesłanek nie daje nic. Nie znaczy to [o]czywiście że wyrzekam się analizy tych zagadnień w formie im właściwej.

Czesław MIŁOSZ

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Juliusz Mieroszewski donne une esquisse de « La Politique des Nations déclassées ». Il reproche à l'émigration polonaise de s'en tenir à des formules périmées de nationalisme. Rien ne permet de croire que la Russie cessera d'être une grande puissance, même si — à travers une évolution intérieure ou une défaite militaire — elle renonce à la révolution mondiale. Par contre, toute perspective de lier la Pologne à une fédération de l'Europe occidentale est conditionnée par un règlement préalable des différents polono-allemands.

François Gil Bondy nous fait part de ses impressions d'un récent voyage en Allemagne. Il a été frappé par un « progressisme » d'idées et de conceptions dans les milieux dirigeants de l'armée allemande, qui, loin de menacer la démocratie de Bonn, peut devenir son soutien effectif. Mais il ne cache pas son inquiétude devant les développements que pourrait donner dans l'avenir le maintien prolongé de la division de l'Allemagne.

Andrzej Bobkowski a pris part (dans l'équipe du Guatemala) à un concours de modèles réduits aéronautiques qui a eu lieu récemment aux Etats-Unis. Il nous donne des pages d'un « Journal Américain », dans lesquelles il se montre enthousiaste du « American Way of Life », depuis les automates et les « ice-sundaes » jusqu'à la « camaraderie sportive » du businessman et aux « slogans » religieux dans les casernes.

Hubert Ripka, ancien ministre du Gouvernement tchécoslovaque, propose, à l'occasion de la Conférence des Quatre à venir, un plan de règlement européen qui consisterait à contrebalancer une Allemagne unifiée et neutralisée par une Europe orientale neutralisée (à condition d'élections libres dans les pays « satellites »).

Anatole Muhlstein analyse, en historien et en diplomate, les documents publiés par le State Department au sujet de la Conférence de Yalta.

Kultura publie une interview, au sujet des relations polono-allemandes, du président de la Commission des Affaires étrangères du Bundestag allemand, *Kiesinger*.

Melchior Wankowicz vient d'écrire un roman qui contient autant de personnages authentiques que « Les Ambassades », de Peyrefitte. *Kultura* en publie un chapitre concernant l'atmosphère politique de l'émigration polonaise en Roumanie, au lendemain de la défaite de 1939.

Une chronique anglaise, une chronique allemande et des revues de livres polonais et étrangers complètent ce numéro.

ENGLISH SYNOPSIS

Juliusz Mieroszewski criticises the political conceptions of small tions. He thinks that the nationalism of Polish emigration, its nbitions of «independence» are anachronistic. There is no reason to lieve that Russia will cease to be a great power even if the renonnces :r plans of world revolution as a result of internal evolution or ilitary defeat. On the other hand, all plans of attaching Poland to European Federation are conditioned by a settlement of Polish-erman antagonism.

François-Gil Bondy tell us his impressions of a recent journey to ermany. He was stuck by the «progressive» ideas and conceptions f the men who organise the new German army, which—far from onstituting a threat to German democracy—may even become its ffective support. But he does not hide his concern over developments hich may take place in the future, were the division of Germany to e maintained indefininely.

Andrzej Bobkowski has taken part, as a representative of Guatemala, n a recent contest of model planes in U.S.A. He gives us pages from is «American Diary» in which he shows a great inclination for the American way of Life»—from gadgets and ice-sundaes to the «friend-iness» of businessmen and religions slogans in army barracks.

Hubert Ripka, former minister of the Czechoslovak government, uggests, in view of the imminent Four Powers Conference, a form of uropean settlement in which a united and neutralised Germany would e counter-balanced by a neutralised Eastern Europe (given free elec-ions in the «satellite» countries).

Anatole Muhlstein analyses the Yalta documents, published by the tate Department, from the point of view of the historian and of the iplomate.

Kultura publishes an interview with the Chairman of the Foreign ffairs Committee of the Bundestag, Kiesinger. Foundations of German reign policy are discussed together with the future of Polish-German elations.

Melchior Wankowicz's novel about Polish political emigration in aretime is a «roman à clef». *Kultura* publishes a chapter concerning e first week of Polish exile Bucarest in September 1939.

An English review, a German review, cultural and literary sections mplete this issue.

Noty biograficzne autorów

François-Gil BONDY, szwajcarski dziennikarz i publicysta. Działacz europejskiego ruchu federalistycznego. Naczelny redaktor francuskiego miesięcznika „Preuves" i paryski korespondent szwajcarskiej „Weltwoche".

◆

Redakcja „Kultury" dziękuje Siostrze Elżbiecie Rabowskiej z Manndorf w Szwajcarii za ofiarowanie bibliotece redakcyjnej zbioru wycinków z prasy szwajcarskiej, za ostatnie lata, dotyczących spraw polskich.

Korespondent londyński „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI, 11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 2e Trimestre 1955.

ULTURA

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S.& O.)
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Roczna
IRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
GENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria a", Serrano 2076, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
STRALIA: „Vistula" (Australia) PTY Ltd., itt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
LGIA I KONGO BELG.: Janina Korab owska-Csaky, 62, Vanderkindere, Bruxelles-, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
AZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia ńska,** r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de ro, oraz **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, iba, Parana; **Hanna Lekszycka,** rua Guiará vila Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
YT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tangany-/ganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, bi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ANCJA: „Libella", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, (4e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
LANDIA: J. Szpilczyński, Stadhouderskade Amsterdam-Z., Tel.: 716080	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
NADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., de G., Montreal/Que., Tel.: **HU** 8-5224; **Ja-e Trading Co.,** 835 Queen St. W. Toronto 3, ; **St. L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Win-g/Man.; **H. R. Radomski,** 107, Rose Park Dri-Toronto/Ont. Tel. HY-0829; **St. Zybała,** 1089 n St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec",** 700 n St. W. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
EKSYK: Victor Stanisławski, Apartado al 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
EMCY: „Ostatnie Wiadomosci", Gendarme-Kaserne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk,** München 13, Gablonzerstr. 7/I	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
RWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thal-, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
WECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsga-3/IV, Stockholm		15 kor.	28 kor.
S.A.: Polish Amer. Book C°, 1136 Milwaukee Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski, „Gryf** .", 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **L. Duda-Ossetyński,** 1818 N. Sierra Bonita Av., Holly-46, Calif.; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.— ., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewa-ki,** 27, Aberdeen Ave, Cambridge, Mass.; **onopacki,** 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. SW-1-2040; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robin-Ave, Toledo 2, Ohio; **A. Pleszczynski.** 2025 terey St. Santa Barbara, Calif.; **K. Troja-ki,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BRYTANIA: „Gryf" Publication Ltd., 169-Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
LOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso te 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.
żności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
Jerzy **GIEDROYC**, 91, Avenue de Poissy, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. fr. (okładka +50%)

IMPRIMERIE RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris-18e

Cena 180 frs.